

ALISTAIR MACLEAN'S UNFAC



HOSTAGE TOWER

JOHN DENIS

MACLEAN ALISTAIR

Wieza zakładników

ALISTAIR MACLEAN

John Denis

(Hostage Tower)

Przełożył Robert Ginalski

W roku 1977 dwaj moi przyjaciele ze świata filmu, Jerry Leider i Peter Snell, zaproponowali mi napisanie kilku scenariuszy do przyszłego serialu.

I tak powstało osiem historyjek dotyczących działalności pięciu członków fikcyjnej organizacji, którą nazwałem „Organizacją do spraw Zwalczenia Przeszłości przy ONZ”, a w skrócie – UNACO. Na początek sfilmowano *Wieżę zakładników*, realizację pozostałych tekstów planuje się w najbliższej przyszłości. Niedawno wydawnictwo „Fontana” zwróciło się do mnie z propozycją, żebym napisał książkę opartą na tym filmie. Odmówiłem, ponieważ nie odpowiadał mi termin – pracowałem właśnie nad powieścią *Athabaska*. Na szczęście wydawnictwo skłoniło Johna Denisa, by podjął się tego zadania, a wy wkrótce będziecie mogli sami ocenić, jak znakomicie się z niego wywiązał.

Alistair MacLean

Prolog

Lorenz van Beck musiał jakoś zabić trzy godziny. Dla kogoś, komu zabijanie przychodziło bez trudu, nie stanowiło to większego problemu. A tego pięknego, słonecznego dnia w Paryżu van Beck musiał zabić jedynie czas.

Spacerował w cieniu drzew na Wyspie Świętego Ludwika, wygrzewając się w promieniach słońca padających na jego szeroką, skupioną twarz. Bez kapelusza, siwowłosa, w ciemnym garniturze z grubego sukna i płaszczu, zapiętym aż po cienki węzeł utrzymanego w spokojnej tonacji krawata, mógł uchodzić za typowego człowieka interesu.

Van Beck westchnął cicho i stwierdził, że czas już pomyśleć o interesach. Postanowił odwiedzić muzeum Rodina i muzeum Cluny, prezentujące sztukę nowoczesną, porcelanę i szkło. Notował w myśli ostatnie nabytki, ich rozmieszczenie i oświetlenie, sprawdzał systemy alarmowe. Niektóre uwagi zapisywał w notesie: przez które okno najłatwiej dostać się do środka; jaki wytrych będzie pasował do drzwi; jak są uzbrojeni strażnicy i jak nastawieni do zwiedzających; w jakiej odległości znajduje się wylot najbliższego kanału; jak wygląda topografia sąsiednich uliczek; *modus operandi* – granaty? gaz?

Czasami zapisywał jedno z tysiąca, dziesięciu tysięcy nazwisk złodziei, płatnych zabójców, speców od uzbrojenia, pirotechników, biologów, snajperów, akrobatów, kierowców, sutenerów... Ludzie ci, zatrudniani przez van Becka na zasadzie wolnych strzelców, tworzyli jedyna w swoim rodzaju międzynarodową siatkę. Obok informacji o wyjątkowo wspaniałej, gościnnej ekspozycji szkła weneckiego van Beck wpisał jeszcze jedno nazwisko – powszechnie znanej i szanowanej damy z wielkim tytułem i jeszcze większą klasą. Nazwisko klientki.

Van Beck przekartkował notes i zerknął do terminarza, sprawdzając, o której ma spotkanie. Rzucił okiem na złoty zegarek z dewizką, po raz ostatni wciągnął zatęchłe powietrze muzeum – jakież wspaniałe zapach roztacza bogactwo! – i ruszył do samochodu, który wynajął na Gare d'Austerlitz posługując się sfalszowanym prawem jazdy wystawionym na zmyślane nazwisko. Z przedniego siedzenia wziął zniszczoną skórzaną teczkę z popsutym zamkiem, zatrzasnął drzwi i odszedł. Świadomość, że prędzej czy później ktoś zgłosi zniknięcie samochodu nie przeszkadzała mu w najmniejszym stopniu.

Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do innej agencji wynajmu samochodów, na bulwarze Haussmanna, gdzie przedstawił się młodej, ślicznej urzędniczce jako Marcel Louvain. Następnie pojechał do Rambouillet, zatrzymując się po drodze w Wersalu. Tam, siedząc w coraz dłuższym cieniu drzew w ogrodach pałacowych, zjadł świeżą, jeszcze ciepłą bułkę z pasztetem ardeńskim, a dokładnie w chwili, kiedy zegar

dzwonnicy w Rambouillet wybijał pierwsze uderzenie na szóstą, Lorenz van Beck pchnął skrzypiące drzwi i zagłębił się w półmrok i ciszę kościoła...

W pustej nawie rozbrzmiewało echo uderzeń zegara. Van Beck rozejrzał się, mruknął coś pod nosem i ruszył w głąb kościoła, gdzie – w jeszcze większych ciemnościach – stało kilka konfesjonałów. Niemiec podszedł do drugiego z nich, odsunął wyblakłą czerwoną zasłonę i przyklęknął. Chrząknął cicho i pociągnął nosem, na co ledwie widoczna przez kratkę konfesjonału postać odkaszlnęła uprzejmie.

–Pobłogosław mnie, ojcze, bo ciężko zgrzeszyłem – wymamrotał.

–*In nomine Patris, et Fili, et Spiritus Sanc...* – zaczął ksiądz, lecz van Beck zachichotał ironicznie i wtrącił bezceremonialnie:

–To był pański pomysł, Smith, ale mnie takie rzeczy nie bawią; to nie dla nas. Niech pan mówi, w czym rzecz, i zabierajmy się stąd.

–Jak do tej pory, tak i teraz liczę na pańską absolutną dyskrecję, van Beck – odrzekł Smith suchym, pedantycznym tonem.

–A ja na pańską niepohamowaną żądzę zbijania majątku w sposób tak nielegalny, jak to tylko możliwe.

Ledwie widoczna przez kratkę konfesjonału postać skinęła głową.

–Słusznie, chociaż pańska ocena jest niesprawiedliwa – stwierdził Smith. – Mnie fascynuje przestępstwo jako takie, a nie pieniądze. Kradzież dziesięciu dolarów z biurka sekretarki komendanta Fortu Knox sprawia mi więcej satysfakcji niż pieniądze wszystkich kasyn w Las Vegas... niż wszystkie pieniądze tego świata. Całe życie poświęciłem zbrodni, van Beck, to pasja mojego życia. Przestępstwo dostarcza niezrównanych emocji, silniejszych niż jakiegokolwiek doznanie fizyczne.

–*Ja, ja* – westchnął Bawarczyk. – Wiem, panie Smith, już mi pan to mówił. Na tym właśnie polega różnica między nami... co? Ja potrafię opchnąć wszystko... obojętne, czy będzie to Mona Lisa, czy kopalnia uranu. Mogę znaleźć klienta na Taj Mahal, albo na Dziesiątą Symfonię Beethovena. Nawet komendantowi Fortu Knox sprzedałem raz jego własne złoto. Ale ja jestem tylko rzemieślnikiem, pan zaś – artystą. Czym mogę służyć?

–Potrzebuję ludzi.

–Do czego?

–Wie pan aż za dobrze, van Beck – warknął Smith.

–Przepraszam. – Niemiec milczał przez chwilę. – Ilu?

–Trzech.

Van Beck wyciągnął notes z pozaginanymi rogami kartek i zapisał dane.

–Czy ma pan na myśli kogoś konkretnego? – zapytał.

–Nie.

–A zatem słucham.

Kulturalny głos Smitha przeszedł w syczący szept.

–Po pierwsze: spec od uzbrojenia. Najlepszy. Twardy, pomysłowy... zawodowiec w każdym calu.

Tępy ołówek van Becka przebił lichesy papier notesu.

–Po drugie: złodziej. Też najlepszy. Zamierzam ukraść dwa i pół miliona nitów i porwać czyjąś matkę. – Smith zachichotał. – Musi to być najlepszy złodziej, jakiego pan zna, van Beck. Odważny, taki, który nie wie, co to strach.

–A ile może być warta stara baba i kupa zardzewiałego żelastwa?

–Razem wzięci? Jakies trzydzieści milionów.

–Nitów?

–Dolarów.

Van Beck zagwizdał cicho.

–Nie ma obawy, za udział w takiej sumce znajdę zespół jak się patrzy.

–Więc do roboty – szepnął Smith. – Do roboty.

–A trzeci? Smith zawahał się.

–Musi to być ktoś... pełen inwencji. Ktoś bezgranicznie pomysłowy. Silny i – jak tamci – nie znający strachu. Przede wszystkim nie może się bać wysokości.

Van Beck w zamyśleniu pocierał mięsisty, zarośnięty podbródek.

–Czy to samo odnosi się także do dwóch pozostałych? – zapytał uprzejmie.

–Co?

–Lęk wysokości – odparł Niemiec, próbując sobie uzmysłwić, co przypomina mu wzbijająca się w niebo konstrukcja z nitów.

Smith nie odpowiadał; nie wróżyło to nic dobrego.

–Nie prowokuj mnie, van Beck – odezwał się wreszcie. – Rób, co do ciebie należy, ale nie przeciągaj struny. Może się okazać za cienka.

Van Beck nerwowo przełknął ślinę i poruszył się niespokojnie.

–Rozumiem. Załatwię wszystko zgodnie z pańskimi życzeniami. – Chciał wstać, lecz krótkie warknięcie Smitha zatrzymało go w pół ruchu.

–Jeszcze jedno. Skonstruowano nowy typ broni laserowej, tak zwany Lap-laser. Amerykanie mają go już na wyposażeniu swojej armii. Potrzebuję kilka sztuk, spec od uzbrojenia musi je jakoś zdobyć. Zgoda?

–To będzie kosztować.

–Zapłacę.

–Jasne – parsknął van Beck. – Pan płaci, ja dostarczam. Czysty interes.

–Dziękuję. – Smith rozsiadł się wygodnie. – To już wszystko. Skontaktuje się pan ze mną tak jak zawsze. Ma pan na to miesiąc.

Van Beck w milczeniu skinął głową; odpowiedź była zbyteczna. Odsunął zasłonę, wiszącą na pobrzękujących mosiężnych kółkach, i wyszedł z kościoła. Siedząc w łagodnym świetle zachodzącego słońca na tarasie pobliskiej kawiarenki wypił kieliszek lekko schłodzonego białego wina i koniak, po czym wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Chartres.

Z kościelnej kruchty bacznie obserwowwała go zakapturzona postać.

Wkrótce ciężkie drzwi kościoła uchyliły się ponownie i niski, zgarbiony ksiądz w wytartej sutannie wmieszał się w tłum przechodniów i spacerowiczów. Uśmiechnął się dobrotliwie do staruszki ubranej, tak jak i on, w wytartą czarną suknię i wyciągnął rękę, chcąc zmierzwić włosy przebiegającego obok chłopca, lecz malec umknął spod jego dłoni.

Rozdział 1

W odległości dwudziestu ośmiu mil na zachód od Stuttgartu rozpościera się otoczony lasami płaskowyż. Od strony dróg zasłaniają go drzewa, samoloty prawie nad nim nie przelatują, nic więc dziwnego, że teren ten stanowi znakomity poligon. Armia Stanów Zjednoczonych korzystała z niego do przeprowadzania prób ze swoją najnowszą zabawką – Lap-laserami produkowanymi przez General Electric.

Armia Stanów Zjednoczonych miała w Stuttgarcie cztery Lap-lasery. Niewiele – co przyznawali sami wojskowi – ale i tak stanowiły one jedną trzecią wszystkich istniejących Lap-laserów. Wyprodukowano ich bowiem tylko dwanaście i – póki co – były one w stadium eksperymentalnym. Zaufanie dowództwa armii do straży przemysłowej w zakładach General Electric oraz do własnej służby bezpieczeństwa sprawiało, że lasery testowano bez pośpiechu. Przecież – powiadali wojacy – nikt nam ich nie ukradnie...

W dniu, który Smith wyznaczył na kradzież wszystkich czterech laserów, drobne krople rześistego deszczu padały na gogle naczelnego instruktora armii do spraw uzbrojenia, kiedy spoglądał w niebo, wypatrując helikoptera. Z ciężkich chmur bez przerwy dobiegał denerwujący warkot. Wojskowi spluwał ze złością, ani na chwilę nie przerywając żucia gumy – kombinacja taka bez wątpienia wymaga nie lada talentu.

Helikopter był nieodłącznym elementem operacji testowania laserów. Codziennie, z samego rana, dowoził cenną broń z wielkiej, doskonale strzeżonej bazy w Stuttgarcie, wieczorem zaś zabierał ją na noc z powrotem. Lap-laserów nie można było testować w bazie – były zbyt nieobliczalne.

Wymagały one ponadto niezwykle potężnego źródła zasilania, toteż zamiast transportować olbrzymie i nieporęczne generatory, wojskowi zdecydowali się prowadzić próby na odizolowanym poligonie, na którym mogli zbudować małą elektrownię atomową.

Pułkownik obejrzał się przez ramię na czwórkę swoich błyszczących „dzieci”. Zdemontowane i odstawione na bok, czekały na powrót do bazy. Pułkownik wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnął do stojącego obok zastępcy.

–Niezły bajer, co? – powiedział. Nie było to pytanie, lecz suche stwierdzenie faktu.

–Uhm – przyznał major, przeżuwając grube cygaro, które niemal o każdej porze dnia i nocy sterczało z jego poplamionych nikotyną warg.

W kołach wojskowych USA nawet większość generałów byłaby szczerze zdziwiona pytaniem na temat Lap-laserów, toteż naczelnny instruktor armii do spraw uzbrojenia i

jego zastępca wręcz pławili się w świadomości, iż należą do tak imponująco skromnej grupy ekspertów. Przyparciu do muru jakimś konkretnym pytaniem (co zdarzało się niezmiernie rzadko) potrafiliby, na przykład, wyjaśnić, że skonstruowanie Lap-laserów było możliwe nie dzięki rozwojowi balistyki czy aerodynamiki, lecz dzięki postępom na polu optyki. Zazwyczaj już samo takie stwierdzenie wystarczało, by zbić ciekawskich z tropu.

Pułkownik z uznaniem przyjął propozycję strzelców obsługujących lasery, aby na zakończenie udanego dnia przeprowadzić jeszcze jeden test. Wojacy zabrali się więc do dzieła i z odległości tysiąca metrów wywiercili w stalowej płycie o grubości dziesięciu centymetrów napis „SPSZA” (Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych Ameryki) z taką precyzją, jak gdyby wydziurkowali go ołówkiem na kartonie.

System naprowadzania Lap-laserów na cel zbliżony był do układów stosowanych w konwencjonalnych urządzeniach radarowych, z jednym wszakże wyjątkiem – zamiast fal radiowych wykorzystywał promienie świetlne. Można go było zaprogramować na wyłapywanie wszystkich lub tylko niektórych obiektów w zasięgu działania laserów, a to dzięki detektorom, sterczącym po obu stronach mechanizmu strzelającego. Detektory te odróżniały charakterystyczne cechy najrozmaitszych materiałów, w tym kilkunastu metali, drewna, cegły czy ciała ludzkiego.

Po zlokalizowaniu celu Lap-laser wysyłał skoncentrowaną wiązkę promieni, która przerażająco skutecznie unicestwiała wszystko, co napotkała na swojej drodze.

Inną, niezmiernie ważną zaletą Lap-laserów była ich szybkość reakcji. Elektronika konwencjonalna wykorzystuje w praktyce urządzenia, których czas reakcji mierzy się w nanosekundach (miliardowych częściach sekundy). W przypadkach, kiedy niezbędna jest jeszcze większa szybkość, można zastosować już tylko światło, dzięki czemu czas reakcji skraca się do pikosekund (bilionowych części sekundy), co w kategoriach ludzkich jest zgoła niewyobrażalne.

Otóż Lap-lasery reagowały właśnie w granicach pikosekund, a to dzięki procesorowi, w który firma General Electric wyposażyła komputer sterujący. Aby zapewnić układowi optycznemu niezbędną szybkość, konieczną do współpracy z tak skomplikowaną bronią laserową, procesor oparty był na minilaserach, nie większych od kryształka soli.

Zasilane z potężnego, skoncentrowanego źródła energii, lasery te tworzyły w sumie broń, która była przebłyskiem przerażającej przyszłości. Ostatecznie wszystko zależało od tego, do czego Lap-lasery zostaną użyte oraz od trwałości niezłomnych gwarancji, że broń ta nigdy nie dostanie się w niepowołane ręce.

Takie, jak najbrudniejsze z brudnych ręce Smitha.

A tymczasem narzędzie zbrodniczych ambicji Smitha mknęło właśnie wynajętym BMW autostradą, na spotkanie z czwórką najgroźniejszych „dzieci” wszechczasów.

Znak drogowy głosił: „AUSFAHRT STUTTGART”. Mike Graham posłusznie skierował BMW w rwący potok wody, zalewający zjazd z autostrady.

Mike Graham zawsze był posłuszny, jeśli tylko zapłata była odpowiednia. Tymczasem ta, którą otrzymał od van Becka, była nie tylko odpowiednia – była nader szczodra. Jak mu wyjaśnił Niemiec, nieznany klient płacił za doskonałość. Graham zaś – o czym van Beck świetnie wiedział – w posługiwaniu się wszystkimi, nawet najnowocześniejszymi typami broni przejawiał niebywale zdolności. Przeszkolenie, jakie przeszedł w armii USA, a następnie uprzywilejowana pozycja zawodowa, z której skwapliwie korzystał, pozwoliły mu wznieść się na szczyt niedoścignionej perfekcji.

Smith, poprzez van Becka, zapewnił środki niezbędne do wykradzenia laserów, ale sam plan był dziełem Grahama, który właśnie przetrawiał go w myślach, po raz chyba tysięczny.

Korzystając ze sterowanego laserem, elektronicznego urządzenia podsłuchowego, umieszczonego na statywie w odległości ponad pół mili od bazy USA, Graham podsłuchiwał rozmowy w wartowni, chcąc poznać zmieniające się codziennie hasła. Musiał je znać, jeżeli chciał się przedostać na strzeżony teren we właściwym czasie... to znaczy w chwili, kiedy powracający z poligonu helikopter dotknie ziemi.

Graham podsłuchiwał też rozmowy w innych interesujących go obiektach na terenie bazy: w klubie oficerskim oraz w mieszkaniach wyższych oficerów, którzy przyjechali na wizytację i których twarze przypuszczalnie nie były znane wartownikom. Wkrótce upatrzył sobie pewnego generała i zaopatrzył się w komplet podrobionych dokumentów wystawionych na jego nazwisko.

Teraz ostrożnie jechał szosą przecinającą bazę z dala od zakazanej strefy. Zatrzymał się w zaułku obok niewielkiego bloku mieszkalnego, zajmowanego przez oficerów.

Dziesięć minut później mężczyzna w mundurze generała, z jakimś zawiniątkiem pod pachą, wyszedł z bloku i skierował się do klubu oficerskiego. Zerknął na zegarek, spojrzął w niebo i podszedł do jeepa, zaparkowanego na tyłach klubu.

Kapral na warcie oderwał się od magazynu z roznegliżowanymi panienkami, kiedy jeep z piskiem opon wyhamował przed wartownią. Podszedł do stojącego w drzwiach kolegi i razem wyjrzeli w ciemności na zewnątrz. Ostry warkot silników lądującego helikoptera podrażnił im uszy.

Z jeepa zwinnie wyskoczył jakiś mężczyzna; światła wartowni odbijały się na jego

generalskich insygniach. Kapral mocniej ścisnął swój karabin typu M-1

–Stać! – krzyknął.

Graham zatrzymał się.

–Na miłość boską, kapralu, alarm! – zawołał. – Spieszę się jak jasna cholera!

–Podejdźcie do rozpoznania!

Graham podszedł, parskając niecierpliwie. Wartownicy ujrzeli nieznanego sobie mężczyznę, wysokiego i barczystego, o ciemnych włosach i wąsach i opalonej szczupłej twarzy, który spoglądał na nich bystrym, inteligentnym wzrokiem. Miał arogancki, rozkazujący styl bycia. „Jak każdy generał” – pomyśleli żołnierze.

–Pośpieszcie się! – warknął Graham. Upiorne zawroźnienie silników wskazywało, że helikopter lada chwila wylądowuje na lądowisku za wartownią.

–Hasło! – rzucił kapral odruchowo.

–W co wy się tu bawicie?! – ryknął Graham. – Przepisy znacie? Wy się opowiadacie pierwsi!

–Senny pies – powiedział wartownik.

–Kątówka – odparł Graham, podając dokumenty. Kapral pamiętał to nazwisko: generał Otis T. Brick. Gruba ryba na wizytacji. Zasalutował.

–Tak jest, generale! – krzyknął, podczas gdy jego kolega nacisnął guzik podnoszący szlaban.

Graham wskoczył do jeepa, docisnął gaz, przejechał przez bramę i rozpryskując żwir zatrzymał się na skraju lądowiska. Trzej żołnierze, czekający na powrót helikoptera z czterema laserami na pokładzie, podskoczyli jak oparzeni, słysząc za plecami okrzyk Grahama:

–Jazda stąd, ale już!

–Baaaczność! – ryknął dowódca w randze kaprała. Trzej żołnierze wyprężyli się jak struna.

Graham zasalutował.

–Zabierzcie stąd wszystkich swoich ludzi – polecił. W reaktorze jądrowym na poligonie nastąpił przeciek. Lasery zostały skażone opadem radioaktywnym. Helikopter chyba też, w każdym razie mam rozkaz, żeby go stąd zabrać.

–Kim... kim pan jest? – zająknął się kapral. Graham zawrócił tymczasem do jeepa i wyciągnął skafander chroniący przed promieniowaniem. Wkładając go, próbował przekrzyczeć huk silników lądującego helikoptera.

–Generał Brick, Trzecia Armia, Brygada Specjalna. Ruszaj się, chłopie, ruszaj!

Graham ponownie sięgnął do jeepa i wyciągnął licznik Geigera oraz coś, co przypominało stalowy neseser. Rotory helikoptera przecinały jeszcze powietrze, a zaniepokojony pilot obserwował rozgrywającą się przed nim scenę, gdy Graham zanurkował pod wirującymi śmigłami i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

–Wyskakujcie! – rozkazał pilotowi. – Nastąpiło skażenie promieniotwórcze. Was też mogło dotknąć. Zaraz tu będą z pogotowia, to was zbadają. Nie wyłączajcie silnika, zabieram stąd maszynę.

Pilotowi nie trzeba było powtarzać. Wygramolił się z fotela i zeskoczył na ziemię, o włos unikając zderzenia z Grahamem.

–A co z panem, generale? – zapytał.

–Mam skafander ochronny – odkrzyknął Graham. – Polecę na drugą stronę poligonu i zajmę się odkażaniem. Wy martwcie się o siebie!

Od strony wartowni doleciał nagle dźwięk klaksonu; czterej żołnierze na lądowisku odwrócili wzrok od helikoptera, w którym Graham zwiększał już obroty silnika.

Dwa jeepy, nabite żołnierzami, pędziły w kierunku lądowiska. Z prowadzącego samochodu wystrzeliła salwa pocisków z pistoletów maszynowych. Trzej żołnierze i pilot rozbiegli się i padli na ziemię, jeepy zaś wyhamowały obok ustawionych rzędem beczek benzyny, jakieś sto metrów od helikoptera. Graham tymczasem szarpał wściekle za dźwignię otwierającą zawór przepustnicy.

W kierunku helikoptera wystrzeliła następna seria pocisków. Kule przebiły blachę śmigłowca; jedna z nich drasnęła Grahama w ramię, ale nawet nie poczuł bólu. Helikopter miał właśnie wznieść się w powietrze, gdy zabrzmiała trzecia salwa. Graham zaklął siarczyście. Otworzył neseser i wyciągnął ciężki, toporny pistolet maszynowy Schmeissera.

Oślepiiony potężnymi reflektorami, z trudem rozpoznawał oba pojazdy. Wybrał łatwiejszy cel.

Rozległ się grzmot eksplodujących beczek benzyny. Żołnierze, ukryci za osłoną jeepów, nie odnieśli obrażeń, ale w żaden sposób nie mogli już powstrzymać Grahama.

Korzystając z osłony gęstego dymu, helikopter wzbił się w powietrze, unosząc fałszywego generała i cztery rozmontowane, lecz w pełni sprawne Lap-lasery. Życzeniom Smitha stało się zadość.

Żołnierze zasypywali oddalający się śmigłowiec gradem pocisków, dając upust wściekłości. Po chwili dowódca, zrezygnowany, rozkazał przerwać ogień.

–Do ciężkiej cholery, kapitanie, co to za facet? – zapytał sierżant.

–Diabli go wiedzą, ale na pewno nie generał Brick, bo właśnie rozmawiałem z nim w klubie – odparł kapitan ze znużeniem. – Ktoś ukradł jego mundur, a że nie zrobił tego ordynans generała, więc pewnie to ten skurwysyn. – Nałożył czapkę na głowę, podparł się pod boki i zagwizdał przez zaciśnięte zęby. – Macie pojęcie, co tu będzie za burdel, jak się góra dowie, że straciliśmy ich ulubioną zabawkę... i to nie jedną, a wszystkie cztery? O Chryste! – Potrząsnął głową z podziwem. – Nie wiem, kim jest ten facet, ale jedno trzeba mu przyznać: załatwił to bez pudła.

Wojskowym nigdy nie udało się zidentyfikować Grahama. Ślad po BMW urywał się nagle, a Graham nigdzie nie zostawił odcisków palców. Ubranie, które porzucił, nie miało żadnych znaków rozpoznawczych, a zresztą i tak zostało kupione w jednym z wielkich domów towarowych. Z braku jakichkolwiek śladów można by wnosić, że Mike Graham był duchem. Albo zjawą.

Mike leciał tymczasem przez jakieś piętnaście minut na wschód, z góry ustaloną trasą. Następnie zszedł na niższą wysokość i przelatując nad wierzchołkami drzew, wpatrywał się w ziemię.

Wkrótce dostrzegł w ciemnościach mrugające światełko. Włączył reflektory do lądowania – w odpowiedzi rozbłysły trzy pary świateł samochodowych.

Wylądował szybko i sprawnie. Na pustym polu czekały na niego trzy pojazdy: wielki czarny citroen, volkswagen i niewielka, lecz solidna furgonetka. Kiedy Graham dobiegł do citroena, szofer w liberii bezszelestnie opuścił szybę.

–Przywiózł je pan? – zapytał.

–Uhm – potwierdził Mike.

–Znakomicie – skwitował szofer zwięźle. Mówił gardłowym głosem, po niemiecku. Z sąsiedniego siedzenia wziął luźno związany tobołek i neseser z miękkiej matowej skóry i podał je Grahamowi. – Ubranie, pański rozmiar – mruknął. – W walizce ma pan pieniądze i kluczyki do volkswagena. O lasery niech pan się nie martwi, sami je przeładujemy do furgonetki. Nawiążemy z panem kontakt, jak tylko przystąpimy do drugiego etapu operacji. A teraz niech pan znikną.

Graham otworzył neseser i uniósł brwi ze zdumienia na widok grubych paczek dolarów o niskich nominałach.

–No, no – mruknął. – Piękne dzięki.

Szofer skinął głową.

Mike, za plecami kierowcy, spróbował przyjrzeć się mężczyźnie na tylnym siedzeniu citroena, lecz przegroda z przydymionego szkła zasłaniała mu widok. Szyby samochodu też były przydymione. Mężczyzna na tylnym siedzeniu nie odezwał się ani słowem; siedział skulony, w obszernym płaszczu i kapeluszu opuszczonym nisko na oczy.

–Panu też dzięki – powiedział Graham radośnie. Tajemniczy mężczyzna nie odpowiedział; dalej siedział bez ruchu. Mike zrezygnował z dalszych prób nawiązania z nim kontaktu i oddalił się, pogwizdując.

Szofer odwrócił się i opuścił szklaną przegrodę.

–Przenieś lasery do furgonetki i zawiozę je do magazynu, proszę pana – odezwał się z szacunkiem.

–Więc do roboty – warknął Smith. – Ja wezmę citroena; spotkamy się w hotelu. Tylko nie zrób jakiegoś głupiego błędu. Graham nie zrobił; jest dobry.

Szofer pochylił głowę.

–A co z helikopterem?

–Zniszcz go – polecił Smith. – Razem z mundurem i skafandrem Grahama.

Mike ujechał nie więcej niż milę, gdy dobiegł go głośny wybuch i we wstecznym lusterku ujrzał płomienie stosu pogrzebowego helikoptera.

–Nie wiem, kim jest ten facet, ale jedno trzeba mu przyznać – mruknął pod nosem, poklepując neseser, leżący na sąsiednim siedzeniu. – Jak coś robi, to bez pudła.

Rozdział 2

Weesperplein nie należy do największych placów Amsterdamu, jak Sophiaplein, Rembrandtplein czy plac Damm, za to jego znaczenie handlowe jest niezaprzeczalne. Tego piątkowego wieczoru Weesperplein tętnił życiem i ruchem ulicznym, kiedy furgonetka pancerna, torując sobie cierpliwie drogę między innymi pojazdami i flegmatycznymi ludźmi interesu, podjechała przed dom pod numerem czwartym.

Z furgonetki wysiadł uzbrojony, umundurowany kierowca w hełmie na głowie. Zamknął szoferkę, podszedł do tylnych drzwi samochodu i zastukał w nie pałką. Z wozu natychmiast wyskoczyli dwaj mężczyźni, również umundurowani i uzbrojeni.

Kierowca spojrzął na misternie kute, pozłacane wskazówki zegara, wiszącego nad masywnymi, podwójnymi drzwiami domu pod czwórką. Za cztery minuty szósta.

–W samą porę – mruknął.

Podczas gdy dwaj strażnicy wynosili z furgonetki drewnianą skrzynię z metalowymi uchwytami po bokach, kierowca zadzwonił do drzwi. Otworzył mu niski, łysiejący mężczyzna o łagodnym spojrzeniu szarych oczu i nerwowych ruchach, który w milczeniu skinął głową. Kierowca odwrócił się do kolegów.

–Dawajcie ją tu! – polecił.

Dwaj strażnicy z trudem wtaszczyli do domu zapieczętowaną skrzynię. Widać było, że jest niezwykle ciężka. Po chwili wrócili po następną, identyczną, którą także wnieśli do środka.

Kilka minut później niski mężczyzna obserwował od progu, jak trzech strażnicy wsiadają do furgonetki. Zatrasnął drzwi i sprawdził, czy są dobrze zamknięte.

Kierowca ponownie spojrzął na zegar nad drzwiami: trzy minuty po szóstej.

–Wracamy – oświadczył.

Zegar nad bramą pięknego, imponującego domu pod czwórką na Weesperplein ozdobiony jest fryzem z gotyckich liter, informujących w dwóch słowach, co mieści się za tak okazałą fasadą: AMSTERDAM DIAMANTBEUR.

Mosiężna tablica na ścianie przy drzwiach zawiera, na użytek cudzoziemców, angielskie tłumaczenie: AMSTERDAMSKA GIEŁDA DIAMENTOWA.

Popelniając swoją pierwszą kradzież, Sabrina Carver miała siedem lat.

Mieszkała wtedy – tak jak i przez następne dziesięć lat – w swoim rodzinnym

mieście Fort Dodge, w stanie Iowa. Miasteczko było siedzibą administracji okręgu Webster, o czym Sabrina dowiedziała się już we wczesnym dzieciństwie, po to tylko, by natychmiast o tym zapomnieć.

Wyjaśniano jej także cierpliwie, że Fort Dodge założono w 1850 roku jako Fort Clarke, ale rok później konieczność pilnego uhonorowania niejakiego pułkownika Henry Dodge'a spowodowała zmianę nazwy. W 1853 roku fort opuszczono i nazwa przeszła na małą osadę, której mieszkańcy, żyjąc na nieurodzajnym pokładzie rzecznej mułu i gipsu, z najwyższym trudem wiązali koniec z końcem.

„Szczęśliwy pułkownik Dodge” – pomyślała Sabrina i o nim także szybko zapomniała.

Rzeka Des Moines, nad którą leży Fort Dodge, jest malownicza po dziś dzień, chociaż nie słyhać już nad nią wrzasków grasujących hord Indian i broniących się osadników. Wywarła jednak niebagatelny wpływ na życie młodej Sabriny Carver, jako że była świadkiem jej pierwszej kradzieży.

Pewnego razu, kiedy rodzice zabrali małą Sabrinę na wycieczkę statkiem po rzece, dziewczynka z zimną krwią odpięła małą broszkę od płaszcza siedzącej obok damy, która z ożywieniem rozmawiała z matką Sabriny. Nikt nie zwrócił uwagi na kradzież, dopóki, pół godziny później, matka dziewczynki nie spostrzegła broszki przypiętej do sukienki córki.

Sabrina bez oporów zwróciła broszkę, a wylewna właścicielka natychmiast jej wybaczyła („Biedne, niewinne małeństwo, przecież sama nie wiedziała, co robi”). W nagrodę za ten akt „dorosłej” skruchy dziecko otrzymało ćwierć dolara od pobłażliwej damy, która bawiła się Sabriną jak lalką. Nic dziwnego – dziewczynka miała śliczne ciemne oczy, długie jasne włosy z lekko rudawym odcieniem i poważną, świętoszkowatą twarzyczką. Żegnając się ze swoją nową przyjaciółką, Sabrina znowu ukradła broszkę, tym razem pilnując się, żeby matka jej nie przyłapała.

Sprzedła broszkę największemu rozrabiacie w szkole, za dwa dolary. Biorąc pod uwagę, że broszka składała się z trzech diamentów w srebrnej oprawie, cena nie była zbyt wygórowana. Ale w owych czasach Sabrina nie potrafiła jeszcze rozpoznać diamentów; myślała, że to zwykłe szkiełko.

Pomyliła się wtedy po raz pierwszy i ostatni.

Od tamtej pory Sabrina kradła regularnie, aby urozmaicić sobie wygodne, lecz nudne życie w drobnomieszczańskim domu. Nim skończyła dziewięć lat, miała już stały kontakt z zawodowym paserem, którego zadziwiła łatwością, z jaką przez trzy miesiące kradła ojcu instrumenty lekarskie i – sztuka po sztuce – dostarczała swojemu dentyście. Za każdym razem stosowała inną metodę działania, czym

kompletnie zdezorientowała policję.

Swoje wykształcenie, zdumiewającą sprawność fizyczną, opanowanie licznych dyscyplin sportu, a także wiele innych umiejętności – ba, nawet wybujałą urodę – bezwzględnie podporządkowała jednemu celowi: zaspokojeniu trawiącej ją ambicji, by wejść do grona największych złodziei wszechczasów. Wyboru nowych strojów, filmów, książek, wykładów czy sposobów spędzania wakacji zawsze dokonywała z nastawieniem, że muszą poszerzyć jej doświadczenie, przydać się jej do następnych wyczynów lub w inny sposób ułatwić sztukę kradzieży.

Temu jednemu Sabrina poświęciła się w najwyższym stopniu. W dniu siedemnastych urodzin opuściła szkołę średnią, uginając się pod ciężarem nagród i ściskając list od dyrektora, który domagał się, aby wstąpiła na uniwersytet Vassar czy przynajmniej Bryn Mawr, jako że była najzdolniejszą uczennicą w historii szkoły.

Paser Sabriny trzymał dla niej na swoim koncie sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów. W ciągu tygodnia Sabrina niemal podwoiła tę sumę, dzięki serii kradzieży w hotelu Des Moines. Jak stwierdziła policja, o taki wyczyn mógł się pokusić tylko mały oddział komandosów-akrobatów.

Sabrina gorąco podziękowała znajomemu paserowi i wycofała swój kapitał co do grosza, rezygnując z odsetek. Pieniądze ulokowała we własnej firmie, którą otworzyła w Nowym Jorku, po pewnym czasie zakładając filie w Paryżu, Monte Carlo, Rzymie i Gstaad.

Nigdy więcej nie pojawiła się w Forcie Dodge, w stanie Iowa, ani nie spróbowała nawiązać kontaktu z rodzicami.

Mając dwadzieścia pięć lat, doskonale zdrowie i wręcz nieprzyzwoitą urodę, Sabrina mogła mieć kochanków na zawołanie. Korzystała więc z tego w pełni i zmieniała ich jak rękawiczki.

Nigdy jednak nie dopuszczała do siebie myśli i uczuć, które mogłyby zaszkodzić jej nadrzędnej pasji, największej przyjemności jej życia: kradzieżom diamentów.

W rezultacie w dziedzinie kradzieży diamentów Sabrina zyskała międzynarodowy rozgłos jako najlepsza z najlepszych.

W Amsterdamie jest prawdopodobnie więcej diamentów niż gdziekolwiek na świecie. Diamenty odkryto w Indiach, lecz Holendrzy – którzy wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość, skłonni są traktować z przesadnym szacunkiem – parali się cięciem i szlifowaniem diamentów już od szesnastego wieku. W zakładach takich jak szlifiernia Asschera mistrzowie szlifierscy badają sokolim wzrokiem strukturę legendarnych kryształów i tną je z niezrównanym wyczuciem, precyzją i odwagą.

To właśnie szlifierni Asschera powierzono obróbkę diamentu Cullinana, ważącego dwa tysiące dwadzieścia cztery karaty. Mistrzowskiego cięcia podjął się sam Joseph Asscher. Gdyby sfuszerował robotę, jego firmę niechybnie czekałoby bankructwo, a w brytyjskim skarbcu klejnotów koronnych powstałaby niemała luka.

W manufakturach typu szlifierni Asschera odbywa się najbardziej fascynujący etap obrotu diamentami, ale centrum handlu kamieniami szlachetnymi stanowi Amsterdamska Giełda Diamentowa. Obraca się na niej także różnymi kruszcami, nic więc dziwnego, że szef służby bezpieczeństwa giełdy bez wahania przystał na prośbę ważnego klienta, dotyczącą transportu sztab złota.

–Nie zawracałbym ci tym głowy, ale mam zobowiązania wobec jednego z moich przyjaciół – powiedział mu ów klient, Kees van der Goes. – W drugiej połowie tygodnia miały dotrzeć do Amsterdamu jego skrzynie ze złotem... przynajmniej tak było w planie, ale nastąpiło pewne opóźnienie w drodze do Londynu. Prosił mnie, żebym cię zapytał, czy nie przechowałbyś mu tych skrzyń do poniedziałku rano. Dostarczono by ci je w piątek wieczorem.

Van der Goes, powszechnie znany handlarz złotem i diamentami, był dla giełdy cennym klientem, toteż znerwicowany, wiecznie wylęczniony szef służby bezpieczeństwa zgodził się natychmiast.

–Poczekamy z zamknięciem skarbcza na tę przesyłkę – obiecał. – Spróbuj jednak tak to załatwić, żeby skrzynie dostarczono przed szóstą, to będziemy mogli uruchomić mechanizm zegarowy o zwykłej porze.

Van der Goes przyrzekł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, słusznie licząc na pełne poparcie funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa giełdy. Jednak ani on, ani oni nie wzięli w rachubę nazbyt skrupulatnego i pedantycznego agenta handlarza, który dotarł na giełdę tuż przed nadejściem przesyłki i stanowczo domagał się przynajmniej częściowego sprawdzenia zawartości obu skrzyń.

Skrzynie przeniesiono do korytarza na tyłach budynku i ustawiono obok siebie na metalowej podłodze. Mimo iż zegar na ścianie wskazywał już siedem po szóstej, masywne stalowe drzwi skarbcza były otwarte. Skrupulatny agent skończył właśnie pieczętować pierwszą skrzynię i chciał otworzyć następną.

Niepokój znerwicowanego szefa służby bezpieczeństwa wzrastał z każdą sekundą.

–Nie mógłby pan darować sobie tej drugiej skrzyni? – zapytał błagalnym tonem. – Zawiera pewnie to samo, co pierwsza.

–Jestem o tym najgłębiej przekonany, w końcu to chyba normalne – odparł agent.

–No więc?

–Niestety, mój drogi, trzeba się upewnić – zaprotestował skrupulatny człowieczek. – Czy mam przez pana zaniedbać obowiązki?

–Moim obowiązkiem jest zamknięcie skarbcza!

–Więc go pan zamknie. Wszystko w swoim czasie.

Szef służby bezpieczeństwa spojrzął na agenta z jawnym obrzydzeniem. Agent zignorował go, zerwał pieczęcie z drugiej skrzyni i podważył wieko. Także i tę skrzynię wypełniały po brzegi błyszczące sztaby złota, agent nalegał jednak, aby i tym razem zdjąć sztaby z górnego rzędu i sprawdzić, co znajduje się pod nimi. Wreszcie, usatysfakcjonowany, opuścił wieko i zaczął mozolnie zapinać klamry i zakładać pieczęcie.

Ocierając pot z czoła, znerwicowany szef służby bezpieczeństwa domknął drzwi skarbcza, przekręcił koło zasuwające rygle, nastawił szyfr zamka i mechanizm zegarowy. Skarbiec Amsterdamskiej Giełdy Diamentowej miał pozostać zamknięty, dźwiękoszczelny i hermetyczny, aż do dziewiątej rano w poniedziałek.

Od zewnątrz drzwi skarbcza można było otworzyć jedynie za pomocą solidnej bomby.

Natomiast sposobu na otwarcie tych drzwi od wewnątrz jak dotąd nie wymyślono.

Powietrze w skarbcu było duszne i gorące, a cisza niemal namacalna. Tej przytłaczającej atmosfery nie mącił najłżejszy szmer, najcichszy szelest.

Tym koszarniej zabrzmiał więc potężny trzask, kiedy ktoś wykopał boczną ściankę jednej ze skrzyń.

W nieprzeniknionej ciemności skarbcza wysunęły się najpierw nogi, a potem cała, ubrana na czarno, postać. Pomimo upału (który, pod kontrolą termostatu, wciąż wzrastał) intruz zadrżał – atmosfera skarbcza przypominała grobowiec.

Egipskie ciemności rozproszył promyk maleńkiej latarki. Włamywacz oświetlił drugą skrzynię, podważył jej wieko za pomocą narzędzi wydobytych z „powierzchni mieszkalnej” w pierwszej skrzyni i wyciągnął następane narzędzia: duże reflektory na baterie, aparat tlenowy, radio oraz urozmaicony zapas jadła i napojów.

Zapłonął reflektor; w jego świetle ukazała się postać złodzieja, ubrana od stóp do głów w czarny kombinezon z kapturem, jakby żywcem wyjęta z komiksu. Intruz zsunął na chwilę kaptur, aby założyć maskę, połączoną z aparatem tlenowym.

Wkrótce Sabrina Carver odpięła kaptur i rozpuściła bujne włosy. Włączyła radio i zabrała się za kanapki z wędzonym łososiem i butelkę wyśmienitego Pouilly Fouissé.

„Do poniedziałku rano jeszcze tak daleko – pomyślała – a tylko kradzież niewielkiej fortuny w diamentach pomoże mi zabić czas”.

Wskazówka zegara elektrycznego, sterującego mechanizmem czasowym zamka, przeskoczyła na ósmą pięćdziesiąt dziewięć. Szef służby bezpieczeństwa wzdrygnął się, mimo iż cotygodniowa procedura otwierania skarbcza w poniedziałek rano była wciąż taka sama, jak przed dwunastu laty, kiedy zaczynał pracę na Amsterdamskiej Giełdzie Diamentowej.

Zmieniały się jedynie urządzenia, z biegiem lat coraz bardziej skomplikowane; a jednak szef bezpieczeństwa, mimo iż zegar działał bezgłośnie, zachowywał się tak, jak gdyby wskazówka wybijała rytm nadejście końca świata.

Jak zwykle, towarzyszył mu wicedyrektor giełdy, za nimi zaś, w dyskretnej odległości, czaili się dwaj umundurowani strażnicy z bronią w rękach. Jeden z nich nie spuszczał oka z pedantycznego agenta van der Goes.

Dziewiąta.

Nad tablicą rozdzielczą przy drzwiach skarbcza zamrugła biała lampka. Napis poniżej informował, iż jest to wyłącznik zegarowy. Na znak wicedyrektora jeden ze strażników nacisnął dźwignię wyłącznika.

Szef bezpieczeństwa odetchnął z ulgą i podszedł nastawić szyfr zamka i przekręcić koło zwalniające rygle.

Strażnicy unieśli broń i oskrzydłili dwóch cywilów.

Rygle odskoczyły z głośnym, metalicznym szczękiem i potężne drzwi otworzyły się bezszelestnie. Szef bezpieczeństwa spojrzął przez ramię na przełożonego i uśmiechnął się po raz pierwszy od trzech dni.

Wszyscy mężczyźni podeszli do skarbcza, lecz zatrzymali się w progu jak wryci. Nie wierzyli własnym oczom... stalowe kasetki depozytowe wały się po całej podłodze, rozbebeszone i – rzecz jasna – puste, w towarzystwie trzech równie pustych butelek wina. Nim jednak zdążyli w pełni ogarnąć wzrokiem tę niewiarygodną scenę, wypadła na nich dziwaczna postać w czarnym kombinezonie z kapturem.

Strażnicy rozdziawili usta; nie było ich stać na nic więcej. Zanim uświadomili sobie, co się dzieje, intruz uciekł.

Zdążyli tylko zarejestrować mgliste, nierealne wrażenie: odgłos toczących się kół.

Dopiero gdy postać w czarnym kapturze zniknęła za rogiem korytarza, jeden ze strażników ocknął się, odwrócił na pięcie i strzelił na oślep.

–Wrotki! – krzyknął. – Uciekł na wrotkach!

W sąsiedniej sali urzędnicy i pierwsi klienci uskakiwali w popłochu na widok skulonej zjawy, pędzącej na nich długimi susami.

Rozpędzone wrotki zazgrzytały nieprzyjemnie na marmurowej posadzce, gdy Sabrina – widząc, że ściana rośnie jej w oczach – rozpaczliwą przekładanką skręciła w korytarz. Urzędniczki, wystrojone sekretarki i ich szefowie rozbiegali się, przerażeni, by dać jej wolną drogę. Jedni przyklejali się do ścian, inni wpadali w otwarte drzwi.

Tymczasem Sabrina wciąż przyśpieszała, błyskając oczyma spod kaptura. Na plecach miała przymocowaną czarną torbę. Pochylona jak na zawodach, rytmicznie wymachując rękami, skręciła karkołomnie w drugi korytarz, a później, mijając uchylone szklane drzwi, przejechała trzecim i czwartym, aż z powrotem znalazła się na tyłach budynku.

Lawirując błyskawicznie między grupkami przerażonych ludzi, pogrążonymi w rachunkach księgowymi, stolikami na kółkach i innymi przeszkodami, a jednocześnie nabierając szybkości, dawała przykład zapierającej dech w piersiach brawury.

Nagle znalazła się w ślepym zaułku.

Zaciskając zęby i napinając mięśnie, z zimną krwią spojrzała przed siebie.

Korytarz kończył się olbrzymim oknem, sięgającym od sufitu do podłogi. Sabrina nabrała rozpędu, pochyliła się jeszcze bardziej i z triumfalnym okrzykiem wyskoczyła w powietrze.

Wyciągniętymi przed siebie nogami i zaciśniętymi pięściami uderzyła w szybę, rozbijając ją w drobny mak. W deszczu szklanych odłamków wyleciała na ulicę.

Wywijając rękami niczym skoczek narciarski ratujący się przed upadkiem, uniknęła zderzenia z oszołomionym przechodniem i, nie tracąc równowagi, wylądowała na jezdni. Nie zatrzymując się ani na chwilę, skręciła w najbliższą, biegnącą w dół przecznicę, poprzedzana łoskotem wrotek.

Z prawej strony, tak jak przewidywała, wyrosła przed nią wąziutka uliczka, niemal alejka. Wszystko szło zgodnie z planem.

Wymijając pojemniki na śmiecie, skręciła w alejkę i skierowała się na ogrodzony plac na tyłach podrzędnego teatru.

Za plecami słyszała trąbienie klaksonów oraz krzyki strażników i policjantów, którzy poniewczasie wpadli na jej trop. Sabrina zatrzymała się raptownie, odpięła wrotki i

wrzuciła je do torby. Zza paska wyciągnęła klucz i weszła do wyludnionego teatru.

Liczni gapie, obserwujący niecodzienne na tej cichej uliczce zamieszanie, brali olśniewająco śliczną dziewczynę w spodniach za aktorkę, choćby dlatego, że wyszła z teatru. Dziewczyna, z dużą torbą przewieszoną przez ramię, uśmiechnęła się prowokująco do mijających ją strażników.

Sabrina wróciła na Weesperplein, skąd pojechała tramwajem do Rijksmuseum. Spędziła tam pół godziny, podziwiając płótna Rembrandta, a następnie spacerkiem ruszyła na plac Damm, do hotelu „Krasnopolsky”.

Na Amsterdamskiej Giełdzie Diamentowej wicedyrektor i szef służby bezpieczeństwa udzielali informacji policjantom.

–Zawartość okradzionych kasetek oceniam na czterysta tysięcy dolarów – stwierdził ponuro wicedyrektor – Bogu dzięki, że pod koniec tygodnia zwykle jest zastój, bo byłoby gorzej.

–I tak dostało mu się za dużo – powiedział szef bezpieczeństwa grobowym głosem. – Oj, za dużo, za dużo. – Sapał ciężko, w tragikomiczny sposób potrząsając głową. – Wrotki! No coś podobnego... wrotki!

–A co ze złotem mojego klienta? – zapytał agent Keessa van der Goesa.

–Niczego nie wolno stąd zabierać – wtrącił zmęczony policjant o surowej twarzy. – To rozkaz.

–Ale pieczęcie są przecież nietknięte – zaprotestował agent piskliwie. – Skrzynie są w takim samym stanie, co w piątek wieczorem.

Rzeczywiście tak było. Z wyjątkiem butelek po winie, które zostawiła z czystego zuchwalstwa. Sabrina uprzątnęła swoje rzeczy i schowała je z powrotem do skrzyń. Przybiła także wykopaną boczną ściankę. Przy dużej dozie szczęścia oględziny nie powinny niczego wykazać

–Taak? To powiedz pan, skąd się tam wziął ten facet w czarnym kombinezonie? – spytał cierpko policjant. – No? I te cholerne butelki? Hę?

Tym razem agent nie znalazł odpowiedzi.

Rozdział 3

Na scenę wkracza „czarny człowiek-pająk”.

Nawet w nocy Nowy Jork, a zwłaszcza kaniony wielkich alei, sprawia wrażenie, jak gdyby był ze szkła. Gładkie, lustrzane ściany, wyrastające z nienacka ze wszystkich stron i wzbijające się w niebo na setki stóp, przypominają obwieszone bombkami choinki, w których odbija się ta egzotyczna panorama drapaczy chmur i spelunek, kościołów i burdeli.

W zasadzie im większy budynek, tym większe pieniądze mają ci, którzy w nim żyją, pracują, a także – w tych rzadkich chwilach, kiedy nie zaprzęta ich życie i praca – od czasu do czasu kochają się.

Ludzie z dużymi pieniędzmi lubią otaczać się łupami, znamionami dobrobytu i zamożności, choć zazwyczaj po to tylko, by przypominały im, jak hojne jest dla nich życie. Następnie płacą oni innym, bardziej utalentowanym, aby wyeksponowali te trofea w sposób jak najbardziej estetyczny, po czym spraszają do swoich pałaców tłumy ludzi, dla których życie nie jest już tak hojne, pozwalając im podziwiać i siebie, i swoje precjoza.

Z działalności tej płynie dwojaki pożytek: z jednej strony uczy ona zwiedzających, że grzech śmiertelny, któremu na imię zazdrość, to w życiu największa siła napędowa, z drugiej zaś dostarcza okazji do sporadycznego odkurzania płócien Pollocków, waz z epoki Ming czy masek Majów.

Niestety, ma to również jedną ujemną stronę: trafiają się bowiem bezczelne indywidua, na tyle natrętne, że usiłują odebrać nababom ich trofea. Z konieczności więc skarbów tych pilnuje się z tak fanatyczną gorliwością, że wspaniałe apartamenty na szczytach wieżowców zamieniają się w fortece – a właściwie w więzienia.

Na szczęście siedziby krezusów są przeważnie nie do zdobycia, toteż ci prawi obywatele mogą spać spokojnie – co w światku przestępczym niewątpliwie jest źródłem nieustającej radości. Czasami jednak bogacze wpadają w nastrój tak beztroski, że z ochotą wypożyczają swoje skarby na wystawy publiczne, by tłumy ludzi mogły podziwiać je i ślinić się na widok bezpretensjonalnych tabliczek, niedwuznacznie informujących, kto udostępnił eksponaty.

Wystawy publiczne strzeżone są z jeszcze większą uwagą i poświęceniem niż kolekcje prywatne, jako że bogacze, nawet jeśli nie cenią naprawdę swoich skarbów, wpadają w szewską pasję, gdy zamiast zbiorów przychodzi im inkasować odszkodowanie.

Kiedy „czarny człowiek-pająk” czuł się znudzony okradaniem pałaców milionerów, to – z równie pogardliwą łatwością – okradał wystawy publiczne.

Przy Piątej Alei na Manhattanie wiele jest szklanych domów – jak mógłby to ująć poeta. Jeden z takich gmachów stoi na odcinku między Pięćdziesiątą Ósmą a Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Przed wejściem tablica informacyjna, ustawiona na gustownych sztalugach, zaprasza przechodniów: „EKSPOZYCJA GOŚCINNA SKARBÓW TANG. GALERIA NA TRZYDZIESTYM ÓSMYM PIĘTRZE”.

Większość budynku tonie w ciemnościach, lecz hall, zwłaszcza przy windach, jest jasno oświetlony. Siedzą w nim dwaj uzbrojeni mężczyźni w mundurach strażników, rozmawiając i paląc papierosy...

C.W. wspinał się po szklanej ścianie, wzmocnionej stalowymi belkami. Jego czarne ciało okrywał czarny strój; palce bosych stóp miał równie chwytne, jak palce dłoni w rękawiczkach. Nie musiał się wspinać daleko – wózek pomywacza szyb, podnoszony za pomocą kołowrotu wzdłuż pionowej stalowej belki, znajdował się siedem metrów wyżej.

C.W. nawet się po drodze nie spocił. Wkrótce wózek ruszył powoli w górę. C.W. nie bawił się wyliczenie pięter – wiedział, że pozna trzydzieste ósme, kiedy do niego dojedzie.

Spojrzał w dół i rozejrzał się. Z jednej strony, jak sięgnąć okiem, ciągnęła się aleja – wstęga ruchomych świateł; z drugiej rozpościerał się mroczny, groźny Central Park.

W salach wystawowych na trzydziestym ósmym piętrze nie wygaszano wszystkich świateł. Galerię zamykano wprawdzie na noc, ale najcenniejsze arcydzieła chińskiej rzeźby i metaloplastyki były stale oświetlone; jedne, w miarę potrzeby, silnymi reflektorami, inne ledwie muskane promieniami światła, które wydobywały z nich pełnię wspaniałego, niepowtarzalnego artyzmu i subtelności.

C.W. zajrzał przez okno i dostrzegł główny eksponat – wspaniałego Skrzydlatego Konia z okresu panowania dynastii T’ang. „Człowiek-pająk” patrzył z zapartym tchem. Rzeźba sprawiała wrażenie zbyt delikatnej, by można ją było dotknąć. Ale ona właśnie była celem jego wyprawy – zlecono mu kradzież tego konia, dzięki czemu będzie go miał na własność przez kilka krótkich, cennych godzin.

C.W. zauważył jeszcze jeden typ oświetlenia. Promienie świateł laserów, szperające po głównej sali wystawowej, krzyżowały się niczym reflektory patrolowe, przeszukując pomieszczenie i strzegąc eksponatów z nieosiągalną dla ludzi skutecznością.

Zetknięcie się intruza z którymś z błyszczących promieni natychmiast uruchamiało system alarmowy w salach galerii, w hallu, w apartamencie szefa służby

bezpieczeństwa budynku, a także w komisariacie Manhattan Central i dwóch innych obwodach policyjnych. Skrzydlaty Koń, wdzięczny i elegancki, stojąc na swoim postumencie był jakby świadomy potęgi strzegących go sił.

C.W. ogarnęło wariackie wrażenie, że wystarczy jeden gwizd, a koń wyskoczy ze swego więzienia prosto w jego ręce. Zagwizdał nawet, lecz tylko jego ciepły oddech, odbity od szyby, uderzył go w twarz. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że koń do niego mrugnął.

Z westchnieniem podniósł z podłogi wózka wielką gumową przyssawkę. Docisnął ją do szyby i przywiązał linką do podpory pionowej belki. Następnie wyciągnął zza paska diament do szkła i cierpliwie naciął idealny okrąg dookoła przyssawki.

Powtórzył tę czynność jeszcze kilkakrotnie i schował diament. Kciukami obu rąk puknął w szybę obok przyssawki, która na tle okna wyglądała jak czarny karbunkuł.

Szkło ustąpiło; C.W. ostrożnie chwycił przyssawkę z wykrojonym kawałkiem szyby i opuścił ją na linie, tak że wisiała spokojnie wzdłuż ściany budynku. Przecisnął się przez okrągły otwór, unikając niskiego, ukośnego promienia światła, i znalazł się w galerii. Przez chwilę stał bez ruchu, starając się odzyskać orientację i przystosować oczy i ciało do zmiany oświetlenia i temperatury. Oddychał równo, głęboko, napinając mięśnie przed czekającym go najwyższym dziesięciosekundowym sprintem po konia i z powrotem, na wolność.

„Czarny człowiek-pająk” wiedział bowiem, iż nie ma najmniejszej szansy ukraść konia i uciec niepostrzeżenie. Być może mogłaby tego dokonać armia techników i elektroników, ale C.W., jak zawsze, pracował sam. On musiał zaryzykować.

Do pomocy miał tylko zwierzęcą siłę, niewiarygodnie zimną krew, dziką naturę i bezgraniczną pogardę dla niebezpieczeństwa.

Miał jeszcze jedną zaletę, w jego fachu godną najwyższego podziwu – opanowanie, dzięki któremu rzadko uciekał się do użycia siły. Owszem, używał siły – wobec wszelkich przedmiotów, które mu stały na drodze, jak rygle, drzwi, sejfy, urządzenia alarmowe; ale nigdy wobec ludzi. C.W. ceniał ludzi – nawet tych najbogatszych – niemal tak samo jak ich przepiękne dzieła sztuki.

Odetchnął głęboko, gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i skoczył na środek sali.

Jeżeli ktoś otrzymał na chrzcie imiona Clarence Wilkins, a kolegom w szkole na pytanie, którego z nich mają używać, odpowiadał „żadnego”, to nie dziwota, że siłą musiał bronić swych praw. Clarence Wilkins Whitlock zetknął się z tym problemem już we wczesnej młodości, lecz po krwawych, na szczęście krótkich potyczkach w jednej z podrzędnych dzielnic Tallahassee, na Florydzie, wywalczył sobie, że nazywano go „C.W.”

Zawsze chadzał własnymi drogami, czy raczej bezdrożami. Instynktownie doceniał piękno natury tej części północnej Florydy, gdzie na wyżynie, niczym gniazdo otoczone falistymi pagórkami, jeziorami i strumieniami, leży Tallahassee. Za każdym razem, gdy tylko udało mu się wyrwać z domu, C.W. tam właśnie lubił spędzać czas – kąpać się w małych, rwących potokach, opalać na cichych wyżynach i wdrapywać na gigantyczne magnolie czy majestatyczne, omszałe dęby.

Dom był dla niego jedynie przystanią, lecz nie spokoju, a gniewu; wyspą ubóstwa i goryczy na morzu obfitości. Przede wszystkim zaś był glebą, na której wykiełkował jego rasizm (C.W. sam przyznawał, że można go zaliczyć do czarnych rasistów). Jego młodość przypadła na okres budzenia się świadomości czarnej rasy, a ten fałszywy przedświt przyciągał go jak magnes. Nie czuł jednak do białych nienawiści – bał się ich jak ognia; strach zaś, jak się przekonał, to uczucie dużo silniejsze od nienawiści.

Dopiero kiedy zaczął zdobywać niepodważalną pozycję, odkrył, że strach przed białymi ustąpił miejsca ostrożnej obserwacji, potem niechętnemu uznaniu ich istnienia, aż wreszcie akceptacji białych jako niezbędnego składnika jego własnej społeczności. Bo gdyby nie oni, to któż byłby murzynem Murzyna? Może Żydzi? Meksykanie? Latynosi? Makaroniarze?

C.W. został młodocianym przestępcą nim zdążył pomyśleć, że można żyć inaczej. Kiedy więc później zaczął zastanawiać się nad dalszą karierą, wybór – podobnie jak w przypadku Sabriny Carver – narzucał się sam.

Tym bardziej że oprócz bystrej głowy i gibkiego ciała C.W. miał bezcenny talent – czy to w dzień, czy w nocy, potrafił wspiąć się dosłownie na wszystko; wszędzie, gdzie miał ochotę lub był zmuszony się wdrapać. Pewien złośliwiec z grona jego kumpli ochrzcił go w związku z tym „Małą”, szybko jednak przekonał się, że C.W. nie jest entuzjastą przezwisk. Ale w późniejszych latach C.W. napawał się skrycie przydomkiem „czarnego człowieka-pajaka”, pod którym zdobył rozgłos w amerykańskim podziemiu; uznał, że jest to stosowny wyraz hołdu dla jego niepośledniego talentu.

W początkach swojej kariery C.W. koncentrował się na coraz to większych wyczynach – a ściślej mówiąc, wysokościach. Za każdym razem stosował śmielsze, bardziej wyrafinowane metody kradzieży, toteż jego koledzy po fachu bynajmniej nie byli zdziwieni, że jego złodziejskie umiejętności szybko wykroczyły poza ich stały, ograniczony repertuar.

Jedynym przyjacielem, a czasami współnikiem C.W. był Pawnee Michaels – autentyczny Indianin czystej krwi. Razem walczyli w Wietnamie i razem wkroczyli na drogę zbrodni. Pawnee był jednak tylko zbędnym balastem, z czego zresztą zdawał sobie sprawę. Niefachowy i niezręczny, pewnego dnia spróbował szczęścia na

własną rękę. C.W. widział, jak Pawnee spada z dachu banku w Trenton, w stanie New Jersey, lecz odszedł, nie widząc żadnych korzyści z potwierdzania tożsamości potwornie zmasakrowanych zwłok.

Od tamtej pory pracował sam. Tak jak Sabrina Carver, przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie budynki były wyższe i bardziej prowokujące. I tak jak ona, korzystał z pasera nazwiskiem Lorenz van Beck...

C.W. lawirował między promieniami laserów i przemykał się wśród eksponatów, nie zdradzając swojej obecności.

Wylądował na palcach obok centralnego postumentu i zamarł w bezruchu, dochodząc do siebie i zbierając siły. Po chwili wyciągnął obie ręce w gąszcz promieni laserów i porwał konia z epoki T'ang.

Upiorne zawrodozenie syren alarmowych przeszło ciszę budynku jak błyskawica. Szef służby bezpieczeństwa gmachu poderwał się na łóżku, strącając budzik z nocnego stolika. Klnąc na czym świat stoi, sięgnął po telefon.

Strażnicy w hallu sprawnie zabrali się do roboty – jeden z nich popędził do windy, drugi zaś rzucił się do frontowych drzwi, by zamknąć je na awaryjne zamki. Wrócił natychmiast, aby sprowadzić na dół pozostałe trzy windy i unieruchomić je, gdy tylko zjadą na parter. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w światelko nad drzwiami windy, którą pojechał jego kolega. Światelko zatrzymało się na liczbie „38”. Jednocześnie zadzwonił telefon. Strażnik sięgnął po słuchawkę.

–Tak, sprawdzamy. W porządku – powiedział. Rzucił słuchawkę na widełki i skierował się do trzech wind, które właśnie zjechały na dół. Wcisnął przyciski unieruchamiające kabiny i uśmiechnął się z zadowoleniem. Złapali skurwiela w pułapkę – gdziekolwiek się znajdował, nie mógł opuścić budynku.

Szef bezpieczeństwa stracił tylko tyle czasu, ile potrzeba na wskoczenie w slipy, jako że jego jedyną „piżamą” był pistolet. Wskoczył ze swojego apartamentu, położonego bezpośrednio pod galerią, i siedem sekund później znalazł się na schodach.

Nie było tam nikogo – ani na górze, ani na dole. Nikt nie zdążyłby uciec w dół, a więc intruz musiał być wyżej.

Strażnik i jego szef wpadli do galerii jednocześnie, z różnych stron. O mały włos nie postrzelili się nawzajem, ale – jak przystało na zawodowców – mieli koci refleks.

–Gówno! – mruknął szef na widok pustego postumentu po Skrzydlatym Koniu z epoki T'ang. Tymczasem strażnik dostrzegł wielką dziurę w szybie.

–Tam! – krzyknął i obaj podbiegli do okna. Spojrzeli w dół. Tam właśnie powinien być złodziej, musiał tam być... ale go nie było. Reflektory włączone przez instalację alarmową dokładnie oświetlały cały front budynku. Na tej szklanej ścianie nawet mucha nie uszłaby ich uwadze.

Włamywacz musiał więc być nad nimi. Obaj wystrzelili w stronę rozkołysanego wózka, który do dachu miał już tylko kilka metrów.

–Leć na dach! – ryknął szef. – Podeślę ci Tommy’ego i wezmę helikopter. – Ponownie wyrztał na zewnątrz i wystrzelił; widział, jak kule uderzają o stalową podłogę wózka, ale nie był pewien, czy ją przebiły.

C.W., oparty o boczną ściankę wózka, poczuł szarpnięcie, oznaczające koniec drogi. Liczył strzały, więc wiedział, że została jeszcze szósta, ostatnia kula. Nie miał jednak chwili do stracenia.

Gorączkowo rzucił się w górę, macając palcami, aż zacisnął je na granitowym gzymsie u szczytu budynku. Poczuł, jak przez cienkie rękawiczki odłamki kamienia wbijają mu się w dłonie. Palcami nóg przywarł do ściany niczym pijawka. Padł ostatni strzał. C.W. ujrzał, jak kula odłupuje kawałek granitu zaledwie o cal od jego lewej dłoni. Poczuł, że łamią mu się paznokcie, gdy – wykończony psychicznie i fizycznie – napinał mięśnie.

Mały wózek kołysał się pod jego stopami. C.W. zaczerpnął powietrza i zdobył się na ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Podciągnął się i – niemal rżężąc – wylądował na dachu. Biegiem dopadł drewnianej budki, w której mieścił się wylot szybu wentylacyjnego i centrum stacji klimatyzacyjnej. Wiedział, że to kwestia sekund, nim zaczną go tam szukać, a miał pełne ręce roboty.

Rozdarł paczkę, którą schował tam przed tygodniem, i błyskawicznie zmontował urządzenie, mające zapewnić mu wolność. Dopinając pasy, pozwolił sobie na nikły, sardoniczny uśmiech. Nie wątpił, że mu się powiedzie, jeżeli jeszcze przez chwilę zostawią go w spokoju... jeszcze kilka sekund i będzie bezpieczny.

C.W. Whitlock był bowiem jednym z najlepszych lotniarzy na świecie.

Wszedł na podwyższenie, które miało mu posłużyć za pas startowy: pokrywę szybu wentylacyjnego. W tej samej chwili drzwi na dach otworzyły się z trzaskiem i strażnik posłał serię pocisków. Spóźnił się jednak o ułamek sekundy, C.W. bowiem... zniknął.

„Czarny człowiek-pająk” nigdy nie próbował w mieście lotów ślizgowych i zamiast skakać z dachu wieżowca, wolałby wystartować mniej spektakularnie. Ale nie miał wyboru.

Wiatr szarpał jego ciałem, a kolejne piętra migwały mu przed oczami. Przyszło mu na

myśl, że nikt jeszcze nie próbował latać na lotni nad Manhattanem. Cóż, zainteresowani wkrótce się dowiedzą, czy jest to wykonalne.

Zamierzał zastosować nietypową technikę i nabrać olbrzymiej szybkości do lotu ślizgowego, zamiast skorzystać z prądów ciepłego powietrza, które podnosiło się znad ulic miasta. Powód, dla którego wybrał lot ślizgowy, był prosty: nie miał zamiaru wylądować na jakiejś jezdni, gdzie byłby skazany na łaskę ruchu ulicznego i policji. Za to gdyby udało mu się dotrzeć jednym ślizgiem do sanktuarium Central Parku...

W uszach świstał mu pęd powietrza, a betonowe, szklane i marmurowe fasady domów zlewały się w brudnoszarą smugę, kiedy jak kamień spadał na ulicę. Chciał wyhamować, ale nurkował zbyt szybko. Tymczasem sąsiedni drapacz chmur z każdą sekundą rósł mu w oczach.

Z całych sił ściągnął pasy lotni, niemal wrywając sobie przy tym ramiona ze stawów. Równoległe rzędy świateł, obrysowujące następny budynek, obróciły się o dziewięćdziesiąt stopni; mózg C.W. zarejestrował z przerażeniem, że Nowy Jork przewrócił się na bok.

Przez krótką, przerażającą chwilę zdawało mu się, że wieżowiec, który usiłuje ominąć, znajduje się dokładnie pod jego stopami i że będzie musiał wylądować na nim i zejść jak mucha po słupie. Na szczęście trafił na prąd powietrza i wyrównał lot, niemal płacząc z ulgi, gdy jezdnia zniknęła spod czubka skrzydła lotni i wróciła na swoje miejsce w systemie grawitacji.

Rozejrzał się rozpaczliwie i stwierdził, że jeszcze jest dostatecznie wysoko, by złapać prąd termiczny, jeżeli na taki trafi. Ale to jakiś miłosierny prąd trafił na niego i natychmiast, choć tak niedostrzegalnie, że nie zdawał sobie z tego sprawy, C.W. zaczął nabierać wysokości.

Wzbił się o dwa piętra i nadal się wznosił; teraz leciał już poza zasięgiem broni strażników w gmachu galerii. Ale co by było, gdyby spadał dalej?

Prąd termiczny był jednak dla niego łaskawy i uniósłszy go o dalsze piętnaście metrów w górę, skierował na ścianę najbliższego wieżowca. C.W. skręcił bez zwłoki, okrążył budynek i dotarł do najbliższej przecznicy. Tam, po drugiej stronie Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, czekały na niego drzewa Central Parku.

C.W. pomachał radośnie jakiejś parze, kochającej się z zapamiętaniem w apartamencie na czternastym piętrze. Zaskoczeni, że podgląda ich przelatujący za oknem człowiek, oderwali się od siebie, spadając z łóżka. C.W. zwrócił uwagę, że kociak był niczego sobie. W pamięci zanotował położenie mieszkania.

Niesiony zbawczym wiatrem, przeleciał na drugą stronę Pięćdziesiątej Dziewiątej

Ulicy, obniżył lot kontrolowanym nurkiem i przelatując nad wierzchołkami drzew, wybrał dogodne lądowisko. Stamtąd dotarł do czekającego nań kierowcy w samochodzie kombi, ukrył lotnię i Skrzydlatego Konia w skrytce pod podłogą wozu i pojechał do domu, nie zwracając większej uwagi na irytację policjantów przy blokadzie na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Lorenz van Beck wysiadł z autobusu w Rambouillet i wszedł do kawiarenki po drugiej stronie placu, ale nie tej, w której bawił ostatnio. Tym razem miał na sobie jaskrawą koszulę w kratkę, rozpiętą kurtkę luźno przewiązaną paskiem, dżinsy i ciemne okulary. Wypił jednego dubonneta i ruszył do kościoła.

W drzwiach powitało go bicie zegara. Usadowiwszy się przy konfesjonale usłyszał, jak Smith szeleści kartkami papieru po drugiej stronie kratki.

–No? – powiedział Smith.

–Pobłogosław mnie, ojczy, bo...

–Dość!

–Przepraszam, ale ostatnim razem zdawało mi się... – zaczął się tłumaczyć van Beck.

–Nieważne, co było ostatnim razem. Dzisiaj się śpieszę. Słucham.

Van Beck zastanawiał się nad sytuacją, kombinując, jak mógłby ją wykorzystać.

–Otóż... – zaczął powoli. – Ja... hm... zakładam, że jest pan zadowolony z roboty Mike'a Grahama? I, naturalnie, ma pan Lap-lasery?

–Mam i jestem zadowolony – odrzekł Smith. – Bardzo zadowolony. Będę go znowu potrzebował, do większej roboty. Niech mu pan to powie. Ale bez szczegółów... zresztą, sam pan ich nie zna. Niech mu pan wyraźnie da do zrozumienia, że płacę doskonale.

–Już mu pan świetnie zapłacił – wtrącił van Beck.

–Wiem – odparł zwięźle Smith. – Zawsze kupuję tylko to, co najlepsze. I lubię płacić za absolutną perfekcję.

–Zrobi się – obiecał Niemiec i znów zamilkł.

–Pośpiesz się pan – warknął Smith. – Co z resztą?

–Są dwie osoby, które mogę polecić ze względu na ich, jak pan to zgrabnie ujął, absolutną perfekcję – ciągnął van Beck. – Sęk w tym, że to samotnicy. Nie wiem, jak

zareagują na propozycję współpracy z panem. Prawdopodobnie nigdy o panu nie słyszeli, skoro, jak mi się zdaje, na każdy... hm... wypadzik przybiera pan inne nazwisko i wygląd. Nawet ja nie mam pojęcia, kim pan jest i co pan ma na swoim koncie.

–To dobrze.

–Kto wie, może jest pan nawet moim najbliższym przyjacielem?

–Nie jestem.

–Hm...

–W każdym razie, jeśli tą okrężną drogą zmierza pan do podwyżki honorarium, to nie musi pan robić tego tak natrętnie – powiedział Smith. – Niech pan tylko poda cenę.

–Aach – westchnął van Beck. – Wobec tego... są to Sabrina Carver, specjalistka od kradzieży kamieni szlachetnych, i C.W. Whitlock, człowiek-mucha. Oboje z Nowego Jorku. Uważam, że są w sam raz dla pana.

–Niech pan się z nimi skontaktuje – polecił Smith. – Jeżeli się zgodzą, to proszę im powiedzieć, i Grahamowi też, że wkrótce otrzymają dalsze instrukcje, wraz z pieniędzmi i biletami na samolot.

–Dokąd?

–Do Paryża – odparł Smith. – Oczywiście, stamtąd może gdzieś dalej.

–Jak pan sobie życzy – zgodził się Niemiec. Smith wstał.

–Tym razem pan zostaje, a ja wychodzę – oświadczył z lekkim uśmiechem.

–Dziwne to, ale zgoda – powiedział van Beck.

Smith spokojnie wyszedł z kościoła. Wysoki, nienagannie ubrany, w niczym nie przypominał księdza ze swego poprzedniego wcielenia. Starannie wypielęgnowane ręce skrzyżował na piersiach, nie zwracając uwagi na czupryny przebiegających obok malców.

Tymczasem przy konfesjonale Lorenz van Beck wciąż myślał o nitach, dużych wysokościach i Paryżu. Ale teraz w jego umyśle formował się bardzo konkretny obraz, jak gdyby połączył wreszcie wszystkie punkty dziecięcej malowanki.

A był to obraz doprawdy powszechnie znany.

Rozdział 4

W całym cywilizowanym świecie na palcach jednej ręki można by policzyć nocne kluby i dyskoteki, w których gangsterzy o międzynarodowej sławie nie wstydzą się pokazywać. Jednym z tych nielicznych przybytków jest „Il Gattopardo” w Rzymie. Jak już się pokazywać w „Il Gattopardo”, to koniecznie o świcie; dla wytrwałych amatorów nocnych szaleństw jest to zresztą kwestia nawyku, a nie wyrachowania.

Sabrinie Carver, czekającej przed wejściem do „Leoparda” na samochód, świt zwiastował jedynie koniec niezbyt upojnej nocy. Sabrina odsunęła się o kilka metrów od dwóch przyjaciół – wyjątkowo przystojnych młodych ludzi, potomków najlepszych rodzin rzymskich – którzy w miarę taktownie próbowali ustalić, kto ją odwiezie do domu.

Sabrina nie interesowała się dyskusją – byłaby względnie zadowolona z każdym z nich lub z żadnym.

Giulio i Roberto, podliczywszy, kto częściej korzystał ze względów Sabriny i kto będzie miał więcej okazji w przyszłości, chwilowo doszli do porozumienia. Tymczasem portier – tęgi, rozgorączkowany człowieczek z wypomadowanymi wąsami – sprowadził z parkingu alfa romeo Sabriny. Wyskoczył z samochodu i przytrzymał jej drzwi, kłaniając się nisko, gdy wręczała mu hojny napiwek. Pozwoliło mu to zerknąć na jej wydatny biust na tyle dyskretnie, by nie wyjść na impertynenta.

Sabrina usiadła za kierownicą. Portier, stwarzając atmosferę intymności – w czym celują włoscy tenorzy operowi – pochylił się raz jeszcze i podał jej małe pudełko, przewiązane białymi wstążkami.

–Ktoś to dla pani zostawił, *signorina* Carver – wyszeptał poprzez opary czosnku.

–Kto?

Portier z emfazą wzruszył ramionami, wprawiając przy tym w ruch całe ciało, aż po koniuszki wąsów.

–Dziękuję – powiedziała Sabrina, znowu sięgając po liry. Portier, nie chcąc nadużywać szczęścia, zrezygnował z ponownego rzutu okiem na dekolt i oddalił się z użenieniem. Kiedy Sabrina rozwiązywała wstążki, Giulio i Roberto zerwali przymierze, ale jak przystało na dżentelmenów, postanowili załatwić sprawę rzutem monety.

Wprawne palce *signoriny* Carver pracowicie odwijają papier. *Bella, bellissima* – westchnął portier dramatycznie, i nie bez powodu. Klasyczna uroda Sabriny niemal zapierała dech w piersiach; kaskady kasztanowych loków opadały na jej gołe ramiona, otaczając twarz, która wielokrotnie spoglądała zadumanym wzrokiem z

okładek „Vogue” i „Woman’s World”. Twarz, której świętoszkowatość z lat dziecięcych już dawno przeminęła, ale której nie skaził wyraz przebiegłości czy chytryści. Twarz o wyraźnie zarysowanych brwiach ponad wielkimi, owalnymi oczami, doskonałych proporcjach ust i nosa, i z zuchwałymi dołeczkami w policzkach.

Jak to się stało, że taki okaz klasycznej, greckiej piękności wyrósł w surowym, nieurodzajnym stanie Iowa na Środkowym Zachodzie? – pytanie to nurtowało cały Fort Dodge, w tym również Sabrinę, która rozwiązała problem swoim wyjazdem. Teraz zaś jej głos, twarz i ciało nabrały światowego blasku i z okresu dzieciństwa nie zostało jej nic poza nazwiskiem i zamiłowaniem do kamieni szlachetnych, które – jak często przyznawała – były rzeczywiście najlepszym przyjacielem dziewczyny.

W pudełku, na wyściółce z bawełny, znajdowało się pięć banknotów tysiąc dolarowych, owiniętych w bibułę, oraz bilet pierwszej klasy na samolot do Paryża. Odlot miał nastąpić za trzy dni. Żadnego wyjaśnienia nie było.

Sabrina obejrzała pieniądze i bilet, mrugnęła i uśmiechnęła się na widok inicjałów „L. van B.”, nabazgranych w lewym górnym rogu biletu.

W chwili, gdy Roberto podrzucał monetę, którą pożyczył od portiera, Sabrina ostrzegawczo dodała gazu i zwolniła hamulec ręczny. *Ciao!* – krzyknął Giulio, kiedy moneta była jeszcze w powietrzu, przeskoczył nad maską samochodu i wylądował na siedzeniu obok Sabriny. Alfa wystartowała z piskiem opon, Giulio zaś natychmiast zapiął pasy. Nie miał dotąd okazji jechać z Sabriną, ale wiedział, że znana jest z pewnej nonszalancji za kierownicą.

W górnym odcinku Madison Avenue, podobnie jak na Piątej Alei, mieści się mnóstwo dyskretnych sklepików z biżuterią i butików zaspokajających kosztowne i często wyszukane gusta. Jest tam również kilka ekscentrycznych galerii, wykorzystujących coraz większy pęd do kupowania dzieł sztuki, jakich nikt nie posiada i w gruncie rzeczy posiadać nie chce. Jedną z nich jest „Primitives, Inc.”, do której zmierzał właśnie elegancki, nienagannie ubrany Murzyn z cienkim jak kreska wąsikiem.

„Primitives, Inc.”, jak wskazywała nazwa, zajmowała się sztuką prymitywną. W praktyce oznaczało to, że zatrudnia agentów, którzy z kolei werbują następnych, a ci przekupują afrykańskich kacyków, aby nakłaniali współplemieńców do wyrabiania, za pół darmo, tandetnie wyrzeźbionych, wielobarwnych przedmiotów kultu, sprzedawanych następnie na Madison Avenue po sześćset dolców od sztuki.

Przy szklanym biurku ze szkła i błyszczącej stali (Sztokholm, ok. 1978), pośród dziwacznych, choć gustownie rozmieszczonych masek, dzid i symboli płodności, urzędowała recepcjonistka.

Dzień dobry, panie Whitlock – powitała gościa z uśmiechem.

–Witaj z rana, Mary-Lou kochana – odparł C.W. Błysnął zębami w promiennym uśmiechu. – Patrz, nawet się rymuje!

Mary-Lou odpowiedziała uśmiechem. Przystojniak, pomyślała. Szkoda tylko, że... no, wiadomo – czarny. Chciała znaleźć jakiś stosowny rym do „C.W.”, ale tak skomplikowane zadanie przerastało możliwości jej intelektu.

–Jest coś dla mnie, ślicznotko? – zapytał C.W.

–Tak się składa, że owszem, jest coś dla pana – przyznała nieśmiało Mary-Lou.

Cierpliwość C.W. była na wyczerpaniu, choć starał się tego nie pokazywać. Głupia biała klabzdra, myślał. Z takimi trudniej dojść do ładu niż z cwanyimi, których zresztą ze świecą szukać.

–Pewnie jakaś wiadomość? – podsunął.

–Jest tam, z tyłu. – Mary-Lou skinęła tlenioną głową. – Wie pan gdzie.

–Tak, wiem. – C.W. zdobył się na wymuszony uśmiech. Błysnął do niej oczyma i ruszył w stronę drzwi prowadzących do bogato zaopatrzonej, półprywatnej galerii na tyłach głównej sali wystawowej. Ceny zgromadzonych tu rzeźb, spoglądających na niego z błyszczących pólek, były jeszcze bardziej obłudne, ale też wystawiano tu same autentyki, i to dużej klasy. Półprywatny charakter tej sali był wymogiem narzuconym na właścicieli, ponieważ co droższe symbole płodności manifestowały swą „płodność” nazbyt otwarcie.

Galeria ta, za pewną opłatą, służyła C.W. za jedną z jego licznych nowojorskich skrzynek kontaktowych. Udogodnienie takie doskonale odpowiadało jego zamiłowaniu do otaczania swych poczynań ścisłą tajemnicą. W tym także przypominał Sabrinę Carver.

Na wspaniałym drewnianym stole leżała spora, płaska paczka, przewiązana szpagatem. C.W. okręcił sznurek dookoła palca i przerwał go, jakby to była nić bawełniana. Rozwiązał ozdobny papier i z nieskrywaną przyjemnością spojrzął na świeży, okrągły blok swojego ulubionego sera francuskiego, brie.

Zdjął ze ściany dekoracyjny sztylet, ukroił solidny plaster i skosztował. Zewnętrzna warstewka sera była idealnie krucha, a konsystencja w środku – doskonała. C.W. skończył jeść i przeciął blok na pół.

Zanurzył ostrze sztyletu w jednej części sera i wyciął w niej otwór. Zdziwiony, powtórzył to samo w drugiej połówce. Czubek noża zawadził o jakąś przeszkodę.

C.W. wydłubał ją z uśmiechem.

Był to niewielki pakunek, zawinięty w pergamin. C.W. rozpakował go i wyciągnął pięć banknotów tysiąc dolarowych i bilet pierwszej klasy na samolot do Paryża. Odlot miał nastąpić za trzy dni. Żadnego wyjaśnienia nie było.

C.W. obejrzał pieniądze i bilet, mrugnął i uśmiechnął się na widok inicjałów „L. van B.”, nabazgranych w lewym górnym rogu biletu.

–Ma facet klasę – mruknął z podziwem. – Dużą klasę. – Wyszedł, gwizdząc pod nosem „Ostatni raz, kiedy byłem w Paryżu”.

Biurokracja opiera się na papierkach. Papierki muszą krążyć. Aby ułatwić ich dystrybucję, biurokraci uwielbiają sporządzać najróżniejsze wykazy, na które upychają tyle danych, ile się tylko da, jednocześnie, w ramach oszczędności papieru, ograniczając te wykazy do jednej kartki. Stąd właśnie wzięły się akronimy – niezastąpione ramię biurokracji.

Organizacja Narodów Zjednoczonych jest ostoją biurokracji, a wszelkie skróty mnożą się tam jak króliki, choć tylko nieliczne są ważne. Jeden z nich, na drzwiach biura w mało uczęszczanym skrzydle gmachu Narodów Zjednoczonych, nie przyciąga specjalnie niczyjej uwagi. Napis głosi „UNACO”, a pod nim widnieją dwie tabliczki: „Malcolm G. Philpott, dyrektor” oraz „Sonia Kolchinsky, zastępca dyrektora”.

Skrót „UNACO” brzmi niewinnie, lecz nic bardziej mylnego – pochodzi on bowiem od „United Nations Anti-Crime Organization” (czyli „Organizacji ds. Zwalczania Przestępczości przy ONZ”), której znaczenie trudno przecenić.

Sonia Kolchinsky podeszła do biurka swojego szefa, niosąc ozdobną srebrną tacę. Biurko Philpotta było równie schludne jak sam właściciel, toteż postawiła ją bez kłopotu.

Na tacy znajdował się malutki ekspres do kawy, filiżanki i spodki i delikatnej porcelany oraz srebrna cukiernica, dzbanek ze śmietanką i brandy w kryształowej karafce.

Sonia nalala kawę i wsypała do filiżanki pół łyżeczki cukru. Zamieszała napój i – nie pytając Philpotta – dołala, odmierzając niemal co do kropli, nieco rémy martin. Zamieszała ponownie i dodała na wierzch trochę śmietanki. Philpott podniósł filiżankę do ust, nie odrywając wzroku od leżących przed nim akt.

–Wyśmienita – rzucił z roztargnieniem.

–Wiem – odparła Sonia.

Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się, nieco speszony.

–Przepraszam – mruknął. – Myślami byłem daleko stąd.

–Tym razem wybaczam. – Przechyliła kpiarsko głowę. Posągowo zbudowana, wzrostu powyżej przeciętnej, miała owalną twarz, lekko zadarty nos i krótko przystryżone jasnokasztanowe włosy z grzywką, zaczesane do tyłu na kształtnej głowie.

Sonia była naturalizowaną Amerykanką, lekko po czterdziestce. Ta znakomita poliglotka, a zarazem doktor fizyki molekularnej, miała IQ wyższe o kilka punktów od mężczyzny, przed którym właśnie stała. Puściła oko do Malcolma Philpotta, rozbawiona jego zażenowaniem.

Usiadła w fotelu naprzeciw jego biurka i pytająco uniosła brwi.

–Przejrzymy listę? – zapytała.

–Najwyższa pora – odparł Philpott. Nacisnął przycisk interkomu, na co z głośnika odezwał się zachrypnięty głos:

–Słucham, dyrektorze?

–Przynieś listę.

–Idę.

W wielkim, przestronnym gabinecie za ścianą młody człowiek w spokojnym garniturze i grubych okularach wziął notatnik z depeSZami i ruszył przez puszysty dywan, mijając świetlną mapę świata, zajmującą całą jedną ścianę. Przed mapą, również od ściany do ściany, biegł pochyły pulpit – skrzyżowanie ławy bibliotecznej i szkolnej ławki z okresu dickensowskiego.

Przy pulpicie, na wyściełanych krzesłach, siedzieli trzech pracowników z identycznymi, zaopatrzonymi w miniaturowe mikrofony, słuchawkami na głowach. Każdy z nich był innej narodowości; za zadanie mieli odbiór informacji z całego świata. Od czasu do czasu, w jednym z ponad trzydziestu języków, rzucali do mikrofonu pozdrowienia lub polecenia, a także zapisywali coś na przypiętych do pulpitu kartkach. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, na mapie zapalała się czerwona lampka, w miejscu, z którego uzyskano połączenie.

Dokładna kopia tej mapy, oprawiona w ramkę, leżała na biurku Philpotta. Wykonana z przezroczystej folii, mierzyła najwyżej piętnaście centymetrów na dwadzieścia. Cichy gong zapowiadał każdą nową rozmowę, a skomplikowany system świetlny, odwzorowany w najdrobniejszych szczegółach z mapy ściennej w sąsiednim

pomieszczeniu, sygnalizował zgłoszenia nawet z najdziwniejszych punktów na kuli ziemskiej.

–Dziękuję, Basil. – Sonia podziękowała młodemu człowiekowi, który podał jej notatnik, i zaczęła przeglądać skreślone starannym charakterem pisma streszczenie porannej aktywności... Aktywności w świecie zbrodni, której tropienie było zadaniem UNACO i jej personelu. Philpott był zafascynowany zbrodnią nie mniej niż Smith, ale fascynowała go także postać samego Smitha. Tyle że Philpott miał nad Smithem znaczną przewagę – wiedział bowiem niemało o jego rozmaitych wcieleniach i obsesjach, podczas gdy ten nawet nie podejrzewał istnienia Philpotta i jego wydziału.

To właśnie Philpott zaproponował utworzenie tej ściśle tajnej grupy, w czasach, gdy jako profesor Uniwersytetu Nowej Anglii nadzorował wysoce specjalistyczne i zaawansowane badania, finansowane częściowo przez koła przemysłowe, a częściowo przez CIA za pośrednictwem rządu Stanów Zjednoczonych. Rząd USA popart projekt, a nawet przystał na warunek *sine qua non*, stawiany przez Philpotta, aby organizacja ta działała pod egidą Narodów Zjednoczonych, dzięki czemu mogłaby służyć wszystkim krajom członkowskim, a jej informatorzy nie musieliby się krępować interesami USA i amerykańskim militarystem.

Philpott ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, że administracja Nixona posunie się aż do tego, że – oprócz entuzjastycznego poparcia dla projektu – weźmie na siebie niewdzięczne zadanie sfinansowania operacji zakładania wydziału. Tymczasem dano mu wolną rękę nawet w kwestii doboru całego personelu i rekrutacji agentów. I nigdy, ani przez mgnienie oka, nie żałował swojego pierwszego (i ostatniego) wyboru kandydatki na zastępcę.

Sonia Kolchinsky i Philpott byli zdania, że dobrze zorganizowana, międzynarodowa siatka przestępców stwarza groźbę szerzenia anarchii i działalności wywrotowej na niespotykaną dotąd skalę. Poświęcili więc życie (często nim zresztą ryzykując) oraz, trzeba przyznać, wielce intratne kariery, na rzecz zwalczania groźnej przestępczości, zdobywając podziw i uznanie znakomitej większości krajów członkowskich ONZ, w tym także z Europy Wschodniej.

UNACO ściagała bowiem przestępców zawsze i wszędzie, jeżeli tylko w krytyczny sposób zagrażali stabilizacji. Philpott był pewien, że jego wydział nie jest po prostu pionkiem w rozgrywce między mocarstwami. Od początku zdawał sobie sprawę, że administracja Nixona będzie dążyć do osłabienia UNACO przez obsadzenie kluczowych stanowisk w organizacji własnymi ludźmi. Zlikwidował tę groźbę już przed laty, a obecnie, za rządów bardziej giętkiego i dalekowzrocznego prezydenta, jego wydział cieszył się zaufaniem i poparciem rządu USA i korzystał z pełnej współpracy CIA, Interpolu i FBI.

Faktycznie zaś to osobista znajomość Philpotta z prezydentem Stanów

Zjednoczonych otworzyła UNACO drzwi w Ameryce i na całym świecie; drzwi dotychczas zamknięte przed Philpottem. Dla UNACO nastały dobre czasy, które Philpott zamierzał utrzymać.

Wysoką obecnie pozycję Philpotta śmiało można by tłumaczyć jego zdumiewającymi sukcesami. Natomiast UNACO zawdzięczała swą skuteczność działania w pierwszym rządzie niewątpliwym zdolnościom Philpotta do werbowania międzynarodowych przestępców w celu zwalczania międzynarodowej przestępczości.

Dzielił on przestępców na dwie podstawowe kategorie: tych, którzy działali na własną rękę i własny rachunek, i pozostałych – na przykład wszelkiego typu terrorystów – których działalnością sterowały rządy, państwa czy systemy społeczne.

Dochodziła do tego trzecia kategoria – rzadki gatunek przestępców oddanych anarchii, poświęconych abstrakcyjnej koncepcji zbrodni jako siły zbawczej; całkowicie amoralnych, wyzbytych wszelkiego szacunku dla życia ludzkiego.

Philpotta interesowały te dwie ostatnie kategorie. W swojej nieustającej walce z terroryzmem korzystał czasami z pomocy różnych rządów, ale Napoleonów zbrodni rezerwował dla siebie, zwracając się o pomoc tylko w ostateczności.

Wygrywał kolejne bitwy dzięki temu, że ci przestępcy, z których usług korzystał, byli wcale nie gorsi od tych, których chciał zniszczyć.

I dlatego już dawno zwerbował parę przestępców doskonałych – Sabrinę Carver i C.W. – aby pomogli mu uwolnić świat od Smitha.

Sonia raz jeszcze rzuciła okiem na notes.

–No, do roboty – powiedziała. – Wygląda na to, że w handlu diamentami znowu ożywienie. Donoszą, że wczoraj do Capetown przemycono nieszlifowane diamenty wartości dwóch milionów. Kurier nieznany. Akcja?

–Czy ktoś śledzi transport? – spytał Philpott.

–My.

–Dobrze. Kod niebieski. Przekaż to do Interpolu w Amsterdamie.

Sonia starannym charakterem pisma zanotowała na marginesie rodzaj kodu. Po chwili mówiła dalej:

–W Czechosłowacji pewien uczonek zidentyfikował truciznę, której użyto w sprawie Bransky'ego.

Philpott uśmiechnął się szeroko.

–Coś mi się zdaje, że przy twojej pomocy. Dobrze, daj kod żółty i prześlij to do naszego laboratorium. Niech się z tym szybko uwiną.

Sonia zapisała polecenie.

–Złoto? – powiedziała. Philpott skinął głową. – Wyładowano duży transport w Bombaju.

Philpott skrzywił się i westchnął.

–Daj zielony.

–Jesteś pewien?

–Tak.

–A teraz – oświadczyła Sonia złowieszczym tonem, zachowując najlepsze wieści na koniec – dostaliśmy z Rzymu potwierdzenie w sprawie Smitha.

Philpott rozsiadł się w fotelu i rąbnął pięścią w błyszczący blat biurka.

–Bomba! – krzyknął z zachwytem. – Sabrina złapała go na haczyk! Bomba!

–Z. niewielką pomocą naszą i van Becka – zaprotestowała Sonia.

**–Nie pomagaliśmy jej w kradzieży na giełdzie amsterdamskiej – powiedział Philpott.
– Co jak co, ale tego nam robić nie wolno. Holendrzy nigdy by nam nie darowali. Ani Interpol.**

–No, ale kciuki to chyba wolno nam trzymać? – zapytała Sonia.

–Jeszcze jak! – zgodził się Philpott. – Tyle że w przypadku Sabriny nie jest to konieczne. Wierzę, że zwiałyby stamtąd nawet na uszach, a co dopiero na wrotkach!

Sonia wstała z fotela.

–Chcesz z nią porozmawiać?

–Tak – odrzekł Philpott. – Chciałbym... ale jeszcze nie teraz.

Sonia usiadła z powrotem, spoglądając na niego pytająco.

–Widzisz, jeżeli Smith złapał się na Sabrinę, to chyba i na C.W. – wyjaśnił Philpott. – Nie dzwonił?

Nim Sonia zdążyła zaprzeczyć, rozległ się dźwięk gongu i na mapce na biurku Philpotta zapaliła się nowa lampka.

–Ha, Nowy Jork. Ciekawe, kto to taki – powiedział Philpott i kazał przełączyć rozmowę bezpośrednio do swojego gabinetu.

Raport C.W. był krótki i treściwy.

–Znakomicie! – roześmiał się Philpott. – Za trzy dni, tak? Czasu niewiele, ale też się tam zjawimy i spróbujemy się zorientować, o co w tym chodzi. Na razie wystarczy nam wiadomość, że to Smith się za tym kryje. Musi to być jakiś większy skok i nie wątpię, że nader spektakularny.

Philpott rozłączył się i spojrzał na Sonię poważnym wzrokiem.

–Taak... – mruknął. – Ciekaw jestem, co to ma być i gdzie...

–Pewnie w Paryżu – wtrąciła Sonia. – Po co miałby im wysyłać bilety na samolot do Paryża, jeżeli planowałby skok gdzie indziej?

–Uhm... – przyznał Philpott. – Prawdę mówiąc, van Beck podsunął mi absolutnie zwariowany pomysł, który zupełnie nie trzyma się kupy. Choć z drugiej strony...

–Jaki pomysł? – zapytała Sonia ostro. Philpott zwykle nie miał przed nią tajemnic i mogła swobodnie korzystać z większości informacji UNACO... chyba że Philpott uznał, że nie powinna o czymś wiedzieć ze względu na własne bezpieczeństwo.

Uśmiechnął się, zakłopotany.

–Wybaczysz, jeżeli ci nie odpowiem w tej chwili? – powiedział. – Muszę to jeszcze dobrze przemyśleć. To... luźny pomysł. Być może nic nam nie da. A może wszystko.

Sonia odprężyła się.

–Jasne. – W zamyśleniu zmarszczyła brwi i zagryzła dolną wargę. Po chwili zaryzykowała pytanie: – Więc do dziś nie mamy wieści tylko o laserach?

Philpott skinął głową, pocierając palcem lewą stronę nosa. Ten typowy dla niego gest świadczył, że jest głęboko zamyślony. Philpott był starszy od Soni o jakieś dziesięć lat, a jego włosy, choć nadal bujne, były nieco szpakowate. Jego twarz o ostro zarysowanej szczęce i ze śladami zmarszczek na gładkiej skórze, silnie opiętej na wydatnych kościach policzkowych, wciąż była przystojna. Szczupły, wysportowany, ubierał się z niezwykłym jak na byłego belfra gustem i dbałością o szczegóły. Sonia Kolchinsky była w nim po uszy zakochana, o czym doskonale wiedział.

–Lasery – mruknął. – Taak... lasery. Kto je ukradł? I po co? Dla kogo? – Zamilkł na chwilę; Sonia nie wytrącała go z zamyślenia. Philpott niespokojnie bębnił palcami po stole. – Sądzę, że dla Smitha – powiedział wreszcie, sam do siebie. – Pewnie do tego nowego skoku. Ale kto je ukradł?... ba, mógł to być ktokolwiek. – Wzruszył ramionami i ruchem głowy wskazał akta na biurku. – Oboje sądzimy, że zrobił to jakiś ekspert od broni, a tutaj mamy ich w komplecie... wszystkich głównych podejrzanych. Byłych żołnierzy, byłych agentów CIA, facetów obrażonych na cały świat, szpiegów... To tylko kwestia właściwego wyboru. Szkoda – dorzucił w zadumie – że van Beck nie znalazł Smithowi specja od broni. Mielibyśmy w kieszeni całą trójkę.

Mike Graham wyszedł z piwiarni w Monachium i leniwym krokiem skierował się w stronę ruchliwego placu przed wspaniałą katedrą. Do hotelu „Cztery pory roku” – jednego z największych w Europie, w którym Graham właśnie się zatrzymał – z każdego punktu w centrum Monachium było bardzo blisko.

Graham przeszedł na drugą stronę placu i ruszył wprost na targ owocowo-warzywny. Podszedł do staruszki, siedzącej obok ustawionej na kozłach furmanki, między dwoma kuszącymi straganami pełnymi warzyw. W skrzyni znajdowały się paczkowane *wienerschitzel* oraz kasztany, prażące się na wolno stojącym palenisku.

Graham miał na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę, pamiętającą lepsze czasy. Na szyi powiewała mu biała chustka, a lewą, górną kieszeń kurtki zdobiła naszywka armii USA.

–*Guten morgen* – powitał staruszkę. Jej bystry wzrok powędrował od chustki i naszywki ku jego twarzy.

–Dzień dobry – odparła po angielsku. Mówiła z silnym niemieckim akcentem. – Może pan weźmie kasztany, dzień taki chłodny?

Mike skinął głową.

–*Ja, bitte.*

Staruszka wzięła papierową torbę i szczypcami zaczęła wyciągać z paleniska świeżo upieczone kasztany.

–Gorące – przestrzegła. – Niech pan uważa na palce.

Graham obiecał, że będzie ostrożny. Delikatnie wyciągnął jednego kasztana, rozłupał go, obrał i włożył do ust. Kasztan był wyśmienity.

–*Auf wiedersehen* – pożegnał się.

–Do widzenia – odparła.

Graham ruszył w dół ulicy i po chwili usiadł na tarasie kawiarni. Zamówił kawę i sznapsa. Kasztany wysypał na stół, aby ostygły. Na dnie torby znajdowała się paczka.

Otworzył ją i – osłaniając zawartość dłonią rozwinął pięć banknotów tysiąc dolarowych i bilet pierwszej klasy na samolot do Paryża. Odlot miał nastąpić za trzy dni. Żadnego wyjaśnienia nie było.

Wyprostował złożony bilet. W lewym górnym rogu ujrzał kiepski szkic Lap-laserów i lapidarną notatkę: „Będziesz mi teraz potrzebny, żeby zrobić z nich użytek”. Podpisu nie było. Mike wypił sznapsa i zamówił następnego.

Giulio tkwił w fotelu alfa romeo jak przyśrubowany. Byli już daleko na południe od Rzymu, a nawet nie spytał Sabriny, dokąd jadą. Miał tylko jedno, gorące pragnienie: znaleźć się gdziekolwiek, byle dalej.

Musiał zresztą przyznać, że sam był sobie winien. Sabrina prowadziła – jak na nią – z dużym umiarem, do chwili, kiedy Giulio uznał, że czas najwyższy jedną ręką objąć jej ramiona, drugą zaś gładzić jej ciało, by wreszcie oprzeć dłoń na jej kolanie. Nie mógł wymyślić nic gorszego.

Sabrina gwałtownie dodała gazu, a Giulio boleśnie wyrznął głową w kant zagłówka. Silnik alfy zaryczał na wysokich obrotach. Jak przez mgłę, Giulio ujrzał znak z napisem „Rzym 170 km” i strzałką, wskazującą kierunek, z którego przyjechali. Pogodzony z myślą, że czeka go śmierć w młodym wieku, miał tylko nadzieję, że jego matka i liczne siostry uronią na pogrzebie łezkę.

Sabrina w rajdowym stylu zmieniła bieg i z piskiem opon pokonała zakręt, wzbijając tumany pyłu. Giulio miał wrażenie, że skręciła na jednym kole. Prosta była krótka, zbliżał się następny zakręt – dla tak wątpliwej rozrywki dosyć szybko zjechali z autostrady. Sabrina dwukrotnie zredukowała biegi, wzięła zakręt pełnym poślizgiem i na prostej natychmiast przeszła na wyższy bieg. Silnik protestował, lecz samochód słuchał jej stóp i napiętych ramion.

Blady jak kreda, z zamglonym wzrokiem, Giulio patrzył, jak garbaty most rośnie mu w oczach. Zaczął szybko odklepywać modlitwę, jak sądził – ostatnią w życiu.

Sabrina odwróciła się do niego i posłała mu czarujący uśmiech, odrywając wzrok od szosy, a jednocześnie wciskając gaz do deski. Giulio wpił ręce w fotel; biel kostek zaciśniętych dłoni dorównywała bladości jego twarzy. Zamknął oczy i krzyknął z przerażeniem.

Mały samochód z triumfalnym wyciem silnika wyskoczył w powietrze na

wybrzuszeniu mostu, opadając na szosę w samą porę, by pełnym poślizgiem wziąć następny zakręt. Sabrina zanosila się śmiechem. Nagle poprzez pisk opon i wycie silnika dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk – uparte, natarczywe brzęczenie elektronicznej aparatury.

Pokonawszy zakręt, Sabrina zdjęła nogę z gazu i zwolniła do skromnych trzydziestu kilometrów na godzinę. Prowadząc wprawnie jedną ręką, sięgnęła pod deskę rozdzielczą i wyciągnęła mikrofon radiotelefonu.

–*Pronto* – rzuciła w mikrofon.

Odpowiedział jej głos Soni:

–*Pasta al dente?*

–Zaraz – powiedziała Sabrina. – Poczekaj chwilkę. Wprowadziła alfa romeo na trawiaste pobocze. Giulio osunął się w fotelu, żałośnie składając dzięki wszystkim świętym, jacy mu przychodzili do głowy. Sabrina otworzyła skrytkę i włączyła schowane tam urządzenie do szyfrowania rozmów telefonicznych.

–Szyfr 8-2-Baker – powiedziała do mikrofonu. – Słyszycie mnie?

–Tak, moja droga. W odpowiedzi usłyszała głos Philpotta. – Jesteś sama?

–Och, witam, panie Philpott – rzekła Sabrina. – Miło mi pana słyszeć. Nie, nie jestem sama, ale on nie rozumie po angielsku ani słowa. Właściwie to w tej chwili w ogóle nic nie rozumie. – Giulio spojrział na nią zamglonym wzrokiem i znowu opadł w fotelu, dysząc ciężko.

Philpott przekazał jej wiadomość, że C.W. będzie z nią współpracował w sprawie Smitha.

–Cudownie! – pisnęła z radości. – Niech go pan ode mnie uściska i powie mu, że ze mną nie zginie.

–Bądź ostrożna, moja mała – rzekł Philpott z komiczną powagą w głosie. – Chcę, żebyś się w piątek zrobiła na bóstwo, bo my też tam z Sonią będziemy.

–Niech pana o to głowa nie boli, panie Philpott. Jasne – odparła Sabrina. – No to *ciao*... na razie.

–Sabrina! – krzyknął Philpott pośpiesznie. – Nie wyłączaj się! Nie skończyłem. Te diamenty... musisz je zwrócić, wiesz o tym. Nie mogę dopuścić, żeby członkowie mojej organizacji w trakcie służby u mnie popełniali przestępstwa. Rozumiesz chyba moją sytuację?

–Co? – krzyknęła Sabrina. – Halo! Halo! Halo, Nowy Jork! Jest pan tam jeszcze, panie Philpott? Chyba mi nawalił aparat. A, co tam, i tak chyba nie miał pan do mnie nic ważnego. Cześć – zaczęła i przerwała połączenie. – Mam rację, Giulio? – zapytała kataleptycznego pasażera.

–Glug – wybełkotał Giulio. Po włosku.

Philpott zachichotał i wyłączył aparat.

–Z tą dziewczyną... – zaczął.

–Nie zestarzejesz się – podpowiedziała mu Sonia.

Philpott mrugnął do niej.

–Nie, ale to tylko dzięki tobie – szepnął. Do pokoju wszedł Basil.

–I proszę zadzwonić do sekretarza generalnego, pani Kolchinsky – polecił Philpott szorstko. – Niech się pani dowie, czy zapewni nam absolutną współpracę rządu francuskiego.

–Rozumiem – powiedziała Sonia z twarzą ukrytą w notesie.

–I niech nam pani zarezerwuje dwa bilety do Paryża na piątek rano.

–Dobrze, panie Philpott.

Basil położył na biurku jakieś akta i ruszył do wyjścia. Philpott konspiracyjnie ściszył głos.

–Dopilnuj też, żeby u Ritza dali nam ten sam pokój, co zawsze – wyszeptał.

–Oczywiście – odparła, również szeptem, i wyszła.

W drzwiach spotkała Basila. Puścił do niej oko.

Rozdział 5

Nad wirującą powoli wodą łaźni japońskiej unosiła się para. Smith, dryfując z szumiącym prądem, poklepał w zamyśleniu bąbelki powietrza, ulatujące ku powierzchni. Rzeźba fal załamała się, a wir odpłynął.

Smith obrzucił wzrokiem swoje ciało i leniwie podpłynął na grzbiecie do brzegu. Usłyszał stukot obcasów i jego twarz wykrzywił lisi uśmieszek. Pociągnął nosem, wdychając zapach... Caléche czy Cabochard? Co za różnica – najważniejsze, że dobrze znał ciało dziewczyny, która używała tych perfum.

Ujrzał nad sobą wyciągniętą rękę. Długie, szczupłe palce otaczały nóżkę kieliszka ze szkła weneckiego. Smith wpatrzył się w bursztynowy płyn, podziwiając delikatną krzywiznę menisku. Minęła sekunda, minuta, dwie minuty. Życie i czas zostały uwięzione w tej zastygłej formie. Nieruchoma powierzchnia likieru kontrastowała z niespokojnymi wodami łaźni.

Smith czuł zamęt w głowie.

Leżąc na plecach, wydał lekkie, stłumione westchnienie. Skupił wzrok na kropelce pary, spływającej po ścianie kieliszka. Nagle kropelka przekształciła się w grzmiący, spieniony wodospad, którego rozszalałe wody zalewały pokój, ogrody, zamek wraz z przyległościami, Orlean, całą Francję... wszystko.

Smith czknął i skinął głową. Kieliszek posłusznie powędrował do jego ust, a złocisty płyn spłynął mu do gardła.

Smith nadal czuł zamęt w myślach. Strzyknął śliną przez zęby. Dłoń trzymająca fantastycznie wyważony w proporcjach kieliszek zniknęła, a Leah, kucając nad wodą, spoglądała na Smitha z czułym rozbawieniem.

–Tak sobie właśnie myślę, Leah...

–Daje się zauważyć – przerwała po angielsku, z akcentem, w którym słysząc było ślady jej rodzimego Wiednia.

–Dlaczego tak jest, Leah – mruknął ledwie dosłyszalnie – że mając tyle pieniędzy... ten uroczy zamek, inne posiadłości... jachty, rancza, wyspę... obrazy, rzeźby, kolekcję klejnotów, stare manuskrypty i nuty... nie mówiąc o tobie i innych moich, hm, przyjaciółkach... wszystko, wszystko... Mam wszystko, Leah... więcej niż innym mogłoby się marzyć... no, prawie wszystko, nie mam Wielkiego Muru Chińskiego... ale mógłbym go mieć.

–Tak, kochany, na pewno. – Jasnowłosa, w nordyckim typie, Leah była niezbyt

wysoka, za to zdecydowanie zmysłowa. Miała niebieskozielone oczy, ponętnie zaokrągloną twarz, a jej ciało składało się z samych zagłębień i wypukłości, dolin i delikatnie zaokrąglonych pagórków. Była własnością Smitha.

–Dlaczego więc spadło na mnie to przekleństwo... dlaczego trawi mnie ta choroba, ten nałóg, dlaczego moim narkotykiem jest zbrodnia? To przecież nawet nie jest estetyczne. Jest... zdecydowanie plebejskie.

Leah podniosła na niego śliczne oczy i uśmiechnęła się ulegle.

–Plebejskie? – zaprotestowała. – Kradzież Goi z muzeum Prado? Zamiana Marsylianki z Łuku Triumfalnego tak, że nikt się nawet nie zorientował? A pierścionek Liz Taylor, skradziony jej z tacy w łazience za pomocą wędki i namagnetyzowanego haczyka? A kamień słoneczny Inków przemycony w pizzy? To ma być plebejskie?

Usta Smitha wygięły się w leniwym uśmiechu.

–Mhmm – zamruczał. – Masz rację, naturalnie. O *Bloemfontein Krugerrands* też mówiono, że są nietykalne, prawda? A ta okrzyczana wystawa skarbów Tutenchamona, która opuszczając Londyn składała się głównie z tombaku? A eksplodujące piłeczki pingpongowe przewodniczącego Mao?

Leah zachichotała.

–A jajka Fabergé?

Smith roześmiał się.

–Właśnie – powiedział. – Rozpuściły się, co? W czekoladzie, nawiasem mówiąc, całkiem niezłej.

Skinął głową. Leah wstała i jednym ruchem zrzuciła z siebie suknię. Lekki, jakby przypadkowy dreszczyk wstrząsnął jej ciałem. Piersi miała napięte, wyczekujące. Naga, stanęła przed Smithem, rozchylając nogi. Jego wzrok przesunął się po zachęcających kształtach, aż spoczął na spojeniu ud. Smith znów skinął głową i Leah powoli zanurzyła się w wodzie.

–Nie, mój drogi, to nie plebejskie – szepnęła. – Jesteś nieskończenie pomysłowy. Dla ciebie życie bez zbrodni straciłoby sens. Ty musisz żyć zbrodnią, inaczej byłbyś znudzony... i nudny.

Smith nie był pewien, czy właściwie zrozumiał, co miała na myśli, ale rozstrzygnął wątpliwości na jej korzyść. Nudny nie był. Wyciągnął rękę, a Leah podpłynęła ku niemu i jęknęła cicho, gdy ich ciała splotły się z wprawą dowodzącą niemałej

praktyki.

Tereny, na których leżał zamek, obejmowały kilkaset akrów na południe od Orleanu. W ogrodach, zaprojektowanych z nienaturalną symetrią, utrzymywano równie nienaturalny porządek. W stajni trzymano konie, których Smith rzadko kiedy dosiadał. Były tam całe połączenia akrów, których nigdy nie odwiedził, pokoje w zamku, do których nigdy nie zajrzał. Wszystko to składało się na posiadłość, a posiadanie było obsesją Smitha.

Jak sam powiedział, niczego mu nie brakowało. Obecny skok miał mu przynieść lekką rączką trzydzieści milionów dolarów, tyle że na pieniądzech zależało mu najmniej. Fakt, że to dzięki nim miał władzę... ale komu zależy na władzy? Smith, który zmieniał swój wygląd i styl życia tak często, że w końcu sam zapomniał, jak naprawdę wyglądał za młodu, potrzebował tylko tyle władzy i wpływów, by móc zorganizować kolejny skok... i następny... i jeszcze jeden.

Jeżeli na przeszkodzie stawali mu ludzie, rządy czy narody, przeszkodę należało usunąć. Ani ludzie, ani ludzkość jako taka, nie interesowali Smitha. Narody jeszcze mniej. Gdzie on się właściwie urodził? Zdaje się, że w Paragwaju? Albo na Samoa? Niewykluczone. Możliwe nawet, że w Islandii. W jakim języku wymówił pierwsze, nieskładne słowa? Czy to ważne? Teraz wszystkie języki były jego językami, musiał tylko dokonać wyboru. Wszyscy ludzie byli jego ludźmi; był obywatelem świata o stu nazwiskach i twarzach. Od życia nie żądał niczego i niczego też od siebie nie dawał.

Smith odwrócił się i sięgnął po Leah, wiedząc, że będzie pod ręką. Zawsze ktoś był pod ręką. Kto – to już nieważne.

Na trawniku przed zamkiem wylądował helikopter. Wysiadł z niego wysoki, ciemny i muskularny młody człowiek, z paskudną blizną nadającą złowrogi wyraz jego skądinąd przyjemnej twarzy, i podszedł do schodów. Nazywał się Claude Légère; on także był własnością Smitha.

Kiedy Claude zastukał do drzwi łaźni, Smith i Leah leżeli na wodzie, spleceni w uścisku.

–Wejść! – polecił Smith.

Claude wszedł i stanął jak wryty.

–Przepraszam – bąknął. – Myślałem, że jest pan sam.

Smith uwolnił się od dziewczyny i spojrzał na Claude'a łagodnie.

–Wiesz, że nigdy nie jestem sam – powiedział. – Wszystko w porządku? Rozumiem, że tak, skoro tu jesteś. Inaczej nie ośmieliłbyś się pokazać mi na oczy.

–Oczywiście, że wszystko w porządku – zapewnił Claude. – Jakżeby inaczej?

–Racja – przyznał Smith. Wrócił do piessczot z Leah, tym razem pod wodą. Claude’owi wydało się to jeszcze bardziej obsceniczne.

–Ja... jadę teraz na lotnisko zająknął się. Odbiorę naszych nowych rekrutów i przywiozę ich tu.

Smith odwrócił się do niego.

–Byle nie bezpośrednio tutaj – przestrzegł. – Masz działać tak, jak ustaliliśmy.

–Tak, tak – zapewnił Claude pośpiesznie. – Niech pan się nie martwi, panie Smith. Podejmiemy wszelkie niezbędne kroki w celu zapewnienia panu i temu zamkowi należytej ochrony. Będzie tak, jak pan kazał. Kiedy tu przyjadą, nie będą mieli bladego pojęcia, gdzie się znajdują ani jak długo tu jechali. Nawet nie będą wiedzieli czy to ten sam dzień.

–Dobrze, dobrze – westchnął Smith. – Wszystko zgodnie z planem. To lubię. Tak właśnie być powinno, Claude.

–Zawsze tak jest – rzekł Claude z naciskiem.

Smith położył się w wodzie na plecach i rozchylił nogi. Leah poszła za jego przykładem, podpłynęła na skraj basenu i usiadła na brzegu, ociekając wodą.

Smith uśmiechnął się do Claude’a.

–Może się z nami zabawisz? – zaproponował.

Claude opanował się i z trudem oderwał wzrok od dziewczyny.

–Może innym razem, jak będę miał więcej czasu – odparł. – Ale dziękuję za propozycję.

–Drobiazg – rzekł Smith. – Zawsze będziesz mile widziany.

Chmury przeredziły się niechętnie. Sonia, siedząc przy oknie concorde’a, wyjrzała na futurystyczną płytę lotniska imienia Charlesa de Gaulle’a, położonego dwanaście mil na północny wschód od centrum Paryża, na szerokiej, płaskiej równinie Ile-de-France.

Pojawiły się dwie stewardessy. Jedna zaczęła zbierać puste szklanki, w których topniały jeszcze kostki lodu (w szklance Soni był także plasterek cytryny), druga zaś przyniosła jakąś kartkę.

–Depesza radiowa z Pałacu Elizejskiego – szeptęła – Pani musi być kimś bardzo ważnym.

–Jasne – odparła Sonia również szeptem.

–Ona chciała powiedzieć, że to ja jestem ważny. – Philpott chrząknął i rozparł się w fotelu.

–Więc może będzie pan łaskaw usiąść normalnie, panie ważny – stewardessa przywołała go do porządku. – Za chwilę wylądujemy na lotnisku imienia de Gaulle’a.

–Mam nadzieję, bo inaczej nasza misia weźmie w łeb – oświadczył. Dziewczyna pokazała w uśmiechu zęby i uciekła. Sonia rozłożyła kartkę.

–Od Giscarda – stwierdziła. Daje ci nadzwyczajne pełnomocnictwa.

Philpott podskoczył jak oparzony, założył ręce za głowę i z uśmiechem samozadowolenia na powrót rozparł się w fotelu. Wyglądał jak kot, który właśnie opił się śmietanki.

Pikujący concorde podchodził już do ostatniej fazy lądowania – wyprostował lot i delikatnie opadł na pas startowy, niemal muskając beton długim, spiczastym nosem. Zaledwie podstawiono ruchomy korytarz pod drzwi samolotu, Philpott – który jak ognia unikał salonów dla grubych ryb – przeszedł z Sonią do jednego z siedmiu budynków otaczających terminal numer jeden, wraz z tłumem finansistów i gwiazd muzyki pop, stanowiących główną masę przewozową ponaddzwiękowców Air France.

Zatłoczonym ruchomym chodnikiem, przesuwanym się wewnątrz zamkniętych szklanych tuneli, dojechali na pierwsze z trzech koncentrycznie ułożonych pięter terminalu – poziom tranzytowy, przez który przewijają się wszyscy pasażerowie, zarówno odlatujący, jak przybywający. Philpott rozglądał się na prawo i lewo, ale nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy.

Po odprawie celnej i paszportowej wjechali kolejnym chodnikiem na następne piętro do sali przylotów. Ona również składała się z trzech koncentrycznie rozmieszczonych części: wewnętrznego hallu bagażowego, dalej z pierścienia stanowisk celników i wreszcie z zewnętrznej galerii, prowadzącej na postój taksówek i parking.

Odebrawszy bagaż, Sonia i Philpott zatrzymali się w tym zewnętrznym pasażu, ponieważ wkrótce na lotnisku de Gaulle’a miały dzieć się różne dziwne rzeczy, które interesowały Philpotta.

Wiedzieli, że dwaj pasażerowie – Sabrina i C.W. – przylecą różnymi samolotami, ale mniej więcej o tej samej porze. Philpott był pewien, że ktoś wyjdzie im na spotkanie.

Musiał zobaczyć, kto to taki.

Bardziej jednak interesował go trzeci pasażer. Skoro bowiem i Sabrinę, i C.W. wezwano tego dnia do Francji na polecenie Smitha, to powinien się zjawić również ten, kto ukradł lasery.

A właśnie złodziej laserów szczególnie interesował Malcolma Philpotta. To on mógł się okazać kluczem do zniszczenia Smitha... lub do porażki UNACO.

Tuż za concorde do lądowania podszedł boeing 747 linii PanAm. C.W. ruszył w fantastyczną podróż z piętra tranzytowego na przylotowe, przez cały czas mając się na baczności. Philpott, siedzący przy stoliku w restauracji na drugim piętrze, zauważył go, lecz zaraz odwrócił wzrok.

Pół godziny później wylądował samolot z Monachium, opóźniony z powodu jakiejś drobnej awarii. Michael Graham oparł się o filar koło transportera, którym miała przyjechać jego torba. Zauważył ją i ruszył po nią szybko w tej samej chwili, gdy przez głośnik wywołano jego nazwisko. „*Pan Graham, pan Michael Graham, pasażer z Monachium. Pan Michael Graham proszony jest o zgłoszenie się w biurze rzeczy znalezionych na pierwszym piętrze*”.

Graham ruszył do wyjścia dla pasażerów nie mających nic do oclenia i spytał o drogę na pierwsze piętro. Spokojnie stanął w niewielkiej kolejce do biura rzeczy znalezionych. Nie śpieszyło mu się. Kiedy nadeszła jego kolej, pokazał paszport, na co urzędniczka położyła na ladzie małe radyjko kieszonkowe.

–To, zdaje się, pańska własność? – zapytała.

Mike obejrzał aparat. W tej ryzykownej grze, jaką prowadził, nic nie było dziełem przypadku, więc odparł:

–Tak, to moje. Jakim cudem udało się je pani znaleźć?

Dziewczyna roześmiała się.

–Cudów nie ma. Zostawił pan radio w samolocie, a stewardessa przypomniała sobie, że widziała takie radyjko u pana, więc je przyniosła. Zapamiętała pańskie nazwisko.

–Proszę jej ode mnie podziękować.

–Już to zrobiłam. Cieszymy się, że nie zgubił go pan na dobre.

–Tak, ja też się cieszę – rzekł Mike.

Sabrina jechała ruchomym chodnikiem, kiedy podbiegła do niej stewardessa.

–Zostawiła to pani wychodząc z samolotu, *signorina* – wyrzuciła z siebie, łapiąc dech. – To radio... proszę.

–Jasne, ależ jestem głupia – odrzekła Sabrina. – Strasznie pani dziękuję.

–Nie ma za co.

C.W. szybko znudził się czekaniem na kontakt – cierpliwość nie była jego najmocniejszą stroną. Podszedł do informacji na piętrze przylotów i spytał, czy nie zostawiono dla niego jakiejś wiadomości.

–Wiadomości nie, ale to chyba pan miał się po to zgłosić – odparł urzędnik, podając mu tranzystor.

–O rany, rzeczywiście! – krzyknął C.W. – Na śmierć zapomniałem. Dzięki. – Przewiesił sobie radio przez ramię.

Wszystkie trzy radia jednocześnie zaczęły wysyłać ciche sygnały, w odstępach dwusekundowych, dopóki właściciele nie włączyli odbioru.

–No, dobrze – odezwał się głos Claude’a. – Już chyba wszyscy mnie słyszycie. Czekam na potwierdzenie.

–Głośno i wyraźnie – rzekł Graham. Whitlock mruknął tylko „uhm”, Sabrina zaś rzuciła: „Roger, czy jak to się mówi”.

–Świetnie, a teraz słuchajcie mnie uważnie – ciągnął Claude. – Jedźcie dalej, każde swoim chodnikiem, dopóki nie każę się wam zatrzymać. Po drodze dostaniecie instrukcje. Pasażerka z Rzymu startuje z pierwszego piętra, pasażer z Nowego Jorku z drugiego, a pasażer z Monachium z trzeciego. Kiedy dojedziecie do końca chodników, wejdźcie na najbliższy jadący w przeciwnym kierunku. Jasne?

Usłyszał trzy potwierdzenia.

„Monachium – myślała Sabrina w popłochu. – Kto, u licha, przyleciał z Monachium?” C.W. przetrawiał w myślach tę niespodziewaną informację. „A więc jest nas troje, co?” pomyślał.

Philpott i Sonia rozdzielili się na wszelki wypadek. Philpott udawał, że jest zmęczony. Usiadł na swojej torbie z boku głównej sali przylotów na parterze. Od czasu do czasu zerkał na zegarek, wzdychał dramatycznie i z posępną miną gryzł baton czekoladowy. Ze zdziwieniem obserwował bajeczną odyseję Sabriny w szklanych tunelach. Nagle poderwał się, widząc przedmiot, który trzymała przy uchu. Przecież to radio!

–Niech to ciężka, jasna cholera! – zaklął. A więc osobistego kontaktu nie będzie. Tylko zdalne sterowanie. – Spryciarze – mruknął.

Choć z drugiej strony, fortel ten dawał mu niejakię szansę – po zlokalizowaniu Sabriny i C.W. mógł ich mieć na oku, jadąc pochyłymi, krzyżującymi się korytarzami, w scenerii niczym z epoki kosmicznej.

Teraz musiał tylko znaleźć jeszcze jednego pasażera z radiem przy uchu, a będzie miał tego trzeciego. Złodzieja laserów.

Zaczął obserwować wszystkie chodniki. Były zatłoczone, co fatalnie utrudniało zadanie. Jest? Nie... o, tam! Nie, ten się tylko drapał. Oho, C.W. i Sabrina wysiadają. Pewnie zaraz wejdą na następny chodnik, jadący Bóg wie gdzie... ale dalej nie widać tego trzeciego. Gdzie jest ten drań, gdzież on jest?! I czego ci moi ludzie tak namiętnie słuchają?

–Posłuchajcie teraz wiadomości od waszego pracodawcy – szepnął Claude – Słuchajcie uważnie.

Claude, który w tej chwili stał w budce telefonicznej, bliżej Soni Kolchinsky niż oboje mogli się spodziewać, przysunął mały, lecz wysokiej klasy magnetofon do mikrofonu radia i wcisnął klawisz.

Philpott dostrzegł, że C.W. wyciąga zapalniczkę i chowa ją w dłoni, którą trzyma odbiornik.

–Kochany chłopak – mruknął do siebie. – Bystry.

Całą trójkę, uwięziona w szklanych tunelach niczym rybki w wydłużonych akwariach, dobiegł głos Smitha.

–Witam w Paryżu.

C.W. nadstawił ucha, słysząc ten zimny, obojętny głos. Zna go? Nie, zdecydował po chwili.

–Macie się do mnie zwracać per „panie Smith” – ciągnął głos tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Podam wam teraz szczegóły mojej oferty. Nie ma mowy o żadnych targach, możecie przyjąć moją propozycję albo ją odrzucić. Kto nie zechce ze mną współpracować, na parterze w rezerwacji znajdzie bilet powrotny na samolot tam, skąd przyleciał. Odrzucenie mojej oferty nie pociągnie za sobą żadnych bezpośrednich sankcji, ale ostrzegam, że oznacza to koniec możliwości współpracy ze mną i ze wszystkimi organizacjami które pozostają pod moja kontrolą. Przekonacie się, że moja siatka ma ogólnoswiatowy zasięg. Macie wolny wybór i jeżeli ważycie się na takie ryzyko, możecie powiedzieć „nie”. Ale nie zalecałbym tego.

C.W. przyjął to obojętnie, ale przez twarz Sabriny przemknął cień z troskania. Z ich trójki ona jedna słyszała nazwisko Smitha w związku z działalnością przestępczą. A Sabrina, ponad wszystko, chciała nadal móc pracować w swoim zawodzie. Mike Graham wyszczerzył tylko zęby – ani nazwiska, ani pogroźek nie traktował poważnie.

Philpott wciąż gorączkowo lustrował chodniki w poszukiwaniu złodzieja laserów, ale Grahama przez cały czas zasłaniał olbrzymi Murzyn w kwiecistym stroju, który jeździ chodnikami najwyraźniej dla przyjemności. Gdzie jechał Mike, tam jechał Zulus. Graham powziął nawet co do olbrzyma pewne podejrzenia, ale wyraz twarzy czarnego był tak święcie niewinny, że Mike, zgodnie z prawdą, uznał go w korku za maniaka. Przypomniawszy sobie, że niektórzy tak samo jeżdżą schodami ruchomymi na stacjach metra.

Smith mówił dalej, równie beznamiętnym tonem:

–Z chwilą, gdy przyjmiecie moje warunki, z nikim nie wolno wam się kontaktować. Macie słuchać mnie albo moich pełnomocników tak, jak żołnierze słuchają rozkazów przełożonych. Najmniejsze naruszenie dyscypliny będzie karane z całą surowością. Zdrajcy będą karani śmiercią.

C.W. uniósł brwi, a Sabrina zacisnęła wargi w cienką, twardą linię. Philpott obserwował jej twarz – zdradzała więcej niż twarz zamkniętego w sobie Murzyna.

–Nie zamierzam jednak – ciągnął Smith – narażać nikogo na niebezpieczeństwo, a już na pewno nie was. Z drugiej strony, w razie konieczności być może każę wam kogoś zabić. Wątpię, żeby do tego doszło, niemniej jest to możliwe, dlatego też stawiam to jako warunek, który musicie przyjąć.

Tym razem to Mike się zdziwił, chociaż z dwóch zabójców w tej grupie (C.W. miał ludzi na sumieniu z czasów służby w Wietnamie) on był bardziej bezwzględny.

–W zamian za przyjęcie moich warunków – odezwał się Smith po krótkiej przerwie – wypłacę wam milion dolarów... na głowę. Pieniądze otrzymacie bez względu na to, czy operacja się powiedzie, czy też nie. Macie dziesięć sekund do namysłu.

Na twarzach trójki jadącej ruchomymi chodnikami malowały się mieszane uczucia – od zachwytu do niedowierzania. C.W. i Sabrina tak czy inaczej nie mieli wyboru – ich zgoda była automatyczna. Graham zaś nie wahał się ani przez chwilę – to było mnóstwo pieniędzy.

Claude wyłączył magnetofon i odezwał się do mikrofonu:

–Pan Smith czeka na waszą odpowiedź.

Po przerwie krótszej niż uderzenie serca C.W. powiedział: „Niech mu pan powie, że

tak”, Sabrina rzuciła: „Wchodzę”, a Mike Graham: „Zgoda, czemu nie?” Claude, z wyraźną satysfakcją w głosie, podał im nowe instrukcje.

Philpott zobaczył, że Sabrina i C.W. zjeżdżają na parter i słusznie wywnioskował, że konferencja radiowa się skończyła. Oznaczało to koniec szans na wykrycie złodzieja laserów. Dał znak Soni i wyszedł na środek zatłoczonej sali.

Sonia z furią podeszła do Philpotta i objechała go płynną idiomatyczną francuszczyzną. Gdzie się podziewał, dlaczego ją zostawił, co on sobie właściwie wyobraża?

Philpott odplacił jej z nawiązką, na co Sonia odwróciła się z godnością i odmaszerowała. Po kilku krokach odwróciła się, by raz jeszcze znieważać jego męskość, i wpadła na elegancko ubranego Murzyna, przypalającego sobie papierosa kosztowną zapalniczką.

Mężczyzna zachwiał się i upuścił zapalniczkę. Nachylił się, żeby ją podnieść – ale nie zdążył. Sonia, ze skrępowaniem mamrocząc przeprosiny, przykucnęła szybko i złapała zapalniczkę. Oddalając właścicielowi, uśmiechnęła się do niego i odeszła.

Wróciła do Philpotta, na pozór skruszona i czuła, i oparła mu głowę na ramieniu.

–Zamieniłaś? – spytał Philpott.

–Oczywiście – odparła, wsuwając mu w dłoń zapalniczkę C.W.

Philpott otoczył Sonię ramieniem, podniósł torbę i ruszył do drzwi z napisem SORTIE. Nagle stanął jak wryty. Popchnął Sonię za róg okienka informacji i odwrócił się do niej, stając tyłem do większości podróżnych.

–Co się stało? – zapytała Sonia.

–Mężczyzna, który zmierza do wyjścia – szepnął Philpott pośpiesznie. – Wysoki szatyn, bez kapelusza, w rozpiętej skórzanej kurtce i dżinsach. Widzisz go?

Sonia skinęła głową.

–Ten z radiem przewieszonym przez ramię?

–Z radiem? – powtórzył Philpott. – A to bomba! Tego nie zauważyłem. A więc to na pewno on.

–Co za „on”? Złodziej laserów?

–Tak. Znam go... w każdym razie dużo o nim słyszałem. Spotkaliśmy się kilka razy. Nie rozumiem, dlaczego nie figuruje w moich aktach... pasuje do nich znakomicie.

Nazywa się Michael Graham i był pracownikiem CIA.

–Był?

Philpott skinął głową.

–Tak. Trzy lata temu przeżył jakiś kryzys. Nie wiem, jaki był powód, w każdym razie zwolnił się z firmy. Zdaje się, że od tej pory uważają go za renegata. Z całą pewnością jest brutalny i nieobliczalny. Może być niebezpieczny.

–Był dobry? – zapytała Sonia, usiłując nie przyglądać się zbyt natarczywie oddalającemu się mężczyźnie.

–Najlepszy – odparł Philpott. W dziedzinie broni był najlepszy, wręcz genialny. Lasery zna na wylot. W sumie... – zmarszczył brwi – przyszło mi do głowy...

–Co takiego? – ponagliła go Sonia.

–Przyszło mi do głowy – oświadczył Philpott powoli – że ktoś usunął jego dane z moich akt. Dlatego nic o nim nie ma. Ktoś chciał mnie wyprowadzić w pole, bo Graham z całą pewnością musiał być na każdej liście potencjalnych użytkowników laserów. A to może oznaczać tylko jedno – że Smith ma swoich ludzi w CIA.

Sonia jęknęła.

–To może być katastrofalne.

–Może – zgodził się Philpott. – Ale w związku z Grahamem jeszcze coś chodzi mi po głowie... coś, czego w tej chwili za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć. Wiem tylko, że to coś ważnego... Trudno – wzruszył ramionami – jeszcze sobie przypomnę. Wszystko w swoim czasie. Na razie musimy ich odszukać i zobaczyć, co zamierzają.

Graham zniknął im już z oczu, ale C.W. został w tyle pod pretekstem kupowania kartonu lucky strike'ów, by ułatwić im zadanie. Po chwili Murzyn przyspieszył, nie mogąc się doczekać spotkania z człowiekiem z Monachium – trzecim uczestnikiem nowego przedsięwzięcia Smitha, którego specyficznych umiejętności ani on, ani Sabrina nie umieli odgadnąć.

C.W. znał punkt docelowy z wcześniejszych wizyt na lotnisku de Gaulle'a, toteż dotarł na lądowisko helikopterów minutę przed Sabriną. Zastał tam Claude'a, który przedstawił się jako ich rozmówca radiowy i obiecał, że już wkrótce spotkają się ze Smithem.

Sabrina dotarła na miejsce zdyszana, lecz jeszcze piękniejsza niż zwykle. C.W. wymienił z nią kurtuazyjny uścisk dłoni.

–Współpraca z tak piękną kobietą to sama przyjemność – powiedział, starając się, żeby wypadło to naturalnie. Po chwili wsiedli z Claude'em do czekającego na nich helikoptera.

Philpott i Sonia obserwowali ich z bezpiecznej odległości, zza rogu hangaru. Spojrzeli po sobie z konsternacją.

–No to cześć – jęknął Philpott i westchnął. – Smith znów nas wykołował. Zupełnie, jakby znał wszystkie nasze posunięcia, Teraz się pewnie śmieje w kułak.

–Masz rację – przyznała Sonia. – Jak, u licha, mamy ich teraz śledzić?

–Nijak. To moja wina. Źle to zaplanowałem, powinienem być przygotowany na taką ewentualność.

–Mając nadzwyczajne pełnomocnictwa możesz coś jeszcze zrobić.

Philpott potrząsnął głową

–Dobra rada, tyle że spóźniona. Za chwilę odlecą, po co mieliby zwlekać. Co najwyżej mogę sprawdzić ich plan lotu, jeżeli takowy wypełnili, w co wątpię. A gdyby nawet, to dlaczego nie mieliby go zmienić?

Sonia spytała, co dalej.

–Muszą sobie jakoś radzić – odparł Philpott. – W takich sytuacjach Sabrina jest dobra, a C.W. jeszcze lepszy. Teraz wszystko zależy od nich. Dadzą znać, jeżeli im się nadarzy okazja. Mam tylko nadzieję, że ten drań ich nie załatwi...

Sonia spojrzała w ślad za jego wyciągniętym palcem. Mike Graham, któremu jakiś uprzejmy pracownik lotniska wskazał drogę, śpieszył w stronę śmigłowca. Drzwi helikoptera otworzyły się na jego powitanie, silnik zastartował i wielkie rotory zaczęły się obracać.

Sabrina i C.W. byli skazani na własne siły.

W wielkim śmigłowcu Graham naliczył sześć osób. Rozejrzał się po otaczających go twarzach, ale nie, nie znał nikogo. Jeden z mężczyzn był lekarzem, w białym fartuchu i ze stetoskopem zawieszonym na szyi. Cztery osoby leżały na rozkładanych łóżkach, przysuniętych do ścian helikoptera. Mike wywnioskował, że dowódcą jest jedyny mężczyzna, który stał. Skinął mu więc głową i przedstawił się. Claude podał mu rękę.

Sabrina, która obserwowała Grahama ukradkiem ze swojego pośłania, odwróciła się szybko twarzą do ściany. Najpierw twarz, pomyślała... a teraz nazwisko! Znała go.

Wiedziała też, kim jest – a raczej kim był. Pogłoski na jego temat, które do niej dotarły od czasu ich ostatniego spotkania, nie wróżyły nic dobrego.

–Innych pozna pan później – rzekł Claude. Mike dostrzegł, że wśród jego nowych kolegów znajduje się potężnie zbudowany Murzyn, dalej kobieta, następnie niski, zwalisty mężczyzna o byczym karku i wreszcie jakiś Azjata. Lekarz wyglądał po prostu na lekarza, natomiast Claude – mężczyzna z blizną był niewątpliwie Francuzem. Wskazał Grahamowi wolne postanie. Mike położył się bez dyskusji.

Idąc za przykładem pozostałych, zamknął oczy, lecz otworzył je, słysząc dziwny syk. Lekarz pochylał się nad osiłkiem, przytykając mu do twarzy pojemnik z gazem usypiającym.

Mike uznał, że jest to kolejny pomysł Smitha mający zapewnić całkowite bezpieczeństwo, toteż nie protestował, kiedy lekarz podszedł do niego, nachylił się i zaaplikował mu to samo. W gruncie rzeczy przyjął to nawet z ulgą – doktor miał przykry oddech.

Philpott i Sonia w kamiennej ciszy przesłuchiwali nagranie głosu Smitha, zarejestrowane przez C.W. za pomocą zapalniczki, która w rzeczywistości była skomplikowanym i wielce precyzyjnym urządzeniem podsłuchowym, opracowanym przez ekspertów z UNACO. Zapalniczka podłączona była właśnie do aparatury stereofonicznej w limuzynie, którą wraz z szoferem oddał do ich dyspozycji rząd francuski.

... z chwilą, gdy przyjmiecie moje warunki, macie się z nikim nie kontaktować... zdrajcy będą karani śmiercią... może każę wam kogoś zabić... milion dolarów na głowę...

Sonia zagwizdała.

–Dzięki Bogu, mogę polegać na lojalności C.W. i Sabriny – powiedział Philpott, krzywiąc się. – To dopiero pokusa. Na szczęście są zbyt dobrze wyszkoleni, żeby się na to złapać... mam nadzieję.

Rozległ się dzwonek radiotelefonu. Kiedy Sonia podnosiła słuchawkę, Philpott zacisnął pięść i uderzył się w udo.

–Mam! – krzyknął. – Wiem! Szkolenie! Jasne, to było tam.

Sonia mówiła szybko do telefonu, jednocześnie zapisując coś w swoim nieodłącznym notesie. Skończyła, odłożyła słuchawkę i wyrwała z notesu górną kartkę. Podała ją Philpottowi, który uważnie przeczytał zapiski, ponuro kiwając głową.

–To on, wszystko się zgadza – stwierdziła Sonia. – Czternastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku zwolniony ze służby w rezultacie poważnego załamania nerwowego. Od tej pory zachowuje się nieobliczalnie. A tego tutaj – postukała w kartkę paznokciem – nie mogłeś sobie przypomnieć, mam rację?

–Właśnie sobie przypominałem – odparł Philpott, zamykając oczy i opierając głowę na kosztownej tapicerce. Limuzyna z przydymionymi szybami zajechała przed Ritza. – Był ich najlepszym ekspertem od broni, więc naturalne, że brał udział w szkoleniu agentów CIA i ludzi spoza firmy. A na nasze nieszczęście – albo na szczęście Smitha – gościnnie prowadził zajęcia na kursie, na który wysłaliśmy Sabrinę.

Sonia dotknęła jego dłoni.

–Wykładowca nie musi pamiętać wszystkich swoich uczniów – powiedziała cicho.

Philpott otworzył oczy i uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

–Kochanie, czy na miejscu mężczyzny mogłabyś zapomnieć Sabrinę Carver?

Sonia zamrugła.

–Rozumiem.

Philpott zagłębił się w miękkie siedzenie.

–Chodzi mi o to – mruknął – że jeżeli Mike Graham ją zapamiętał, a nie mam co do tego żadnych złudzeń, to prawie pewne, że ja zadenuncjuje przed Smithem.

–I...? – zapytała Sonia, choć wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

–I Smith ją zabije. Pamiętasz, co powiedział? Zdrajcy będą karani śmiercią.

Rozdział 6

Claude stał obok lekarza, który pochylał się troskliwie nad bezwładnym ciałem Sabriny Carver. Doktor uniósł podkreśloną ciemną kredką powiekę, odsłaniając sinawą białkówkę i straszliwie rozszerzoną źrenicę.

–W porządku z nią? – zapytał Claude z niepokojem.

Lekarz odwrócił się do mego.

–Oczywiście – warknął. – A co, coś się nie podoba?

–No... – zaczął Claude, lecz porywczy medyk zachnął się i wyrzucił z siebie potok fachowych bzdur.

Claude uniósł ręce i wycofał się czym prędzej.

–Dobrze, zgoda. Ja pana wcale nie krytykuję – zapewnił pośpiesznie. – Tyle że pan Smith powiedział... a... sam pan zresztą wie.

–Doskonale pamiętam, co powiedział pan Smith – oświadczył lekarz pompatycznie. – Chciałbym tylko panu przypomnieć, że to ja jestem lekarzem. Dopóki ludzie ci znajdują się pod moją opieką, nie stanie im się najmniejsza krzywda... zakładając oczywiście, że żaden ignorant nie będzie mi się wtrącał. Ale jeżeli woli pan, żebym opowiedział panu Smithowi jak to zawracał mi pan głowę i pętał się pod nogami, to naturalnie... – zawiesił głos.

–Ależ nie, nie – zaprotestował Claude ze ściśniętym gardłem. Pan tu rządzi. Ja tylko chciałem się upewnić, że... że wszystko jest w absolutnym porządku.

–W porządku? – zagrzemiał lekarz. – Tętno tej młodej damy, jej ciśnienie krwi, oddech, serce i płuca, a także, o ile mi wiadomo, jej miednica i pięta, są w doskonałym stanie. Jest na chodzie jak stradivarius i wygląda zdecydowanie zdrowiej niż pan. A teraz może będzie pan łaskaw zejść mi z drogi. Chciałbym się zabrać za pozostałych pacjentów.

Claude usunął się na bok, po czym ruszył molestować pilota. W zamyśleniu wyjrzał przez okno, ale nawet błogi spokój pięknego jesiennego dnia nie poprawił mu nastroju. Helikopter ścigał własny cień ponad szmaragdowymi polami, szerokimi łąkami kukurydzy i jęczmienia, schludnymi farmami i pasącym się bydłem. Minęła zaledwie godzina, odkąd wylecieli z Paryża, lecz Claude, mieszcuch z krwi i kości, zaczynał już tęsknić za miastem. Nie miał zaufania ani do prowincji, ani do jej mieszkańców.

Jeszcze raz wyjrzał przez okno Zamek na horyzoncie z każdą chwilą rósł w oczach.

–Claude, bądź tak dobry i zmyj się – poprosił pilot. – Działasz mi na nerwy.

Claude z rezygnacją machnął ręką i wrócił do głównej kabiny, gdzie lekarz kończył właśnie oględziny ostatniego pacjenta.

–I jak, doktorze, czyści? – zapytał z respektem. Wszyscy pasażerowie leżeli nieprzytomni, w rozpiętych ubraniach lub rozebrani.

Lekarz westchnął z humorem.

–Nie mają żadnych widocznych schorzeń, nie zażywają narkotyków dożylnie i z różnym efektem wszyscy się dzisiaj myli. Poza tym, a chyba o to panu chodzi, nikt z nich nie ma ukrytej broni. Starczy?

–Starczy – potwierdził Claude, uśmiechając się pojednawczo. Przyklęknął na wolnym łóżku i wyjrzał przez boczne okienko. Zamek był już niedaleko. Widok ten poruszył wreszcie Claude'a, wywołując w nim zbliżony do zachwyty podziw.

Był to jeden z około trzydziestu wielkich zamków w dolinie Loary, liczących sobie ponad pięćset lat. Nie cieszył się taką sławą i rozgłosem jak słynna trójca spod Blois-Chambord, Chaumont i Cheverny – czy sam pałac królewski w Blois. Nie miał tak potężnych fortyfikacji jak Sully-sur-Loire czy Château Angers, znany ze swoich siedemnastu baszt. Nie mógł pochwalić się tak krzykliwym przepychem jak renesansowy pałac Jacquesa Coeur w Bourges czy tak nieodpartym wdziękiem jak zamek Valençay Talleyranda. Château Clérignault Smitha leżał za to na uboczu, był nieprawdopodobnie komfortowy i stylowy, a także zawierał przypuszczalnie więcej dzieł sztuki niż wszystkie pozostałe zamki nad Loarą razem wzięte. Był też nieprzyzwoicie zbytkowny i naprawdę piękny.

Dach zamku wieńczył olbrzymi orzeł z brązu, wyrastający ponad las iglic, wciąż sprawnych dzwonnicy, połączanych wiatrowskazów i wysokich, dostojnych kominów. Z każdej strony dachu widniały trzy wspaniałe zaprojektowane wieże. Na frontowej fasadzie, porośniętej bluszczem, wąskie okienka mansardowe pod okapem ustępowały niżej miejsca wielkim, majestatycznym oknom. Szerokie schody, ozdobione posągami, wiodły wprost z trawnika do podwójnych drzwi. Po obu stronach wejścia stały nagie kariatydy, podtrzymujące olbrzymią muszlę.

Pomysłowość i uroda parków szły o lepsze z ogrodami – począwszy od lustrzanej powierzchni ogrodu wodnego, do ogrodu ozdobnego, włoskiego, warzywnego i zielarskiego. Przedzielały je żywopłoty z bukszpanu. W miejscach, gdzie krzyżowały się niezliczone alejki, znajdowały się fontanny otoczone wyniosłymi grabami, a co krok widać było altanki, które przez lata były świadkami niejednych miłosnych zapędów. Smith wolał jednak do tego celu swoją japońską łaźnię lub gigantyczne

okrągłe łoże w pokoju o ścianach wyłożonych lustrami.

–Proszę im dać coś na otrzeźwienie – polecił Claude. Lekarz wziął strzykawkę i ochoczo zabrał się do dzieła.

Dziesięć minut później helikopter zatoczył łuk nad wspaniałym parkiem i wylądował na trawniku przed wejściem do zamku Smitha.

Leah poczekała, aż rotory przestaną się kręcić, i kiedy drzwi helikoptera otworzyły się na jej powitanie, weszła z wdziękiem do kabiny. Rekruci Smitha odzyskali tymczasem przytomność. Sabrina wyglądała przez okno, podziwiając przepych zamku. Odwróciła się, słysząc głos Leah.

–Witajcie w Château Clérignault – odezwała się Austriaczka. – Nazywam się Leah Fischer, jestem osobistą sekretarką pana Smitha. Mam nadzieję, że podróż upłynęła wam przyjemnie i że nie odczuwacie żadnych niemiłych skutków po zażyciu środka nasennego. Czy macie do mnie jakieś pytania?

–Owszem – rzekł Graham. Uniósł dłoń i potarł szybę palcem. Na szkle pozostał tłusty, bezbarwny ślad. – Dlaczego po uśpieniu zdjęto mi odciski palców?

–Nie tylko panu. Wszystkim – zauważyła łagodnie Leah. – To jasne, że musimy sprawdzić w naszych aktach, czy jesteście tymi, za których się podajecie. Dzięki temu wszyscy będziemy mogli spać spokojnie, wiedząc, że jesteśmy wśród przyjaciół.

Mike odprężył się i zerknął na Sabrinę z uśmiechem. Odpowiedziała mu tym samym, starając się ukryć narastające napięcie i niepokój.

Mike Graham w żaden sposób nie zdradził się, że ją rozpoznał, a tym bardziej że wie, kim ona jest. Czyżby tylko zwlekał, czekając na bardziej dramatyczny moment? – zastanawiała się. Czy chciał ją wydać Smithowi osobiście, na przykład po to, by zarobić ekstra część należnego jej miliona dolarów? Czy to możliwe, żeby jej nie rozpoznał, skoro ona poznała go natychmiast? Wykluczone, uznała Sabrina. Fałszywa skromność była jej obca i nie miała złudzeń, że mężczyźni takimi, jak Graham trudno byłoby ją zapomnieć.

Odwracając wzrok z przyklepionym uśmieszkiem na twarzy zauważyła, że Graham uśmiecha się szczerze, swobodnie, niewinnie. Tak, jak mężczyzna mógłby się uśmiechać do ślicznej dziewczyny, której nie zna, albo której sobie nie przypomina.

–Proszę za mną – polecił Claude. C.W., leżący najbliżej drzwi, wyskoczył pierwszy i odwrócił się, by pomóc Sabrinie. Skorzystała z pomocy i wsparła się na jego ramieniu.

–Aleś ty, kolego, uprzejmy – parsknął Graham. C.W. odwrócił się i spojrzał wyzywająco w jego zimne, pogardliwe oczy. Mike wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Może byłby pan łaskaw się odsunąć? – powiedział. – Chyba że mnie też chce pan pomóc.

C.W. odwrócił się na pięcie i odszedł.

–Niech pan uważa, Graham – rzuciła Leah ostrzegawczo – Pan Smith nie lubi spięć i może uznać, że Whitlock i Sabrina są dla niego bardziej przydatni niż pan. Teraz, kiedy już pana zaangażowano, miałyby to dla pana niemiłe skutki. Po rozpoczęciu operacji nikt Smitha nie opuszcza... chyba że w trumnie.

–Kto wie, być może pana Smitha czeka niespodzianka – odrzekł Graham. – Ale to ładnie, że pani o tym wspomniała. Jestem wielce zobowiązany.

–Cieszę się – skwitowała dziewczyna spokojnie.

Leah, ubrana w jednoczęściowy kombinezon z grubej wełny, a mimo to wciąż atrakcyjna, zaprowadziła ich nie do imponujących drzwi Château Clérignault, lecz na tyły zamczyska. Minęli ogrody uprawne i wyszli na wybieg dla koni, gdzie sześciu mężczyzn, ubranych tak samo jak Leah, słuchało w skupieniu instruktora strzelania. Po drugiej stronie placu znajdował się cel – fresk przedstawiający cztery postacie.

Leah podniosła rękę i procesja zatrzymała się. Instruktor przekręcił osadzony na trójnogu potężny karabin maszynowy dużego kalibru i naprowadził go na oddalony o sto metrów cel. Austriaczka głośno wykrzyknęła rozkaz, na co cztery postacie zaczęły się poruszać – w oszalamiającym tempie opadały w dół, niemal niknąc z pola widzenia, rzucały się gwałtownie do przodu, uskakiwały z boku na bok.

Krótkimi, oszczędnymi seriami, jakby od niechcienia, strzelec kolejno pociął wszystkie postacie na strzępy. Zdaniem Grahama nie zmarnował ani jednej kuli. Szczególną uwagę poświęcił manekinowi ustawionego bokiem, przykucniętego komandosa. Na pierwszy ogień poszła głowa, dalej wyciągnięte ramię, tułów, na koniec zaś snajper odstrzelił obie nogi figurki na wysokości kolan. Było to imponujące przedstawienie. Mike odniósł wrażenie, że zaplanowano je specjalnie dla niego.

–Czy oni też biorą udział w naszej operacji? – zapytał C.W.

–Niekoniecznie – odrzekła Leah. – Pan Smith zleca jednocześnie wiele, hm... akcji w różnych stronach świata, którymi dowodzą różni ludzie. Ale nad waszym zadaniem obejmie osobisty nadzór.

–Doceniamy ten zaszczyt – parsknął Graham wyzywająco.

Dziewczyna udała, że nie słyszy, i poprowadziła ich ku stajniom. Przeszli tunelem na sąsiedni, mniejszy plac, gdzie potężny ogier parzył się z radośnie parskającą klaczą. Terkot karabinu maszynowego i brutalne pchnięcia niecierpliwego konia niepotrzebnie przydawały wdzięcznym skądinąd budynkom stajennym atmosfery zwierzęcej dzikości.

Claude nerwowo ominął szerokim łukiem rozszalałego ogiera i przeszedł za Leah do długiego, wyłożonego sosnową boazerią magazynu broni. Czekał tu na nich zimny bufet – półmiski homarów, krabów i wędlin, w otoczeniu butelek schłodzonego sherry i aperitifów.

–Pan Smith sądził, że pewnie wolelibyście zjeść tutaj i poznać się nawzajem, skoro w najbliższym czasie będziecie zdani na swoje towarzystwo. A zatem bawcie się dobrze. C.W., Mike i Sabrina... zdaje się, że nie mieliście jeszcze okazji poznać Pei i Tote? Pei pochodzi z Indonezji... zgadza się? – rozpromieniony Azjata pokiwał głową i wyszczerzył się w uśmiechu – a Tote jest z Finlandii. Jego imię trudno nawet przeliterować, a co dopiero wymówić jak należy, ale na szczęście z radością zgodził się, żeby nazywać go Tote. – Niewiarygodnie barczysty i rozrośnięty goryl sprawiał wrażenie, jakby wszelka radość była mu obca, jednak wykręcił usta w grymasie, który w jego przekonaniu miał być zapewne sympatyczny, a który na trójce Amerykanów wywarł efekt pośredni między warknięciem psa a ukąszeniem węża. Natomiast Pei z uznaniem poklepał Tote po plecach.

–Czy poznamy nareszcie pana Smitha? – zapytała Sabrina. Nie mogła się doczekać spotkania z człowiekiem który – jak wywnioskowała ze strzępów rozmów z Philpottem – mógł poważnie zaszkodzić nie tylko UNACO, ale i całemu światu.

–Nie – odrzekła Leah. – Dzisiaj w ogóle się z nim nie spotkacie. Dopiero jutro rano. Po obiedzie zaprowadzę was do pokoi. Rozgościcie się, a później wybierzemy się na szybki obchód zamku i terenów ćwiczebnych. Chciałabym jednak ostrzec was raz jeszcze, żebyście w żaden sposób nie próbowali kontaktować się z, nazwijmy to, światem zewnętrznym. Nie macie prawa korzystać z telefonów. Nikt z personelu zamku nie prześle od was żadnej wiadomości. Już sama próba nawiązania kontaktu z kimkolwiek będzie poczytana za zdradę. A jaka kara za to grozi, wiecie sami.

Pokoje, które im przydzielono, zaopatrzone w osobne wejścia, nosiły nazwy pochodzące od miejsc, epok lub postaci związanych z historią Francji, ich wystrój zaś był stosowny do nazwy. Sabrina poczuła się szczególnie wyróżniona gabinetem Króla-Słońce, podczas gdy Pei i Tote, którzy uparli się dzielić pokój „Thermidor”, kompletnie nie mieli pojęcia o kalendarzu Rewolucji Francuskiej, za to podobały im się działające modele gilotyn. „Ludwik XVI” był, jak na gust C.W., nieco za stylowy, Graham zaś uznał, że gabinet Napoleona jest surowy, choć panuje w nim zniewalająca atmosfera wojskowości.

Przy pierwszej okazji Sabrina przemknęła się do „Ludwika XVI”. Zastała C.W. w olbrzymiej wannie, przyzwoicie zakrytego pianą. Kiedy usiadła na sedesie, C.W. jęknął i jeszcze bardziej zanurzył się w wodzie.

–Zdaję sobie sprawę, że jestem wściekle przystojny, ale nie mogłaś poczekać, aż się wyszoruję?

–Nie interesuje mnie twoje ciało, C.W. – odparła Sabrina z uśmiechem, – Przynajmniej nie tym razem. Chodzi mi o Mike’a Grahama.

–No to może siądź sobie u niego na muszli – zaproponował C.W. z nieodpartą logiką.

Sabrina roześmiała się.

–To poważna sprawa – zganiła go. – Przeżyjesz jeszcze trochę wody? – Kiedy C.W. skinął głową, odkręciła oba kurki, spuściła wodę w toalecie i powiedziała szybko: Graham był jednym z bardziej znanych ludzi w CIA. Zdezercerował. Kiedyś był moim wykładowcą na kursie strzeleckim. Na pewno mnie rozpozna. Wsiąknijmy i będzie po nas.

–O kurcze! – C.W. westchnął. – Rozumiem. – Usiadł w niemal przelewającej się wannie. Powiedział dziewczynie, że już sprawdził, że w łazience nie ma podsłuchu. – Więc może wyłącz wodę, co? Choćby dlatego, że rozplynał się mój szlafrok.

Sabrina spojrzała w wodę.

–Fakt. – Zakręciła kurki i spytała: – Co teraz?

C.W. nakreślił koło w powietrzu. Dziewczyna posłusznie odwróciła się do niego plecami.

–Już – usłyszała.

Odwróciła się z powrotem. C.W. stał w białym aksamitnym szlafroku, wycierając błyszczącą czarną skórę.

–Czy Graham zdradził się, że cię rozpoznał?

Potrząsnęła głową.

–Nie, chociaż nie rozumiem, jak to możliwe, żeby mnie nie pamiętał.

–Też racja. Ale nie zostaje nam nic innego, jak tylko grać ze słuchu. Jeżeli szepnie słówko Smithowi, przy wszystkich lub na osobności, to się o tym raz dwa dowiemy, jak nas zaprowadzą na strzelnicę i wykorzystają w charakterze tarcz. A jeżeli nic mu

nie powie, to albo się mylisz i cię nie rozpoznał, albo kombinuje coś na własną rękę. W takim wypadku siedzimy cicho, póki się nie przekonamy, o co mu chodzi. Jasne?

–Jasne. Tylko ta strzelnica... Jakby co, nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami.

–Załatwione – rzekł C.W. z aprobatą. – Jeśli będę musiał opuścić ten świat, to zabiorę Smitha ze sobą.

Bibliotekę zamkową stanowiła okazała sala o ścianach wyłożonych boazerią z drewna różanego. Wspaniałe płaskorzeźby ozdabiały gzymsy pokoju, sufit zaś upiększały delikatne akwarele. Podłogę przykrywał olbrzymi indyjski dywan, z którego po kilku schodkach dochodziło się do półek. Korzystanie z najwyższej ustawionych książek umożliwiały zaopatrzone w kółka drabinki. Środek dywanu zajmowały biurka, oświetlone nachylonymi pod kątem lampami, a bliżej okna znajdowały się miękkie, kryte kasztanową skórą sofy, przed którymi stały delikatne stoliki o blatach z drewna różanego, nadmiernie zdobionych intarsjami. Stoliki zastawione były teraz alkoholem i przystawkami, na użytek nowych gości, którzy w towarzystwie Claude'a i Leah oczekiwali na spotkanie z panem Château Clérignault.

Jak zawsze przed pojawieniem się Smitha, Claude krążył po sali, sprawdzając wszystko, podejrzewając wszystkich, nie ufając nikomu. Mike Graham rozparł się na kanapie, sącząc powoli białe porto i zagryzając je krakersami serowymi z kawiozem. Sabrina usiadła tak daleko od niego, jak tylko mogła bez wzbudzania podejrzeń. Pei i Tote przeprowadzili szybką inspekcję biblioteki i teraz rehotali nad podręcznikiem wschodnich technik miłosnych. C.W. z rozbawieniem zauważył broszurę zatytułowaną: „Ścisłe tajne. Na użytek sił zbrojnych USA. System sterowania BAT”. Zdjął ją z półki i przewertował. Była autentyczna.

W otwartych drzwiach biblioteki pojawił się Smith. Zmienił swój wygląd od czasu, gdy Leah go ostatnio widziała – w basenie z samego rana. Claude w pierwszej chwili nawet go nie poznał. Włosy Smitha były teraz ciemnokasztanowe, a twarz pełniejsza. Zdawał się być wyższy, młodszy, bardziej władczy. Miał na sobie idealnie skrojony strój do jazdy konnej i wręcz kuriozalnie wypolerowane buty. W prawej ręce trzymał szpicrutę, którą regularnie uderzał w drugą dłoń. W białym krawacie nosił szpilkę z czarną perłą.

–Dzień dobry – odezwał się po angielsku, z akcentem typowym dla arystokracji. – Witam wszystkich, których dotychczas nie miałem okazji poznać. Nazywam się Smith. Przyznaję, że nie jest to może zbyt oryginalne nazwisko, ale najbardziej odpowiada moim celom.

Obrzucił ich wszystkich przenikliwym wzrokiem, badając rysy i wyraz ich twarzy. Nieco dłużej przyjrzał się Sabine. Leah nieznacznie zacisnęła wargi, choć w rezultacie znajomości ze Smithem stała się nieuleczalną fatalistką i wiedziała dobrze,

że gdyby musiała ustąpić miejsca w jego łóżku tej czarującej dziewczynie, to wycofałaby się z jak największym wdziękiem, czekając na swoją kolej.

Tylko Pei i Tote zmieszali się pod badawczym spojrzeniem Smitha. Graham nonszalancko przypatrywał się właścicielowi zamku, C.W. zaś uśmiechnął się uprzejmie i rzucił:

–Sie masz.

–Znakomicie – odparł Smith z uśmiechem. – Tyle że macie się do mnie zwracać „panie Smith”. Od tej reguły nie ma wyjątków. Zrozumiano?

–Jasne – potwierdził C.W. Odczekał z piętnaście sekund i dodał: – Panie... a... Smith.

Smith skłonił się ledwie dostrzegalnie.

–Zapewne ucieszy was wiadomość, że według naszego komputera wasze dane personalne i życiorysy są bez skazy. Jesteście tymi, za kogo się podajecie, ludźmi, których potrzebuję do realizacji mojego planu. Jednakże – choć ma to istotne znaczenie fakt, że jestem z was zadowolony, nie wystarcza, jeżeli komuś z was nie podoba się któraś z obecnych tu osób... włącznie ze mną, ma się rozumieć. Czy ktoś z was wie lub podejrzewa coś, co dotyczy kogo innego, a co mogłoby przeszkodzić w realizacji mojego planu? Jeśli tak, to nadeszła pora wyjaśnień.

C.W. zebrał się w sobie, choć umysł miał zimny jak lód. Teraz, pomyślał, teraz albo nigdy. Sprawdził, gdzie znajduje się Claude, który, jak sądził, był jedynym uzbrojonym człowiekiem w pokoju. Rzucił okiem na drzwi biblioteki. W korytarzu stał znajomy mu już instruktor strzelania, odwrócony plecami, z rękami splecionymi na piersi i niedbale przewieszonym przez ramię pistoletem maszynowym. Jego palce błędziły koło spustu.

C.W. rozejrzał się powoli po sali, dostrzegając to, czego wcześniej nie zauważył. W gzymsach na rogach pokoju były ukryte kamery. Z wybrzuszenia sufitu niewątpliwie wystawała lufa pistoletu maszynowego. A może wpada w paranoję? Graham najwyraźniej gra na zwłokę, pomyślał. Kawał sadysty.

Mike Graham spojrział Sabrinie prosto w oczy. Siedziała z opuszczoną głową, ale paralizująca świadomość, że Graham przeszywa ją wzrokiem, sprawiła, że podniosła głowę i spojrzała na niego. W odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie i rozsiadł na kanapie, w zamyśleniu splatając palce.

Sabrina poczuła, że powietrze ucieka jej z płuc. C.W. przesunął się, jakby mu było niewygodnie, przez chwilę, która wydawała mu się wiecznością, rozważał, czy atak na Claude'a nie dałby im cienia szansy...

Mike Graham nie odezwał się ani słowem. Pozostali również milczeli.

–Po raz drugi znakomicie – rzekł Smith. Mamy do siebie zaufanie. Kto wie, może się nawet polubimy. Uważam, że to daje dobre efekty. Nie mówię, oczywiście, o zażyłości – przeniósł wzrok na Pei i Tote – ale stopa przyjacielska, czemu nie.

Napięcie w bibliotece zelżało. Sabrina zastanawiała się, czy na jej twarzy widać było przerażenie, którym się niemal zdradziła, kiedy oskarżycielski wzrok Grahama przeszył ją jak sztylet.

–A przy okazji, czy ktoś z was cierpi na lęk wysokości? – Smith odezwał się ponownie. Spojrzeli po sobie i niczym marionetki potrząsnęli głowami. – To dobrze – ciągnął Smith. – I jeszcze jedno... C.W., czy sprawiłoby ci trudność udawanie mistrza kuchni francuskiej przed prawdziwym mistrzem? Niektórzy z nich też są czarni, sprawdziłem.

C.W. pokazał w uśmiechu zęby i znowu potrząsnął głową.

–*Un morceau de gâteau* – rzucił.

Smith roześmiał się i zwrócił do Sabriny:

–Potrzebna będzie jedna para o specyficznych umiejętnościach, które masz ty i Tote. Chodzi mi o spawanie. Będziecie pracowali razem.

Sabrina skinęła głową olbrzymiemu Finowi, który mrugnął do niej dwukrotnie.

Myślę, że na tym skończymy wstępne ustalenia – oświadczył Smith, poklepując szpicrutą dłoń w rękawiczce. – Później poznacie oczywiście więcej szczegółów. Cel, datę, i tak dalej. Teraz jednak powinniście zapoznać się z jednym tylko istotnym szczegółem. Ja zresztą też. Panie Graham, czy zechce nam pan powiedzieć, co to takiego Lap-laser?

Mike wyprostował się na kanapie.

–Oczywiście powiedział. – Lap-laser to samosterująca, polowa broń taktyczna, ładowana samoczynnie przez laser... przerwijcie mi, jeżeli wdam się w zbyteczne szczegóły techniczne. Zgoda? Świetnie. Jest śmiercionośna w promieniu tysiąca metrów, a do naprowadzania na cel wykorzystuje system znany w skrócie jako „BAT”.

Rosjanie i Amerykanie od lat prześcigali się w udoskonalaniu tej broni – ciągnął Mike – ale bez specjalnych sukcesów, dopóki Amerykanie nie zastosowali nowego elementu w systemie naprowadzania. Zrezygnowali oni z używanego w pierwotnej wersji radaru i zastosowali lasery, zarówno do sterowania bronią, jak i do jej

zasilania. Teraz to dopiero działa! Lap-lasery są wprawdzie jeszcze nieco niepewne i – nazwijmy to – nieobliczalne, ale Bóg mi świadkiem, że działają aż miło.

Miesiąc temu General Electric Corporation z Buffalo, w stanie Nowy Jork, wysłała dwanaście prototypowych Lap-laserów na wybrane poligony armii USA, w tym jeden w Europie. Niestety, cztery z nich, które testowano na tajnym poligonie w bazie pod Stuttgartem, zostały skradzione. Amerykanie zablokowali wszelkie informacje o kradzieży i całe śledztwo prowadzili, że tak się wyrażę, poufnie.

Tak się szczęśliwie dla nas złożyło, że to ja ukradłem tę broń. Przypuszczam, że teraz znajduje się tutaj. – Mike spojrzał pytająco na Smitha, który skinął głową. – Doskonale. W takim razie bez względu na rodzaj naszej operacji czy czekające nas trudności, mamy fantastyczną przewagę nad wszystkimi, którzy by nam chcieli stanąć na drodze. Lap-lasery to naprawdę coś zupełnie osobnego. Energia, którą wytwarzają, pokryłaby zapotrzebowanie niewielkiego miasta, a ich skuteczność rażenia jest tak fenomenalna, że w porównaniu z nimi przeciętna broń raketowa przypomina korkowiec. Dysponując czterema takimi laserami, możemy przeciwstawić się całej armii.

Smith zachichotał.

–Zabawne, że pan o tym wspomina – mruknął w zadumie. Kto wie, czy do tego nie dojdzie.

Sabrina i C.W. byli wyraźnie zaskoczeni, natomiast zwalisty Tote strzelił tylko palcami i uśmiechnął się szeroko.

Wbrew obietnicy, Smith postanowił nie zdradzać szczegółów operacji aż do zakończenia, jak się wyraził, „krótkotrwałego treningu i przeszkolenia”. Sabrina i C.W. specjalnie się tym nie przejęli – tak czy inaczej, nie mieli możliwości przekazania Philpottowi żadnych informacji. Martwili się tylko tym, że najprawdopodobniej nie znał on miejsca ich pobytu, ale na to też nic nie mogli poradzić.

Byli jednak w błędzie. Philpott wiedział doskonale, gdzie się znajdują. Korzystając z samolotu szpiegowskiego typu „Blackbird Mach III”, śledził helikopter przez całą drogę do zamku. Był nawet w stanie rozpoznać i sfotografować ich twarze, podobnie zresztą jak twarze Smitha i jego kohort. Zauważył na terenie Château Clérignault więcej broni, niż widzieli C.W. i Sabrina, i nie podobało mu się to, co zobaczył. Nie znał tylko ostatecznego planu i miejsca akcji, ale nie przychodził mu do głowy żaden pomysł zdobycia tych danych. Dlatego też on i Sonia Kolchinsky czekali w komfortowych apartamentach hotelu Ritz na pierwsze posunięcie Smitha. Nie odważyli się rzucić amerykańskich lub francuskich wojsk przeciwko laserom broniącym zamek, a więc nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać... i obserwować.

Ludziom Smitha czas mijał szybko. Wieczorem następnego dnia, po zwiedzeniu rozległych posiadłości, Smith ponownie zebrał ich na dziedzińcu stajennym. Claude stwierdził z ulgą, że olbrzymi ogier zaspokoił już swoje żądze i odpoczywa.

Wieczór był cichy i spokojny, dookoła panowała cisza. Do czasu. Smith machnął niedbale ręką, drzwi stajni otworzyły się i noc wypełnił ogłuszający hałas. Scenę oświetlały lampy łukowe na dachach oraz na słupach wznoszących się nad dziedzińcem. Smith wskazał wewnątrz stajni.

Stały tam obok siebie trzy monstrualne samochody-prądnice, ukryte przed obserwacją z ziemi czy z powietrza i połączone zwisającymi grubymi kablami. Za nimi widać było szereg rozedrganych, buczących turbogeneratorów. Gruby zwój kabli biegł z ostatniej ciężarówki do drewnianej platformy, wzniesionej na dziedzińcu. Wszystkie trzy pojazdy miały na bokach napis: RESTAURANT LAROUSSE.

Smith zebrał na dziedzińcu dobrą setkę ludzi, ubranych – tak jak jego główna ekipa – w wojskowe kombinezony. Mieli oni za zadanie obserwować pokaz. Smith energicznie pomachał oburącz kierowcom samochodów, którzy wyłączyli silniki maszyn.

–Pokaz, który za chwilę obejrzycie, jest całkiem prosty, choć w moim odczuciu godny uwagi. Nie będzie to jednak demonstracja siły niszczącej Lap-laserów, ponieważ nie chcę, żeby mój piękny zamek został zrównany z ziemią.

Rozległ się cichy pomruk – nie wiadomo, uznania czy współczucia.

–Tak... Chcę tylko, żebyście się przekonali, jak Lap-lasery łączą w sobie szybkość, precyzję i absolutną skuteczność. Zaczynajcie.

Znów zawarczały silniki samochodów. Graham wszedł na platformę i zajął miejsce za pulpitem sterowniczym, sprawiającym wrażenie, jakby się składał z samych błyskających światełek i dźwigni. O metr od niego spoczywał na podstawie Lap-laser. Wyglądał złowroźnie, z czarnym otworem lufy mechanizmu strzelającego i sterczącymi, obracającymi się nerwowo detektorami. Oczy wszystkich były utkwione w broni. Za plecami Grahama Pei i C.W. pracowali przy pulpicie sterowniczym komputera kontrolnego. Sabrina i Tote stali w pobliżu, zafascynowani.

Graham cofnął się o krok, poklepał Lap-laser i uniósł rękę z wyciągniętym kciukiem. Smith skinął głową. Na ten znak Claude wcisnął przycisk zdalnego sterowania, włączający lampkę sygnalizacyjną po drugiej stronie placu, gdzie czterej mężczyźni, ukryci za osłoną z grubego ołowiu, podnieśli pistolety maszynowe AK 47 i posłali serie pocisków do tego samego celu, którego używano na strzelnicy poprzedniego dnia.

W tym samym momencie Graham błyskawicznym ruchem wcisnął kilka przycisków

na pulpicie sterowniczym i z Lap-lasera wystrzeliła wiązka promieni świetlnych. Serie kul przeleciały ze świstem przed Lap-laserem i... zniknęły. Lap-laser, z niewiarygodną szybkością przystosowując się do minimalnych zmian kierunku i toru lotu pocisków, wysyłał błyski światła – następujące po sobie tak szybko, że oko ludzkie rejestrowało jedną ciągłą wiązkę promieni – z których każdy wybierał i niszczył pojedynczą kulę.

Był to olśniewający pokaz, a zarazem wstrząsające przeżycie dla wszystkich widzów. Smith nakazał ciszę i beztrząsco podszedł do tarcz. W rękę trzymał mikrofon.

–Ani jeden pocisk nie doleciał do celu – oświadczył sucho. – Lap-laser zniszczył je co do jednego. Dysponując czterema takimi laserami, zarówno do samoobrony, jak i do niszczenia wybranych celów, będziemy nietykalni.

Powietrze było gęste od dymu. Mike Graham, zadowolony z wyników testu, pomanipulował przy pulpicie i wyłączył Lap-laser. Smith podszedł do platformy.

–Dobra robota – pochwalił Grahama. – Dziękuję.

–Nie ma za co.

Smith zwrócił się do C.W.:

–Rozpracowaliście już kod systemu bezpieczeństwa?

–Myślę, że tak – odrzekł Murzyn, zerkając na Sabrinę, która przyłączyła się do niego i Pei.

–Uważamy, że w tej chwili system bezpieczeństwa jest nastawiony na to – powiedziała dziewczyna, wskazując metalową płytkę, którą trzymał C.W. Graham przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

–Lap-laser można przypuszczalnie zaprogramować tak, by omijał pewne stopy metali, na tej samej zasadzie, na jakiej może wyszukiwać i niszczyć z góry określone cele – wyjaśnił C.W. – Jeśli więc chce się coś zabezpieczyć przed jego działaniem, wystarczy wstawić do komputera charakterystykę i dane konkretnego pierwiastka czy stopu, na który laser ma nie reagować. Chroniony obiekt – lub człowiek – musi mieć próbkę takiego metalu, a wtedy Lap-laser nie będzie działał, po prostu będzie go omijał.

–Jest pan tego pewny? – zapytał Smith.

C.W. stanowczo skinął głową.

–Daję głowę.

–Może się przekonamy? – wycedził Mike Graham.

C.W. uśmiechnął się powoli. Przez chwilę milczał.

–Czy mnie uszy mylą? – zapytał w końcu jedwabistym, lecz złowroźbnie cichym głosem.

–Jeżeli tak, to powtarzam: może się przekonamy, czy dasz własną głowę za ten kawałek metalu? – powiedział Graham wyraźnie.

C.W. w zamyśleniu podrzucał błyszczącą metalową płytkę.

–Czemu nie – mruknął. – Chodź pan.

Na znak Smitha kierowcy włączyli silniki samochodów. Graham stanął za pulpitem sterowniczym, a Pei sam obsługiwał komputer. C.W. przypiął sobie metalową płytkę do górnej kieszeni i przeszedł na drugą stronę placu. Ze zwieszoną głową stanął przed ołowianą ścianą, czekając na sygnał.

Lampka nad jego głową zamrugła nerwowo. Krew zastygła mu w żyłach, gdy ujrzał, jak Graham dotyka przycisków Lap-lasera, lecz spokojnym krokiem ruszył przez plac. Lufa lasera przesunęła się w jego stronę. C.W. poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Detektory drgnęły, zlokalizowały go i śledziły.

Sabrina, stojąca tuż obok Lap-lasera, nawet pomimo hałasu usłyszała głuchy trzask mechanizmu strzelającego. Ale nie było żadnego błysku, z lufy nic wystrzelił żaden śmiercionośny promień, by obrócić Murzyna w popiół.

–Awaria? – zasugerował Smith.

Mike uśmiechnął się sardonicznie. Pociągnął następną dźwignię na pulpicie i tarcza przedstawiająca ludzką postać zaczęła się przesuwac, aż weszła w obszar kontrolowaną przez Lap-laser. C.W. zatrzymał się i patrzył.

Lap-laser wykrył nowy obiekt, stwierdził, że nie ma żadnych przeszkód przed oddaniem strzału, i wykonał swoje zadanie. Wylot lufy rozbłysł, wystrzeliła z niego wiązka promieni i tarcza przestała istnieć. Silniki samochodów-prądnic zamilkły. C.W. odwrócił się, spokojnie wrócił pod platformę i stanął przed Lap-laserem. Rzucił metalową płytkę pod nogi Grahama.

–Nigdy więcej nie nadużywaj mojej cierpliwości! – syknął przez zęby. Spojrzał w zwężone oczy Grahama, który przypatrywał mu się z pogardą, i zacisnął pięści. Jego szeroko otwarte oczy pały. – Teraz ty. Pod ścianę!

Smith zobaczył, że Graham chce zeskoczyć z platformy.

–Dość! – krzyknął.

Wszelkie dyskusje były zbyteczne. C.W. i Graham rozeszli się, rozwścieczeni.

–Obejrzałem sobie waszą dziecinadę z niejakim zainteresowaniem – ciągnął Smith. Wprawdzie wasz los specjalnie mnie nie obchodzi, ale była to dobra ilustracja czegoś, o czym wszyscy powinniście wiedzieć. Przekonaliście się teraz dobitnie, że Lap-laser, chociaż, może niszczyć absolutnie wszystko, nie ruszy obiektu chronionego przez substancję, której charakterystykę wstawiono do komputera... w tym wypadku przez tę metalową płytkę. – Podniósł płytkę z platformy i schował ją do kieszeni. – Mam ich spory zapas. Są dobrze schowane i pozostaną pod kluczem. Na dachu również zainstalowałem jeden Lap-laser, a więc, jak rozumiem, nikt nieupoważniony nie może dostać się do zamku... a tym bardziej, rzecz jasna, nie może go opuścić. Dobranoc wszystkim.

Następnego dnia rano ciężarówki zawiozły główną ekipę i komandosów Smitha na ustronny teren w parku zamkowym. Wszyscy stanęli w dwuszuregu nad brzegiem stawu z liliami wodnymi. Ponad staw wyrastała dziesięciometrowa wieża, zbudowana głównie z drewnianych fragmentów rusztowań.

Claude zagwizdał. Na ten znak komandosi zaczęli wdrapywać się na wieżę. Z małpią zręcznością skakali po belkach i przeciskali się między nimi. Jedni akrobaci, obejmując poręcze rękami i nogami, poruszali się niczym gigantyczne leniwce, inni przebiegali po belkach jak linoskoczkowie lub wisieli na wciągniętych ramionach i przekładając nad głową rękę za ręką, posuwali się do przodu. Wyglądało to – nie bez racji – na jakiś gigantyczny plac zabaw.

Nadszedł Smith i przywołał skinieniem ręki C.W. i Grahama. W ręku trzymał stoper, który włączył dramatycznym ruchem kciuka.

Szczyt wieży zbudowany był z metalowych belek. Na jednej z nich siedzieli okrakiem Sabrina i Tote, pochłonięci spawaniem podstawy Lap-lasera z belką.

Z góry opuszczono linę, wprost pod nogi C.W. Murzyn wdrapał się po niej i dołączył do Sabriny. Na dole Graham przywiązał linę do Lap-lasera. C.W. i Tote wciągnęli laser na szczyt wieży i ustawili go na poziomej belce. To samo powtórzyło się z drugim laserem, w którego ślady poszedł Graham. Kiedy oba lasery i czwórka najemników znaleźli się na górze, Smith zatrzymał stoper i podszedł do stóp wieży.

–Brawo! – krzyknął. – Rekordowy czas. Robicie postępy. To pewnie zasługa wikt.

Wieczorem tego samego dnia, na dziedzińcu stajennym, Pei wraz z dwoma pomocnikami pracował w świetle reflektorów przy grubych zwojach kabli. Azjata oraz jeden z mężczyzn nosili grube rękawice, jakich używają monterzy linii wysokiego napięcia. Pracowali z przesadną ostrożnością, wsłuchani w pomruk generatorów.

Każdy kabel zaopatrzony był w nalepkę z wizerunkiem błyskawicy i lakonicznym ostrzeżeniem: „2000 V”.

Pod baczny spojrzeniem Azjaty, mężczyzna w rękawicach przeciął zewnętrzną warstwę kabla i – posługując się izolowanymi nożycami – odsłonił fragment błyszczącego drutu miedzianego. Drugi mężczyzna, który rozstał się ze swoimi rękawicami, pochylił się, rozwierając olbrzymie izolowane cęgi.

Mężczyzna zbliżył cęgi do odsłoniętej części kabla. Był roztrzęsiony, twarz miał zlaną potem, nic więc dziwnego, że obsunęła mu się ręka i dotknął metalowej części obcęgow w chwili, gdy zbliżyły się do gołego kabla. Z miedzianego drutu gwałtownie wystrzelił ku obcęgom niebieski łuk i potężny ładunek prądu wstrząsnął ciałem pechowca. Pei przyglądał się temu beznamiętnie.

–Wyłącz prąd, ale nie zdejmuj rękawic – powiedział do drugiego mężczyzny. – Zabierz go stąd, a na przyszłość zapamiętaj sobie, że jak każę uważać, to masz uważać.

Kiedy usunięto zwłoki, a swąd spalonego ciała nieco zelżał, Pei powtórzył manewr z obcęgami, tyle że bezbłędnie. Opuścił narzędzie tak, że niemal spoczęło na miedzianych pasemkach. Rozległ się cichy trzask, ale poza tym nic się nie stało.

W podobny sposób upłynął następny tydzień szkolenia – nieustanne pasmo ćwiczeń, obsługi broni, pisemnych i ustnych egzaminów, marszów i walki. Cały zespół nie czuł już kości, aż nadszedł wreszcie dzień ostatni.

Zebrał się nad stawem, koło wieży. Graham, pod tyranią stopera, podbiegł sam jeden do rusztowania. Błyskawicznie założył ładunki plastiku i zapalniki na cztery narożne podpory i wrócił biegiem. Zerknął nad ramieniem Smitha na stoper. Wskazówka przeskoczyła na zero.

Cztery ładunki eksplodowały i wieża runęła, zamieniając się na ziemi w bezładną kupę pogiętych rur i połamanych drewnianych belek.

Smith był zachwycony, lecz nie wyjaśnił dlaczego. Wieczorem, w oświetlonej kryształowymi świecznikami Wielkiej Sali, po kolacji, przy której obsługiwano ich jak maharadzów, a jedzenie serwowano na srebrnej zastawie, piątka najnowszych członków organizacji Smitha ujrzała, jak ich gospodarz wstaje i klaszcze w ręce, prosząc o ciszę.

–Jestem z was dumny – oświadczył Smith. – W ciągu tych dziesięciu dni sprawiliście się znakomicie. Opanowaliście do perfekcji wszystko, co będzie potrzebne do przeprowadzenia naszej akcji, i jesteście u szczytu formy. Uważam, że dalsze ukrywanie przed wami szczegółów zadania, które macie wykonać i z którego – w co nie wątpię – wywiążecie się w stu procentach, byłoby i bezcelowe, i nieludzkie.

Tak więc Smith odkrył wreszcie karty. Zimno, logicznie, ujawnił cały plan w najdrobniejszych szczegółach, objaśniając go przejrzyście. Słuchali w absolutnej ciszy, kiedy otwierał przed nimi swój chory umysł, syjąc przerażającymi pomysłami szaleńca.

–To wariat – wyszeptał C.W. do Sabriny. – Boże jedyny, przecież to kompletny wariat!

Możliwe, że Smith był wariatem, ale na pewno nie był głupi. Kiedy o wpół do drugiej w nocy Sabrina uchyliła drzwi swojej sypialni, ujrzała w korytarzu dwóch uzbrojonych strażników, siedzących obok siebie na krzesłach między jej pokojem a sypialnią C.W. Teraz, gdy tajny plan stał się wspólną własnością całej piątki jego najemników, Smith najwyraźniej wolał nie ryzykować. Nie wiadomo, czy ktoś z nich nie wpadł na głupi pomysł przemycenia na zewnątrz posiadanych informacji.

–Ale ja muszę porozumieć się jakoś z Philpottem – mruknęła Sabrina pod nosem. Wiedziała, że jeżeli wykrył on już miejsce ich pobytu, to będzie obserwował zamek, zobaczy lasery i – znając ich niesamowitą potęgę wykluczy możliwość frontalnego ataku. Nie mógł on jednak wiedzieć o ciężarówkach z napisem firmowym restauracji Larousse’a, które przez cały czas stały w ukryciu, ani o celu i terminie akcji Smitha. Dlatego też ona albo C.W. musieli przekazać mu te informacje, jeżeli chcieli stworzyć choć cień szansy na powstrzymanie Smitha.

Sabrina była pewna, że strażnicy jej nie zauważyli, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie uda jej się przemknąć obok nich niepostrzeżenie. Pozostawało tylko okno. Zgasiła światło w sypialni, zostawiając oświetlenie w łazience. Z daleka powinno to wyglądać tak, jak gdyby brała późny prysznic. Odsunęła grube zasłony.

Jak mogła się spodziewać, reflektory na zwieńczonym blankami murze omiały trawniki, ogrody i drogi dojazdowe. Fasada zamku również była skąpana w świetle. Sabrina dostrzegła komandosów z psami na smyczy, patrolujących teren.

Westchnęła. Nadanie wiadomości latarką z własnego okna zakrawało na samobójstwo któryś z komandosów musiałby to zauważyć i zostałaby zdemaskowana. Otworzyła okno, wysunęła głowę i spojrzała w górę. Grube, ulistnione pnącza opadały spod okapu dachu, porastając całe ściany między oknami.

Reflektory na skraju dachu nieustannie penetrowały wypielęgnowane trawniki i park krajobrazowy, ale dwa snopy światła był nieruchome, skierowane na podjazd do zamku. Sabrina pomyślała, że gdyby udało jej się niepostrzeżenie wdrapać na dach i wykorzystać jeden z tych nieruchomych reflektorów do przesłania wiadomości, to przypuszczalnie z dołu nikt by jej nie dostrzegł. Za to z góry informacja nadana za pomocą szybkiego przerywania snopu światła byłaby rejestrowana na taśmie magnetowidu.

Przebrała się w obcisłe czarne dżinsy i czarny sweter, po czym umazała twarz i dłonie błotem zebrany z okapu pod oknem. Zerknęła w lewo – ściana zwisających pnączy oddalona była o jakieś półtora metra. Sabrina wspięła się na parapet, wyprostowała i przyciskając twarz do chropowatej kamiennej ściany, przesuwała się bokiem, aż znalazła schronienie w gęstwinie bluszczu i dzikiego wina.

Wcisnęła się w zakurzoną, zarośniętą pajęczynami przestrzeń za zwartą kaskadą zielonych i czerwonych liści i zaczęła się wspinać na wieńczące dach blanki. Dotarła do muru łączącego dwie wieżyczki i położyła się w zagłębieniu między blankami a pochyłością dachu, dysząc ciężko. Z obu stron miała wielkie reflektory, bezustannie omiatające okolicę. Dwie mniejsze, nieruchome lampy znajdowały się na szczycie dachu, otoczone kominami nieco na prawo od niej.

Zapatrzyła się z podziwem na fantastyczne, rozsiane po całym dachu wieżyczki. Nie były tak jaskrawo oświetlone jak sam zamek, ale dostatecznie, by rzucać dookoła groteskowe cienie. Sabrina wczołgała się w głębszy cień i, cal po calu, zaczęła pełznąć pod górę, na szczyt dachu.

Na skraju dachu, po obu stronach, stały dwie bliźniacze dzwonnice. Z czeluści ponad czaszami dzwonów, między wąskimi kamiennymi filarami, wypatrywało osiem błyszczących, paciorkowatych oczu, obserwując postępy dziewczyny.

Sabrina zamarła, czując przerażająco blisko twarży łopot ptasich skrzydeł. Para królewskich sokołów wędrownych, z których jeden był układany od urodzenia, drugi zaś dziki, wzbijała się w powietrze minimalnie wcześniej niż para układanych od małego islandzkich białozorów z drugiej dzwonnicy. Wszystkie cztery sokoły były samicami.

Samica sokoła łowczego przerasta samca o jedną trzecią, białozor zaś jest największym sokołem używanym do polowań.

Sokoły wędrowne wzbijały się wysoko ponad zamek. Ten ułożony zaatakował pierwszy, pikując niemal pionowo. Wyrównał lot i wysuniętymi szponami o niecałe pół metra minął twarz dziewczyny. Sabrina nie dowierzała własnym oczom. Dziki sokół poszedł w ślady pierwszego, wyciągając nogi i szpony i otwierając dziób w przeraźliwym krzyku. Rozpędzone ciało ptaka przypominało śmiercionośny żywy pocisk. Sabrina zdusiła okrzyk, kiedy cętkowany brzuch sokoła mignął jej przed oczyma, a ostry koniec skrzydła musnął jej włosy.

Poderwała głowę i z ulgą ujrzała dwa ptaki, wzbijające się w górę wysokim łukiem. Nagle z prawej strony zaatakował następny sokół, wydając ochryply krzyk, a jednocześnie spadł na nią pierwszy z olbrzymich białozorów. Przeturlała się na bok. Szpony białozora zazgrzytały o kamień, w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jej twarz.

Owładnięta przerażeniem, pośliznęła się i spadła, tracąc ponad dwa metry, jakie do tej pory pokonała w drodze na szczyt dachu. Jej upadek, choć szybki, nie był dość szybki dla drugiego białozora, który w ostatniej chwili zmienił kierunek lotu i wyrwał koziółkującej Sabine półcentymetrowy kawałek ciała z lewej kostki.

Skulona w zagłębieniu między pochyłością dachu a blankami, Sabrina widziała teraz wszystkie cztery sokoły, zataczające nad nią koła i szykujące się do zmasowanego ataku. Co gorsza, dolatujące z dołu okrzyki świadczyły, że latające psy łańcuchowe Smitha nie uszły uwadze patroli.

Sabrina uznała, że została jej tylko jedna szansa: jeżeli uzbrojeni komandosi skupili całą uwagę na sokołach, to może uda jej się precyzyjnie niepostrzeżenie między blankami i ukryć w listowiu bluszczu.

Trzeci przejmujący krzyk dodał jej energii. Kiedy jeden z sokołów rzucił się do ataku, Sabrina prześliznęła się nad krawędzią muru i głową w dół wpadła w gęstwinę pnączy.

Zacisnęła dłonie na grubym pęku lian i wyhamowała upadek, modląc się, żeby pnącza utrzymały jej ciężar. W powietrze wzbily się tumany kurzu, korzenie czepne oderwały się od muru, pająki ruszyły w niezwykle, nocne tany... ale pnącza trzymały. Sabrina z powrotem zaczęła oddychać i podciągnęła się na występ w ścianie.

Wyjrzała spoza liści i zobaczyła ze ściśniętym sercem, że do okna swej sypialni, które zostawiła dyskretnie uchylone, ma jeszcze bardzo daleko. Nagle otworzyło się najbliższe okno i usłyszała syk C.W.:

–Wskakuj tu, głupia krowo!

Sabrina ścisnęła pęk bluszczu i zdrewniałych łodyg i skoczyła, wyrzucając nogi do przodu. Wylądowała w ramionach C.W., który złapał ją i wciągnął do środka łazienki. Światło było zgaszone. Murzyn zatrzasnął okno.

–Rozbieraj się – polecił szorstko.

Sabrina potulnie wykonała polecenie...

Dziesięć minut później, wykąpana i uczesana, Sabrina spoczywała skromnie na szezlongu w apartamencie w stylu Ludwika XVI. Od drzwi dobiegało natarczywe pukanie. C.W. poszedł otworzyć.

Ujrzał Smitha, otoczonego uzbrojonymi strażnikami. Smith obrzucił wzrokiem nonszalanckiego Murzyna, najwyraźniej nagiego pod aksamitnym szlafrokiem, i przeniósł spojrzenie na Sabrinę, która również miała na sobie tylko ręcznik kąpielowy.

–Strażnicy donieśli mi, że coś spłoszyło sokoły – odezwał się. – Są przekonani, że ktoś wszedł przez okno do pokoju na tym piętrze, prawdopodobnie z dachu. Czy to może któreś z was? – złowroźnie zawiesił głos.

–Może. – C.W. wzruszył ramionami, a po chwili, jak gdyby po namyśle, dorzucił: – Proszę pana.

–Rzeczywiście, to ja – wtrąciła Sabrina.

Smith spojrział na nią z uniesionymi brwiami.

–Skoro z sobie tylko znanych powodów postanowił nas pan więzić, panie Smith – ciągnęła – uznałam to za wyzwanie i postawiłam sobie niemal za punkt honoru wybrać się przez okno w odwiedziny do mojego przyjaciela C.W.

–A w jakim to celu, jeśli wolno spytać? – rzekł Smith.

Sabrina uśmiechnęła się sztucznie.

–W takim stroju? – powiedziała, jeszcze bardziej odkrywając ramiona. – Doprawdy, panie Smith, albo brakuje panu wyobraźni, albo prowadzi pan tu wyjątkowo samotne życie.

Smith spoglądał na nią twardym wzrokiem, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”.

–Moi strażnicy cię nie widzieli – stwierdził.

–Cała ściana jest oświetlona – odparowała Sabrina. – Można powiedzieć, skąpana w świetle.

–Więc?

–Więc byłam nago. Kamuflaż doskonały... *n'est-ce-pas?*

Kamienna twarz Smitha odprężyła się w uśmiechu.

–Ha, taka brawura to coś w moim guście. A zatem, jeżeli załatwiłaś już to, co miałaś do załatwienia – dziewczyna skinęła głową, a C.W. puścił oko – pozwolisz, że cię odprowadzę do pokoju trasą zdecydowanie mniej męczącą i niebezpieczną niż ta, którą wybrałaś w tę stronę.

Sabrina wstała, pozwalając, by ręcznik opadł na podłogę.

–Dziękuję, C.W... za wszystko.

Oczy Smitha przesunęły się po jej nagim ciele.

–Mam nadzieję, Sabrina, że moje sokoły nie obeszły się z tobą zbyt brutalnie.

–Drobiazg – rzuciła, pokazując mu zakrwawioną kostkę. Smith chrząknął z z troskaniem.

–No, no mruknął. Oby tylko nie zasmakowały w ludzkim mięsie.

Rozdział 7

Sonia Kolchinsky wstała skoro świt i wyszła z najświetniejszego i najbardziej luksusowego hotelu w Paryżu na najbardziej harmonijny plac w tym cudownie proporcjonalnym mieście plac Vendôme. Przeszła spacerkiem przez targowisko i rzuciła się w wir wystaw sklepowych, skręcając z rue Castiglione w rue du Faubourg St. Honoré, a potem w bulwar Haussmanna. Stamtąd zawędrowała na bulwar Batignolles i bulwarem Courcelles doszła do Łuku Triumfalnego.

Na Avenue Kleber złapała autobus do Palais de Chaillot, przeszła przez rzekę i mijając wieżę Eiffla, dotarła na bulwar Garibaldi. Spojrzała na zegarek – była dopiero ósma piętnaście.

Odszukała boczną uliczkę na tyłach École Militaire, a na niej małą, niezachęcającą kawiarenkę, odwiedzaną głównie przez robotników. Lokal był w trzech czwartych pełny. Na jego atmosferę składała się kompozycja zapachów kawy, rogalików, taniej brandy i taniego tytoniu. Przy stoliku w rogu sali siedzieli dwaj robotnicy w przepoconych podkoszulkach.

Sonia ruszyła niepewnie w ich stronę. Jeden z robotników z upodobaniem wpatrywał się w stojący przed nim kieliszek koniaku, drugi zaś odgrodził się od świata gazetą. Podchodząc do stolika, Sonia rzuciła nad nią okiem – ten mężczyzna także miał przed sobą kieliszek. Nosił wytłuszczony beret i podkoszulek z napisem: „Po mnie choćby potop”.

–Siadaj odezwał się Philpott.

Usiadła na wolnym krześle i z zażenowaniem uświadomiła sobie, że jak na wizytę w kawiarence „Pod gwizdzącą kotką” w ruchliwy wrześnieowy poranek w środku tygodnia, jest ciut za bardzo wystrojona.

–Kotki nie gwizdzą! – rzuciła cierpko na powitanie.

–Tutaj robią to, co im się każe – wycedził Philpott, nie odrywając wzroku od gazety. Drugi mężczyzna wstał, łypnął na nich domyślnie i życząc im smacznego, skierował się do wyjścia. Sonia podniosła ufryzowaną głowę i zamówiła kawę i rogaliki. Zgodnie z jej oczekiwaniami, były przepyszne.

Philpott odłożył gazetę.

–Do rzeczy – powiedział. – Nie chciałem cię w nocy budzić, ale około drugiej nad ranem miałem telefon. Przystąpili do akcji. W każdym razie krótko po północy odleciał stamtąd helikopter i wyjechało sześć ciężarówek. A to coś na dachu zamku to jest Lap-laser... a raczej był. Już go tam nie ma. Nie wiem, czy Holmes tak by to

sformułował, ale coś się chyba święci.

–A Sabrina i C.W. nie dają znaku życia – rzekła Sonia z goryczą.

–Sprawdzałaś?

Skinęła głową twierdząco.

–I w Ritzu, i po drodze tutaj. W naszych placówkach, w Pałacu Elizejskim, wszędzie... Nic. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyją.

–Jeżeli Graham zadenuncjował Sabrinę, to ona w każdym razie nie żyje – mruknął Philpott posępnie. – Ale nie wyobrażam sobie, żeby C.W. mógł do tego dopuścić, nawet gdyby miał to przypłacić życiem... Jednym słowem, musimy być przygotowani na najgorsze.

Sonia dopiła kawę i nerwowo brzęknęła filiżanką o spodek.

–I nadal nie wiemy, gdzie, kiedy i w co on uderzy. Właściwie to nic nie wiemy. – Spojrzała błagalnie w oczy Philpotta. – Malcolm, powiedz... czyżbyśmy przegrali... przegrali ze Smithem? Poświęcając w dodatku C.W. i Sabrinę? Czyżby to wszystko było na nic?

Philpott położył rękę na jej dłoniach i potrząsnął głową.

–Nie – szepnął. – Jeszcze nie przegraliśmy. Nie jest najlepiej, ale nie wszystko stracone. – Wstał i rzucił na stół dwa banknoty dziesięciofrankowe. – Chodź – powiedział. Mam już powyżej uszu odgrywania ubogiego. Wracamy do hotelu, tam przynajmniej będziemy pod telefonem.

Sonia wstała.

–Cały czas się zastanawiam, dlaczego umówiłeś się ze mną w takiej zakazanej dziurze i o tak nieludzkiej porze – rzuciła.

–Wyjaśnię ci to w hotelu – obiecał.

Skręcili w Boulevard Garibaldi i mijając znowu École Militaire, wyszli na Pole Marsowe. Philpott przystanął, by zapalić wonne grube cygaro, i podniósł wzrok.

Cały widok przesłaniała mu banalna i wściekle szpetna konstrukcja wieży Eiffla.

Tote i Pei wstali od stolika przy drzwiach kawiarenki „Pod gwizdzącą kotką” i ruszyli tą samą trasą, którą chwilę wcześniej obrali Philpott i Sonia. Oni również spojrzeli na wieżę Eiffla. Pei radośnie wyszczerzył zęby do Tote. Minęli Pole Marsowe i przez ruchliwe skrzyżowanie podeszli do stóp wieży.

Trudno sobie wyobrazić, żeby tak poroniona konstrukcja, jak wieża Eiffla, miała zapowiadać nadejście ery technologii, ale to właśnie ten motyw kierował poczynaniami ekscentrycznego francuskiego inżyniera, Gustave'a Alexandre'a Eiffla pod koniec dziewiętnastego wieku. Eiffel, który był pełen podziwu dla amerykańskich wynalazców Thomasa Alvy Edisona i Alexandra Grahama Bella, strawił dwa lata projektując najbrzydszy chyba, a zarazem najbardziej uroczy pomnik w historii.

Na wykonanie modelu wieży w skali jeden do jednego Eiffel zużył pięć tysięcy jardów kwadratowych kartonu, ale gdy skończył, jedno przynajmniej było wiadomo – jak brzmi odpowiedź na nedorzeczne pytanie co to jest: składa się z dwu i pół miliona nitów i dwunastu tysięcy kawałków metalu, waży piętnaście milionów funtów, ma prawie tysiąc stóp wysokości i wygląda jak żyrafa?

Otwarcia wieży dokonał dziesiątego czerwca tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku angielski książę Bertie, późniejszy król Edward VII, który – jak w owym czasie zapewne twierdzono – powinien był się od tego wymigać. Później jednak, kiedy eksperymenty z przekazem radiowym pomiędzy wieżą a Panteonem zostały uwieńczone powodzeniem, kłopotliwy twór Eiffla zaczął spełniać rolę radiowej stacji nadawczej.

Gustave Eiffel nie mógł tego przewidzieć, ale bez wątpienia byłoby mu miło, gdyby wiedział, że współcześnie jego wieża służy także jako stacja telewizyjna. W chwili obecnej mierzy ona dziewięćset osiemdziesiąt cztery stopy i sześć cali wysokości, chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo. Kiedy podczas drugiej wojny światowej niemieckie wojska okupacyjne zajęły Paryż, Niemcy rozpatrywali możliwość zarekwirowania wieży i przetopienia jej, zapewne na czołgi, ale ostatecznie porzucono ten projekt jako zbyt świętokradczy, a może zbyt kłopotliwy.

Dziś trudno byłoby sobie wyobrazić oblicze Paryża bez wieży Eiffla, jednak jej największą zaletą jest coś, co francuskiemu konstruktorowi nigdy prawdopodobnie nie przyszło do głowy – z jej szczytu rozciąga się jeden z najbardziej zdumiewających widoków na Ziemi.

Cień oryginalnego balkonu na górze wieży pada za dnia na Pole Marsowe (gdzie Napoleon zwykł dokonywać przeglądu wojsk) i na École Militaire. Szkołę wojskową stworzył niecodzienny tercet – finansista Paris-Duverney, madame Pompadour oraz komediopisarz Beaumarchais. U stóp wieży płynie Sekwana, za nią zaś rozciągają się ogrody wspaniałego Palais de Chaillot, słynące z ozdobnych fontann. Nogi wieży wrastają w zadrzewiony teren, poprzecinany drogami dojazdowymi. Także i tutaj stoją liczne fontanny, dookoła zaś rozpościerają się kretę alejki, teatry, muzea, pałace... Paryż.

Pei i Tote minęli sprzedawcę baloników i precyzyjnie się przez niewielki o tak wczesnej porze tłumek u wejścia do wieży. Sprzedawca baloników robił wcale niezły

interes, głównie dzięki temu, że Mike Graham wiedział, jak się obchodzić z gazem i nadmuchiwał sprzedawane balony. Wstrzelił właśnie porcję wodoru w długi, kiszgowaty twór w kolorze purpurowym i podał go nie posiadającej się z radości dziewczynce z Holandii.

Rozległ się trzask zwalnianej migawki kosztownego aparatu fotograficznego. Smith, z aparatem na szyi, ubrany był w lekki, dobrze skrojony garnitur z dobranym pod kolor krawatem i chusteczką w górnej kieszonce marynarki. Na nogach miał buty z juchtowej skóry. Nie zmienił charakterystyki twarzy, by nie wprowadzać dodatkowego zamieszania wśród swoich ludzi.

Zrobił jeszcze jedno zdjęcie, celując obiektywem w Palais de Chaillot, i niespiesznie podszedł do czekającej windy. Podczas jazdy na szczyt wieży wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń, z tak typowym dla turystów kretyńskim wyrazem twarzy. W drugim rogu windy Claude i Sabrina paplali o niczym.

Winda dojechała na pierwszy, najszerszy taras. Smith wysiadł dokładnie w chwili, gdy trzasnęła migawka innego, tańszego aparatu fotograficznego. Leah Fischer, oparta łokciami o balustradę, zmrużyła oko przy wznienniku i zrobiła jeszcze jedno błahe zdjęcie. Nawet nie rzuciła okiem na Smitha, który precyzyjnie przesunął się obok niej. Pei i jeszcze jeden członek oddziału komandosów, ubrani jak typowi ludzie interesu, obeszlą galerię. Pei z uwagą wertował plik jakichś technicznych dokumentów, a jego towarzysz od czasu do czasu wskazywał na coś palcem i rzucał fachowe uwagi.

Winda, tym razem w drodze na dół, znów stanęła na pierwszym tarasie. Wysiadł z niej olbrzymi, zwalisty robotnik w kombinezonie, z poplamionymi smarem rękami, i stanął przy balustradzie obok Leah. Mimo wczesnej pory, prawdopodobnie miał właśnie przerwę na kawę.

–Szafa gra – mruknął Tote. – Jesteśmy gotowi. – Skinął głową w kierunku prywatnego podjazdu pod wieżę Eiffla, przeznaczonego dla dostawców.

Trzy samochody-prądnice z napisem RESTAURANT LAROUSSE podjechały do stóp wieży i ustawiły się przed windą towarową. Z szoferki pierwszego pojazdu wysiadł sztywno szef kuchni w białym kitlu, przeciągnął się i mrugnął do sprzedawcy baloników.

–Idiota skończony – mruknął Graham, ale C.W. stał za daleko, żeby to usłyszeć.

Z dyżurki wyszedł strażnik i podszedł do czarnego kucharza w wysokiej czapie. Tymczasem do trzech ciężarówek dołączył wóz meblowy i furgonetka. Wysiadło z niej kilku ludzi, którzy szybko i sprawnie zaczęli wyładowywać skrzynie, jaskrawo pomalowane kanistry z piwem, przenośne piekarniki, Kuchenki mikrofalowe i mnóstwo tego typu sprzętu.

Strażnik spojrział na rosnącą górę skrzyń i pudeł.

–Proszę otworzyć te skrzynie – polecił kucharzowi, który wręczył mu plik dokumentów, wyjaśniających, co znajduje się w paczkach.

–Otworzyć skrzynie! – wykrzyknął C.W. – Piekarniki, zapieczętowane kontenery? Chce pan, żebym zniszczył moje *soufflés*? Żeby kurz dostał się do moich sosów? A moja wystrzałowa niespodzianka pewnie ma się rozpuścić, co? Albo to żart w wyjątkowo kiepskim guście, *monsieur*, albo brak panu piątej klepki!

Strażnik zignorował kucharza i podczas gdy ten mamrotał pod nosem modlitwę do patrona francuskiej *haut cuisine*, otworzył piekarnik. Spojrzały na niego równe rzędy niedopieczonych bochenków chleba i bułek.

–Niech pan się nawet nie waży odetchnąć! – warknął C.W., delikatnie zamykając skrzynię. – One muszą odpoczywać... jak niewinne dzieci. Ich praca ledwie się zaczęła, za to pańską, *monsieur*, może zaraz spotkać przedwczesny, za to jak najbardziej usprawiedliwiony koniec!

Graham obserwował tę scenkę z rozbawieniem, wbrew sobie samemu czując nieodparty podziw. C.W. znowu podchwycił jego wzrok. Mike odwrócił oczy, mocniej ścisnął sznurki baloników i podskoczył z gniewem, gdy żółty balonik wyrwał mu się z ręki i poszybował w górę. Pogroził mu pięścią i zaklął potoczyscie, choć nieco powściągliwie. Nie tylko C.W. stać na przekonujące aktorstwo, pomyślał z zadowoleniem.

Strażnik uświadomił sobie, jak beznadziejne jest jego zadanie. Prawdopodobnie i tak nie udałoby mu się otworzyć wszystkich opieczonych skrzyń, a w dodatku kucharz, nie przebierając w słowach, podskakiwał dookoła, miotając na jego niewinną głowę najgorsze kulinarne obelgi.

–*Eh bien... allez!* – rzucił wartownik, zrezygnowany. C.W. triumfalnie zebrał swoich pomocników i zaczęli ładować cały majdan do windy towarowej.

Smith, stojąc przy balustradzie na najniższym tarasie, zamienił aparat fotograficzny na lornetkę. Przez chwilę zatrzymał wzrok na żółtym baloniku, wzbijającym się w górę na tle przepięknej panoramy Paryża, po czym odjął szkła od oczu i na jego wargach pojawił się półuśmieszek.

Znów uniósł lornetkę i spojrział dalej, w kierunku rzeki. Przebiegł wzrokiem *Bateaux Mouches* - statki spacerowe, pływające po Sekwanie od kwietnia do października – oraz flotyllę mniejszych, zabierających osiemdziesięciu dwóch pasażerów motorówek o szklanych kabinach, wyruszających z Pont d'Iéna u podnóża wieży albo z Quai Montebello. *Bateaux Mouches* mają przystań na prawym brzegu, koło Pont de l'Alma.

Smith odszukał tę *Bateau Mouche*, która go szczególnie interesowała, i ponownie uśmiechnął się z zadowoleniem.

Na tarasie zatrzymała się winda towarowa. Wysiadł z niej C.W., z dostojną miną i przekrzywioną czapą, i splótłszy ręce na piersiach, rozejrzał się. Kazał przetransportować cały swój sprzęt, załadowany na wózki, do restauracji mieszczącej się na wprost windy. Dwaj komandos natychmiast rzucili się do drzwi wahadłowych, przytrzymując je kolegom pchającym wózki. C.W. zauważył, że w restauracji znajduje się ekipa telewizji francuskiej, przygotowująca kamery i oświetlenie przed relacją z uroczystości do dziennika telewizyjnego.

Kiedy tłum na tarasie zaczął gęstnieć, Smith przesunął się przy balustradzie do Leah i spojrzał przez lornetkę na ludzi kłębiących się u wejścia do wieży. Claude, który tuż przedtem zjechał na dół, znowu stał w kolejce do windy. Smith dostrzegł w tłumie pozostałych komandosów, przebranych za turystów, robotników, kelnerki (Sabrina nie była jedyną kobietą w zespole) oraz za innych pracowników wieży Eiffla. – Daj mi znać, jak wszyscy znajdują się na górze – mruknął do Leah. Po jakichś trzech minutach dziewczyna delikatnie dotknęła jego ramienia i szepnęła:

–Gotowe. Są wszyscy.

Przez zgiełk przebiło się natrętne wycie syreny policyjnej. Smith odwrócił się przy balustradzie i uniósł lornetkę. Jedna z największych, najbardziej wytwornych limuzyn będących w dyspozycji rządu francuskiego skręcała właśnie w aleję prowadzącą do wieży. Otaczała ją sześciu uzbrojonych motocyklistów – dwóch z przodu, dwóch po bokach i dwóch z tyłu. Dźwięk syreny, który w wyniku efektu Dopplera ludziom na tarasie wydawał się o oktawę niższy niż w rzeczywistości, ucichł, gdy limuzyna zajechała przed wieżę.

Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna i zatrzasnął za sobą drzwi. Nawet z wysokości tarasu Smith wyraźnie widział wyrzucenie marynarki jego garnituru w okolicach lewej pachy, gdzie nosił broń. Agent służby bezpieczeństwa rozejrzał się uważnie, spojrzał na wieżę i na tłum przed wejściem, badawczo przyglądając się każdemu z osobna. Jego dłonie i ramiona drgały nerwowo.

Z limuzyny wysiadł drugi agent, zatrzasnął drzwi wozu i dokładnie powtórzył czynności, które przed chwilą wykonał jego kolega. Dwaj ochroniarze spojrzeli po sobie i na znak jednego, drugi otworzył drzwi samochodu po swojej stronie i pomógł wysiąść wysokiej, przystojnej kobiecie pod siedemdziesiątkę.

Czterej mężczyźni tworzący oficjalny komitet powitalny szybkim krokiem ruszyli spod wieży w stronę limuzyny. Na czele szedł mały, okrągły i wielce podekscytowany człowieczek w żakiecie i sztuczkowych spodniach, bez cylindra. Uśmiechnął się promiennie do dystyngowanej damy (on nigdy nie uśmiechał się inaczej) i

wybuchnął:

–Jakże się cieszę, droga pani Wheeler! Czujemy się zaszczyceni, to dla nas wielkie wyróżnienie! Doprawdy, szczęśliwy to dzień dla wieży Eiffla, dla Funduszu Pomocy Dzieciom, dla Francji, dla...

–Miło znów pana spotkać, panie Verner – przerwała mu Adela Wheeler. – Przeciwnie, to ja się cieszę, że tu jestem, i bardzo to miło z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił.

Jąkając się, Bertrand Verner podziękował jej wylewnie i przedstawił pozostałych dygnitarzy – pracowników wieży Eiffla i Międzynarodowego Funduszu Pomocy Dzieciom. Przywitała się z nimi z wdziękiem. Mówiła po francusku prawie nienagannie, od czasu do czasu – kiedy miała coś błyskawicznie odpowiedzieć – przechodząc na angielski, a wówczas w jej silnym, aksamitnym głosie słychać było ślady amerykańskiego akcentu typowego dla zachodniego Wybrzeża.

Francuscy ochroniarze, otaczający grupkę powitalną w dyskretnej odległości, rozstąpili się, by przepuścić panią Wheeler i jej eskortę do windy. Nie wpuścili tam nikogo więcej, uznawszy, że im mniej osób będzie się kręcić dookoła ich podopiecznej, tym lepiej.

Tymczasem w kuchni przylegającej do restauracji na pierwszym tarasie, gdzie miał się odbyć bankiet na cele dobroczynne, Albert starał się opanować totalny chaos. Albert był szefem kuchni i ostatnie, czego sobie życzył, to wtargnięcia konkurencyjnego kucharza w otoczeniu paru dziesiątków pomocników i kelnerów, dźwigających nieprawdopodobne ilości sprzętu. I chociaż uprzedzono Alberta o inwazji Restaurant Larousse, specjalizującej się w dostarczaniu potraw na wszelkiego typu imprezy, to i tak spoglądał on na intruzów z urazą i wrogością. Przez pewien czas w milczeniu obserwował, jak C.W. przejmuje w posiadanie jego kuchnię, aż wreszcie nie wytrzymał.

–*Tiens!* – warknął. – Odgrzewane jedzenie! Fuj!

C.W. okręcił się ku niemu na pięcie.

–Odgrzewane?! Odgrzewane?! Tutaj, prostaku – ryknął, wskazując parujące skrzynie – tutaj gotuje się, powtarzam, gotuje, a nie odgrzewa, pięćdziesiąt lekkich i niedoścignionych *Soufflés aux Cervettes demoule*. Tutaj, idioto, duszą się trufle w *Sauce Brune aux Fines Herbes*. I ty to nazywasz odgrzewaniem, hę?!

Albert wzruszył ramionami i chciał otworzyć skrzynię, lecz C.W. silnie trzepnął go po rękach.

–Nie rusz! – warknął, jak gdyby strofował niesforne dziecko.

W restauracji reszta zaproszonego towarzystwa szykowała się na powitanie gościa honorowego. Smith szepnął coś Claude'owi, który wysunął się ukradkiem na korytarz i odesłał windę towarową na dół. U stóp wieży sprzedawca lodów otworzył swoją skrzynię i wyciągnął z niej dwa pistolety maszynowe. Podał jeden z nich Grahamowi, który wskoczył do służbówki wartowników.

Na widok uzbrojonego Grahama strażnik zaczął sięgać po broń, lecz Mike złapał go za kurtkę munduru, przechylił przez ladę i brutalnie przyłożył mu pistoletem. Następnie wepchnął strażnika i windziarza do windy towarowej i ruszyli na górę.

Winda osobowa zatrzymała się tymczasem na pierwszym piętrze i dwaj agenci służby bezpieczeństwa wyprowadzili panią Wheeler na korytarz. Dziki atak Claude'a zaskoczył ich kompletnie.

Pierwszy agent zwałił się z nóg, trafiony złośliwym ciosem pięty w pachwinę. Drugi chciał sięgnąć po broń, lecz jeden z komandosów Smitha chwycił go za rękę. Claude okręcił się na pięcie baletowym ruchem i od tyłu kopnął drugiego agenta w podbrzusze. Komandos ciosem ołowianej pałki uwolnił francuskiego ochroniarza od troski o dalszy rozwój wypadków.

W kuchni C.W. odwrócił się do Alberta.

–A teraz, przyjacielu, pokażę ci moją *pièce de résistance* – parsknął. Poklepał wieko olbrzymiego pojemnika do transportu potraw. Albert bacznie śledził jego ruchy.

Wieko odskoczyło i C.W. spokojnie zaczął podawać swoim ludziom pistolety maszynowe MA-28 Meisnera i maszynowe thompsony. Następnie wycelował broń w Alberta.

–Rączki – powiedział. Kucharz i jego pomocnicy czym prędzej podnieśli ręce do góry i stanęli nieruchomo jak posągi. C.W. zarechotał. – Mój drogi Albercie, idę o każdy zakład, żeś w życiu nie widział równie zwariowanego entré – powiedział po angielsku.

Albert wybałuszył na niego oczy.

Ludzie C.W. wtoczyli nakryte serwetami stoliki na kółkach do sali jadalnej. Kiedy zdjęli obrusy, ukazując schowaną pod nimi broń palną, Smith podszedł do pani Wheeler.

–Dzień dobry, pani Wheeler – odezwał się miłym, beznamiętnym głosem. – Nazywam się Smith. Z przykrością muszę panią zawiadomić, że od tej chwili jest pani moim więźniem. Jeżeli dotrzyma pani towarzystwa tej młodej damie – wskazał na Leah – i nie będzie nam pani sprawiać kłopotów, to gwarantuję, że nie stanie się pani najmniejsza krzywda.

Adela Wheeler patrzyła mu spokojnie prosto w oczy.

–Sądzę, że wie pan, kim jestem – powiedziała.

Smith skinął głową.

–Gdybym nie wiedział, to chyba nie zadawałbym sobie tyle trudu, żeby panią porwać.

Adela Wheeler wciąż wpatrywała się w niego kamiennym wzrokiem.

–Nie łudzi się pan chyba, że ta głupia i skandaliczna zbrodnia ujdzie panu płazem. Zapłaci pan za to, może pan być tego pewny.

Smith patrzył na nią z podziwem. Była ucieleśnieniem godności, stojąc spokojnie w wytwornej sukni, z wysoko upiętymi srebrnymi włosami i władczą, wyniosłą twarzą. Spoglądała na niego nieustraszonym, pogardliwym wzrokiem.

–Proszę iść za nią – rzekł Smith, wskazując ręką Leah. – W salonie dla gości honorowych znajdzie pani spokój i wygodę.

–Znam dobrze ten salon – odparowała pani Wheeler. – Natomiast szczerze wątpię, czy pan kiedykolwiek w nim był, a jeśli nawet, to czy witano pana z otwartymi ramionami. – Odwróciła się i mijając Leah, zdecydowanym krokiem wyszła na korytarz.

Komandosi w restauracji pod groźbą użycia broni spędzili wszystkich gości w jeden róg sali. Dołączyli do nich Graham i sprzedawca lodów, prowadząc przed sobą kilku pracowników wieży. Wysoko nad nimi, na drugim tarasie, część komandosów wysypała się z windy i skierowała broń na wycieczkowiczów. Jakiś strażnik rzucił się do przycisku alarmowego, lecz padł w pół drogi, ścięty serią z pistoletu maszynowego.

–Nie ruszać się! – krzyknął Pei przez tubę. – Stać spokojnie! Nie zgrywać bohaterów, bo zginiecie!

Winda kontynuowała śmiertelną jazdę. Na górnej platformie, na samym szczycie wieży, tuż pod masztem anteny telewizyjnej, było zaledwie kilka osób, toteż komandosi opanowali ją bez problemu, rozbijając i związując pokonanych strażników.

W restauracji na pierwszym tarasie C.W. otworzył skrzynię z napisem: „Kuchenka mikrofalowa P769/521”. Zawołał Mike’a Grahama i razem unieśli ostrożnie ciemny, połyskujący Lap-laser. Wysoko nad nimi, przy poręczy na drugim tarasie, trzech mężczyźni równie ostrożnie pomogli Sabrinie Carver przedostać się na drugą stronę

balustrady. Dziewczyna miała na twarzy maskę spawacza. Ktoś podał jej palnik acetylenowo-tlenowy i grubą żelazną sztabę. Sabrina zabrała się do roboty... a pracowała szybko.

Pani Wheeler spoczywała wygodnie w fotelu w salonie dla gości honorowych. Splotła dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Stanowczo odmówiła wszelkich rozmów z Leah, która wyszła, zamykając za sobą drzwi. Adela Wheeler nie miała pojęcia, co Smith chciał z nią zrobić, ale podejrzewała, że wybrał sobie złe miejsce dla swoich planów. Jeżeli ona była uwięziona na wieży Eiffla, to przecież on także, razem z nią. Miała dziwne przeczucie – które, o dziwo, nie było nawet specjalnie przykre – że nie uda jej się doczekać jutra.

Z górnych tarasów zjechały grupki turystów, którzy stłoczyli się w restauracji i na wolnym powietrzu. Smith zwrócił się do nich przez tubę:

–Proszę o uwagę turystów i pracowników wieży. Zostaniecie uwolnieni i nie spadnie wam włos z głowy, pod warunkiem, że nie wpadniecie w panikę i będziecie postępować dokładnie według instrukcji. Wkrótce, pod nadzorem moich ludzi, zaczniecie wchodzić do wind. Po zjechaniu na dół natychmiast proszę odejść od wieży, w przeciwnym wypadku grozi wam poważne niebezpieczeństwo. A teraz ustawcie się w kolejce i czekajcie na polecenia.

Sabrina, siedząc ryzykownie na rusztowaniu wieży między pierwszym a drugim tarasem, zakończyła spawanie. Mike spojrzał w górę z pierwszego tarasu i dał znak C.W. Murzyn podbiegł do balustrady.

–Jazda – powiedział Mike. C.W. docisnął pętlę liny opasującej Lap-laser i wystawił broń za poręcz. Na drugim tarasie komandosi zaczęli ciągnąć za drugi koniec liny.

Policjanci i przypadkowi gapie z narastającą ciekawością i niepokojem obserwowali wąskie, czarne urządzenie podjeżdżające w górę wzdłuż stalowych belek. Z nie mniejszym niepokojem obserwowała rozkołysany Lap-laser Sabrina. Wiedziała to, czego nie wiedzieli gapie na dole – że jedno mocniejsze uderzenie delikatnego mechanizmu strzelającego – a zwłaszcza detektorów o stalowe rusztowanie wieży może raz na zawsze unieszkodliwić tę cudowną broń. Modliła się w duchu, żeby tak się stało... i to szybko, zanim będzie zmuszona sama zmajstrować coś w trakcie montowania lasera na podstawie.

W tym momencie Sabrina myślała tylko o jednym – żeby podjąć ostatnią, desperacką próbę unieruchomienia przynajmniej jednej zabawki Smitha, by zwiększyć szansę Philpotta.

Laser dotarł jednak do niej bez szwanku. Kiedy komandosi odczepiali opasującą go linę, Sabrina spięła się, gotowa do zrzucenia broni na ziemię. W tej samej chwili

usłyszała głos Smitha:

–Żadnej fuszerki, Sabrina. Pamiętaj, że za ten laser odpowiadasz głową.

Zespół wykwalifikowanych elektryków pod kierunkiem Pei majstrował przy kablach zasilających, trzymając się ściśle wskazówek, których Azjata udzielił im podczas sesji treningowych na zamku Clérignault. Tym razem obyło się bez wypadku i po kilku minutach kontrola nad dopływem energii elektrycznej do całej wieży i jej otoczenia przeszła w fachowe ręce Pei.

Pierwsi turyści zaczęli już opuszczać wieżę. Oddalali się pośpiesznie, nie zwracając uwagi na przybywających policjantów, zaalarmowanych nagłym zerwaniem łączności z wieżą, sporadycznymi strzałami z broni maszynowej oraz brakiem wiadomości od agentów służby bezpieczeństwa, przydzielonych do obstawy pani Wheeler. Kobiety popłakiwały, próbując poradzić sobie z rozhisteryzowanymi dziećmi. Mężczyźni oglądali się ponuro, rozprawiając o tym, jak to szczęśliwie udało im się ująć z życiem. Policjanci niecierpliwie naciskali guziki wind, ale bez skutku – Pei zadbał o to, żeby być jedynym windziarzem na wieży Eiffla.

Przybyły oddziały szturmowe policji do zwalczania rozruchów – wielkie chłopy w stalowych hełmach, z tarczami, obwieszeni bronią. Wysłuchali tragicznych relacji szeregowych gliniarzy, zebrali się w szyku bojowym u wejścia do wieży i pędem wpadli na schody. Ich tarcze nie były jednak kuloodporne, toteż po chwili wycofali się w rozsypce, zostawiając na schodach rannych i zabitych.

Kiedy wybuchła strzelanina, Smith szedł właśnie na stanowisko dowodzenia koło wind na pierwszym tarasie.

–Jak najmniej ofiar! – zawołał przez tubę do swoich ludzi, którzy obsadzili schody.

–Powiedz to glinom! – odkrzyknął jeden z komandosów.

Smith odwrócił się do swojego przybocznego, który podał mu nazwisko komandosa.

–Zapomniał, jak należy się do mnie zwracać, a poza tym jest bezczelny – powiedział głosem tak układnym, że jego podwładnego przeszły ciarki. – Po zakończeniu operacji macie go postrzelić. W kręgosłup. Ale tak, żeby wyżył.

Tłum na wieży malał z każdą chwilą. Smith kazał zamknąć pod kluczem tylko co odważniejszych strażników – naturalnie tych, którzy zostali jeszcze przy życiu – oraz amerykańskich i francuskich ochroniarzy, których – na wszelki wypadek – pobito do nieprzytomności.

Na rdzawych stalowych belkach rusztowania Sabrina Carver i C.W. Whitlock

zamontowali trzeci Lap-laser. Inna grupa, pod kierunkiem Pei, zainstalowała czwarte i ostatnie śmiercionośne urządzenie na przeciwległym rogu wieży. Smith zebrał wszystkich swoich ludzi na pierwszym tarasie i oddał głos Leah. Dziewczyna wyciągnęła z pudełka garść metalowych płytek.

–Wszyscy wiecie, co to jest – powiedziała. – Te płytki zapewniają ochronę przed działaniem Lap-laserów. Proszę je stale nosić przy sobie. Sądzę, że nie muszę wam o tym przypominać, jako że wiecie dobrze, co was czeka, jeśli zapomnicie o tych płytkach. Za chwilę uruchomimy Lap-lasery. Jeżeli macie jeszcze jakieś wątpliwości, przypominam, że lasery zniszczą automatycznie każdy obiekt na wieży lub w jej pobliżu, który nie jest chroniony przez taką płytkę. Rozdam wam je teraz, a reszta zależy już od was.

–Dziękuję, Leah – rzekł Smith, biorąc od niej metalową płytkę i ostentacyjnie przypinając ją sobie do klapy garnituru. Przyjdiesz do mnie do restauracji, jak skończysz?

–Nie wyrzekłabym się tego za żadne skarby świata, panie Smith – odparła.

Ostatnia grupka turystów opuściła wieżę i biegiem dołączyła do tłumu gapiów, utrzymywanych przez kordon policji w bezpiecznej odległości. Wracając do restauracji, Smith podszedł do balustrady i wyrżał ostrożnie. Swoim komandosom kazał trzymać się z dala od otwartych przestrzeni, by nie dosięgły ich kule strzelców wyborowych, ale już wkrótce, po uruchomieniu Lap-laserów, takie środki ostrożności będą zbyteczne.

Roztaczała się przed nim dziwaczna sceneria. W górze jedynymi żywymi stworzeniami na wieży były gołębie, mewy i jakieś mniejsze ptaki, które obsiadły najwyższy taras i śmigają między belkami rusztowania. W dole była strefa zamknięta. Wstrzymano ruch na drogach dojazdowych do wieży, opróżniono pasażę prowadzące na Pola Marsowe i do Palais de Chaillot, wyłączono fontanny. Usunięto nawet zwierzęta. Oczy wszystkich skierowane były w górę, w hołdzie – jak podpowiadał Smithowi chory umysł – dla jego niepowtarzalnego geniuszu.

Smith cofnął się od balustrady i skierował do restauracji. Przy drzwiach oczekiwał go Pei.

–Wszystkie Lap-lasery są już uruchomione – oznajmił.

–Znakomicie, Pei, znakomicie.

Stanowisko dowodzenia przeniesiono do restauracji. Pomijając zajętych swoją robotą dowódców komandosów, najcenniejszymi ludźmi byli tam pracownicy francuskiej telewizji, którzy mieli odegrać w tym dramacie rolę, o jakiej im się nawet nie śniło, kiedy rano, jak co dzień, wychodzili do pracy.

Ku skrytemu rozbawieniu Grahama, pod nadzorem Pei przeprowadzono zwój kabli do uprzątniętej sali jadalnej, a na małym podium dla orkiestry ustawiono liczne monitory telewizyjne, ukazujące całe otoczenie wieży. W jednym rogu zgrupowano trzy kolorowe monitory, na których widać było jedynie plansze testowe. Smith obserwował salę taksującym wzrokiem, co chwila spoglądając na zegarek.

W końcu zawołał kamerzystę z ekipy telewizyjnej, który – jak większość operatorów z telewizji – posługiwał się małą, przenośną kamerą, zamiast nieporęcznych Arrieflexów czy podobnego sprzętu rodem z minionej epoki.

–Skieruje pan kamerę na mnie, a obraz będzie transmitowany bezpośrednio, tak jak panu kazałem? – upewnił się Smith.

–Tak jest, proszę pana – odrzekł kamerzysta.

–Jeśli nie albo jeśli spróbuje mnie pan oszukać w inny sposób... – Smith zawiesił głos. – Nie muszę panu chyba mówić, co pana spotka.

Kamerzysta czym prędzej zapewnił go, że zastosuje się do poleceń.

–Nie będę próbował żadnych sztuczek, proszę pana. Mam żonę i dzieciaki, a telewizja nie płaci mi aż tyle, żebym miał za nią umierać.

–Świetnie – rzekł Smith. – Więc do roboty.

–A konkretnie czego pan chce ode mnie? – zapytał technik.

–To proste – odparł Smith. – Chcę nadać wiadomość na cały świat. Chcę powiedzieć, że ukradłem wieżę Eiffla i że moim zakładnikiem jest matka prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Rozdział 8

Sonia zamówiła obiad do apartamentu 701, wybierając z propozycji kuchni hotelu Ritz omlety, sałatki i lekki deser oraz butelkę chablis. Ani ona, ani Philpott nie mieli nastroju na słynne *déjeuner mondain* czy na przysmaki z Espadon Grill.

Przed południem nie próżnowali. Philpott był w stałym kontakcie z wszystkimi źródłami informacji w Paryżu – Interpolem, Sureté, Pałacem Elizejskim i CIA – a także z agentami pełniącymi dyżur w UNACO. Jak dotąd, nie dowiedział się niczego.

W chwili, gdy wkładał do ust pierwszy kawałek omletu, usłyszał sygnał telefonu.

–Normalka – warknął. – Zwykle dzwoni, jak biorę prysznic.

Podniósł słuchawkę, przedstawił się i przez dobre trzy minuty słuchał w milczeniu.

–Boże jedyny, François, spodziewałem się, że będzie źle, ale nie sądziłem, że aż tak – powiedział w końcu. – Sekundkę... – Machnięciem ręki wskazał róg urządzonego z przepychem pokoju, gdzie szerokie okna wychodziły na zapierającą dech w piersiach panoramę Paryża. – Sonia, włącz telewizor – polecił pośpiesznie i zaraz rzucił w słuchawkę: – No już, François.

Słuchał, co pewien czas wtrącając zwięzłe pytania i zapisując coś w leżącym obok telefonu notesie.

–Ja? Ja natychmiast łapię ambasadora. Przypuszczam, że nikt nie zna Smitha lepiej niż ja. Pomogę wam z największą przyjemnością. Prawdę mówiąc, ja się domagam, żebyście skorzystali z moich usług. Dziękuję. *Au revoir*.

Kiedy odkładał słuchawkę, na ekranie telewizora pojawił się obraz.

–Na miłość boską, Malcolm, powiedz wreszcie, co się stało! – krzyknęła zirytowana Sonia.

–Najgorsze – odrzekł Philpott. – Najgorsze, co tylko można sobie wyobrazić. Uwierzysz, jak ci powiem, że Smith dokonał napadu na wieżę Eiffla?... W każdym razie tak twierdzi policja. To był François LeMaitre z Sureté.

–Napadł na wieżę Eiffla? – powtórzyła Sonia z niedowierzaniem.

–Opanował ją przemocą. Ale to nie wszystko. Chryste Panie, to jeszcze nie wszystko.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–On wziął zakładniczkę, a nie mam najmniejszych wątpliwości, że w swoim szaleństwie nie zawaha się jej poświęcić, jeżeli sprawy potoczą się nie po jego myśli.

–Kto to jest, Malcolm?

–Ktoś, kogo nie możemy wystawiać na niebezpieczeństwo – odparł Philpott drewnianym głosem. – Matka Warrena, Adela Wheeler, matka Warrena G. Wheelera, prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Krew odpłynęła z twarzy Soni.

–Co... co...?

–Co ona tu robi? – podsunął Philpott. – Przyjechała na zaproszenie Międzynarodowego Funduszu Pomocy Dzieciom... wiesz, ta jej ukochana działalność charytatywna. Na wieży Eiffla miał się odbyć bankiet na cele dobroczynne... właśnie dzisiaj. – Nagle uderzył się pięścią w grzbiet dłoni. Boże święty! Jak mogłem to przeoczyć? Musiałem chyba zgłupieć do cna, żeby tego nie sprawdzić, zwłaszcza że Lorenz van Beck sam mi powiedział, że chodzi o wieżę Eiffla!

–Van Beck ci to powiedział? – zdziwiła się Sonia.

Philpott skinął głową. Zmierwił włosy, rozpiął koszulę pod szyją i rozluźnił krawat.

–Tak – mruknął niepokieszony. – Jak to ujął van Beck: „Cóż innego składa się z dwu i pół miliona nitów?”. Oczywiście, uwierzyłem mu... to dlatego wybraliśmy się rano do tej kawiarenki... miałem nikłą nadzieję, że uda nam się zobaczyć coś lub kogoś, co nas naprowadzi na trop. Nadzieja! – parsknął z rozgoryczeniem. – Nawet gdybym się zderzył z samym Smithem, to pewnie otrzepałbym go co najwyżej z kurzu i postawił mu piwo.

Sonia wstała i podeszła do niego.

–Poddajesz się? To nie w twoim stylu, użalać się nad sobą. Zacznij walczyć, bo przegramy. No...? – Poprawiła mu krawat i przyglądała włosy. Kiedy przytulił ją i zaczął całować, spojrzała nad jego ramieniem na szumiący w rogu pokoju telewizor.

Na tle reklamy, wyjaśniającej w nader skomplikowany sposób, jak uniknąć koszmaru prowadzenia domu, migał napis: WIADOMOŚĆ SPECJALNA. Sonia podskoczyła i uwolniła się z objęć.

–Patrz, Malcolm, chyba będzie coś o tym w telewizji!

Philpott odwrócił się i spojrzał na odbiornik, po czym przeniósł się na szeslong, bliżej ekranu.

–To Smith – wyjaśnił. – Widocznie podłączył się na wieży bezpośrednio do telewizji. Jego ludzie załatwili to tak, żeby w razie czego Urząd Telekomunikacji nie mógł mu przeszkodzić. Ale póki co, rząd francuski nie zamierza mu przeszkadzać. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Sonia usiadła obok niego. Kiedy skończyła się banalna reklama, napis na ekranie przestał migać, a po dalszej minucie zniknął. Następnym obrazem, który pojawił się na ekranach telewizji francuskiej i krajów sąsiednich, była twarz Smitha.

–Przepraszam, że przeszkadzam państwu w oglądaniu normalnego programu, ale w ramach rekompensaty proponuję wam prawdziwy, z życia wzięty dramat, który – mam nadzieję – okaże się bardziej pasjonujący.

Smith wygłosił to zdanie bezbłędną francuszczyzną, a następnie powtórzył je po angielsku.

–Nazywam się Smith i właśnie ukradłem wieżę Eiffla – ciągnął. – Nie, ja nie żartuję. Zobaczcie państwo sami.

Na ekranie pojawiło się ujęcie z innej kamery, która omiotła wieżę, koncentrując się na pierwszym tarasie i na uzbrojonych strażnikach, a następnie skierowała się w dół, na kordon sfrustrowanych policjantów i rozgorączkowany tłum. Nie pokazano Lap-laserów i przez chwilę serce Philpotta zabiło żywiej – może Smithowi coś popsulo szyki, może C.W. i Sabrinie udało się unieszkodliwić Lap-lasery, by dać władzom przynajmniej cień szansy... Ale nie, ten drań tylko się zabawia naszym kosztem – zreflektował się szybko.

–A więc przekonaliście się na własne oczy – powiedział Smith triumfalnie. – Widzicie, że mówię prawdę. Ale to nie wszystko. Mam tu na wieży więźnia... czy, jak kto woli, zakładniczkę, choć z całym naciskiem podkreślam, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo... naturalnie zakładając, że rząd francuski spełni moje żądania.

Obraz zmienił się ponownie. Przenośna kamera chwiejnie zbliżyła się do salonu dla gości honorowych. Adela Wheeler, dumna i wyprostowana, siedziała w fotelu ze spuszczonej oczami. Podniosła głowę, kiedy kamerzysta zastukał w szklane drzwi, on zaś skierował obiektyw na jej twarz, zrobił zbliżenie i trzymał obraz na wizji.

–Tak – doleciał z ekranu głos Smitha – to pani Adela Wheeler, w której, śmiem twierdzić, większość z was bez trudu rozpoznała matkę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale wracajmy do przyjemniejszych spraw... naturalnie, przyjemniejszych dla mnie.

Kamera przesunęła się na Smitha.

–Jak widzicie – a zapewniam, że wszystko, czego byliście świadkami, to nie

fotomontaż – ja i moi towarzysze całkowicie przejęliśmy kontrolę nad tym obiektem. Niebawem zademonstruję wam, dzięki czemu. Zostaniemy na wieży Eiffla do czasu, gdy otrzymam sumę, którą uważam za przyzwoity okup za wieżę... i oczywiście za życie pani Wheeler. Według moich informacji, koszt budowy wieży zamknął się w granicach miliona sześciuset tysięcy dolarów. Obliczyłem, że obecnie odpowiada to, powiedzmy, sześćdziesięciu ośmiu milionom. Proponuję więc, że zwrócę narodowi francuskiemu wieżę Eiffla w stanie równie nienagannym, w jakim ją zastałem, za okazjną cenę trzydziestu milionów dolarów. Przyznacie państwo sami, że nie jest to cena spekulacyjna. Obecność pani Wheeler powinna się okazać – jak by to powiedzieć – dostatecznym katalizatorem.

Smith najwyraźniej świetnie się bawił. Philpott siedział przygnębiony, czekając na nokautujący cios. Zadzwoił telefon. Sonia zerwała się i chwyciła słuchawkę.

–Czy mógłby pan chwileczkę poczekać, panie ambasadorze? – poprosiła. – On chce obejrzeć do końca program Smitha.

–A teraz, proszę państwa o uwagę – kontynuował Smith. – Pokażę wam, dlaczego jakakolwiek akcja przeciwko mnie, przy pomocy wojska lub sił cywilnych, z ziemi czy z powietrza, kompletnie mija się z celem.

Twarz Smitha ponownie zniknęła z ekranu, kamerzysta natomiast skierował obiektyw na rusztowanie wieży i dramatycznie podjechał kamerą w górę, na drugi taras. Zatrzymał obraz na Lap-laserze. Na środku ekranu pojawił się złowrogi, czarny wylot lufy lasera. Nikt z widzów nie wątpił, że oto ma przed sobą jakąś nową, superskomplikowaną broń.

–To, co teraz widzicie – mówił dalej Smith – to jeden z czterech laserów broniących wieży Eiffla i jej otoczenia, w tym, rzecz jasna, przestrzeni powietrznej.

Kiedy na ekranie pojawił się Lap-laser, z telewizora doleciało dziwne echo. Słowa Smitha przekazywane były jednocześnie przez system nagłaśniający wieży i, potężnie wzmocnione, rozbrzmiewały nad milczącym tłumem. Rejestrowała je także kamera na swojej ścieżce dźwiękowej, wraz z czystym zapisem ze „studia” Smitha.

Sonia odezwała się od telefonu:

–To Roger Ravensberg. Prosiłam, żeby zaczekał.

Philpott dał znak, że jej wiadomość dotarła. Wiadomość Smitha docierała tymczasem do mieszkańców Paryża, całej Francji, a także do wszystkich krajów, w których można odbierać programy telewizji francuskiej.

–Pozwolą państwo, że powiem kilka słów o tej broni, zwanej Lap-laserem – ciągnął Smith. – Pożyczyłem ją sobie od armii Stanów Zjednoczonych, która testowała ją w

bazie pod Stuttgartem. Na małą skalę jest to prawdopodobnie najbardziej niszczycielska broń ze wszystkich, jakie dotychczas wymyślono. Oczywiście, nie może się nawet równać z bombą wodorową o sile stu megaton... ale też prawdą jest, że nikt nie odniesie korzyści z użycia broni atomowej. Nie, te lasery, jeżeli – jak ma to miejsce teraz – zostaną uruchomione, wyśledzą i zniszczą, zniszczą całkowicie, wszystko, co znajdzie się w pobliżu wieży Eiffla, czy to na ziemi, czy w powietrzu.

Smith pochylił się; twarz miał poważną, zatroskaną.

–Wszystkim, którzy się tu zebrali, także policji i wojsku, stanowczo odradzam wystawianie na próbę tych laserów, które zainstalowano na rusztowaniu wieży. Na razie to wszystko, co miałem do powiedzenia. Następnym komunikat za godzinę. *Au revoir.*

Obraz zniknął. W placówkach rządowych, w barach, domach i sklepach Paryża jedyną reakcją był obezwładniający, potężny szok. W Waszyngtonie i Londynie, w Pekinie i Moskwie, Kairze i Brukseli prezydenci i dziennikarze z coraz większym niedowierzaniem przeglądali nadchodzące teleksy i depesze dyplomatyczne.

Philpott podbiegł do telefonu.

–Roger, oglądałeś to? – warknął. – Od początku do końca? Świetnie. A więc do rzeczy. Znam Smitha... jego metody, osobowość. Rozpracowałem go. Wiem też sporo o Lap-laserach... zdajesz sobie sprawę, że odgrywają tu kluczową rolę? Gdyby nie one, mielibyśmy cię szansy, choć oczywiście nie moglibyśmy ryzykować życiem Adeli. Ale skoro Smith je zdobył, władze są absolutnie, kompletnie bezsilne. Rozumiesz? Dobrze. Istnieje nikła szansa, że ja i moi ludzie zmienimy ten układ sił. To tylko do twojej wiadomości... nie, ja nie żartuję, Roger, to nie może wyjść dalej. Słowo? Zgoda. Więc... na wieży mam dwóch swoich ludzi. Dlatego też chcę, żebyś załatwił z rządem francuskim – wiesz zresztą, że dostałem od Giscarda nadzwyczajne pełnomocnictwa – otóż załatw, żebym z Sonią i UNACO mógł wkroczyć do akcji. Natychmiast. Zgoda? Dobrze. Czekam na twój telefon. – Philpott odłożył słuchawkę. Czekamy – rzekł do Soni.

Niecałą minutę później telefon znowu zadzwonił. Philpott odebrał.

–Roger? – rzucił pośpiesznie. – Kto? A... rozumiem. Nie, oczywiście, że nie. Zaczekam.

Spojrzał na Sonię i powoli potrząsnął głową; nie był to gest porażki, lecz współczucia. Po chwili znów trzymał słuchawkę przy uchu.

–Tak jest, panie prezydencie. Tu Malcolm. Tak, wiem... Mam nadzieję, że uda nam się zdobyć nad nimi przewagę. Oczywiście, oczywiście, że żadne środki, które mogłyby choćby w najmniejszym stopniu zagrozić życiu pani Wheeler, nie wchodzą

w rachubę... Nie, panie prezydencie – rzekł po chwili przerwy. Przyrzekam to panu osobiście. Będę zaszczycony, mogąc występować jako pański osobisty pełnomocnik i przekazywać pańskie życzenia. Proszę się nie martwić, panie prezydencie. I... Warren... nie trać nadziei. Tak, odezwę się. – Odłożył słuchawkę na widełki, lecz telefon zabrzączał natychmiast.

Dzwonił ambasador Stanów Zjednoczonych, Ravensberg. Propozycję włączenia się UNACO do akcji przyjęto z otwartymi ramionami, oświadczył. Na dobrą sprawę, Philpott mógł już uważać się za szefa operacji.

–Tylko pamiętaj, Malcolm... my musimy wygrać. Cały świat na nas patrzy... a prezydent uważa, że Smith stanowi zagrożenie dla międzynarodowego bezpieczeństwa.

Nareszcie Philpott się uśmiechnął, choć bez radości. Zerwał się z miejsca.

–Zbieraj się – polecił Soni. – Nasz pierwszy przystanek to francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Czekają nas masa roboty. Módl się, żebyśmy zdążyli.

Wśród gapiów zawsze znajdują się i tacy, którzy mają niebezpieczny zwyczaj przepuszczania dzieci do przodu, by lepiej mogły śledzić rozwój wydarzeń. Tłum zgromadzony wokół wieży Eiffla nie stanowił wyjątku od tej reguły.

Najwyżej siedmioletnia dziewczynka, o jasnych włosach zebranych w kucyki i przewiązanych wstążką, stała z rozdziawioną buzią między dwoma policjantami, ściskając wielką kolorową piłkę. Matka trzymała ją za ramiona, sama jednak bez przerwy wpatrywała się w wieżę, mimo iż nie widziała nic godnego uwagi. Dziewczynka, znudzona nagle oczekiwaniem, podbiła piłkę, nie złapała jej, i próbując ją schwycić, trąciła ją kolanem. Piłka potoczyła się po asfalcie w stronę zaznaczonej kredą linii, biegnącej dookoła wieży.

Piszcząc ze zdenerwowania, dziewczynka wyrwała się matce i pobiegła za piłką.

Matka z krzykiem skoczyła ku dziecku, lecz zatrzymał ją kordon policji. Kilka metrów dalej z napierającego tłumu wyskoczył muskularny młody człowiek, odepchnął policjanta i jak szalony rzucił się w pogoń za dziewczynką.

Na wieży Lap-laser przesunął się minimalnie w lewo. Sterczące detektory drgnęły i zaczęły śledzić biegnące postacie. Komputer wybrał na pierwszy rzut mniejszy cel. Zaparkowane pod wieżą samochody-prądnice bez przerwy zaopatrywały lasery w energię.

Biegnący mężczyzna skoczył rozpaczliwie ku dziewczynce w chwili, gdy dotykała już uciekającej piłki. Złapał dziecko kilka centymetrów przed białą linią, którą namalowano pod dyktando Smitha.

Piłka wytoczyła się za linię. Lap-laser zareagował z szybkością błyskawicy – jego lufa rozbłysła oślepiającym blaskiem, piłka rozżarzyła się na mgnienie oka... i to wszystko, piłka zniknęła. Jedyнным śladem wskazującym na to, gdzie się przed chwilą znajdowała, był obłok dymu, ulatujący spiralnie znad asfaltu.

Matka kurczowo przycisnęła córkę i zanosząc się płaczem, zaczęła kołysać ją w ramionach. Dookoła niej panowała śmiertelna cisza. Wszyscy zamarli w bezruchu, z przerażeniem wpatrując się w kłęb dymu.

Limuzyna wioząca Sonię i Philpotta zatrzymała się przed gmachem francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Oboje wysiedli i biegiem wpadli do budynku. Wieża Eiffla, niczym gigantyczna żyrafa, wybijała się na tle panoramy miasta.

Bez zbędnych ceremonii zaprowadzono ich wprost do wysokiej sali konferencyjnej, gdzie Gillaume Ducret, minister spraw wewnętrznych, odbywał naradę z przedstawicielami policji, wojska i Obrony Cywilnej. Ducret z nie tajoną ulgą wyciągnął rękę.

–Nie znajduję słów, żeby wyrazić, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania, panie Philpott – powiedział i przedstawił ich wszystkim obecnym.

Ducret, przystojny polityk francuski o arystokratycznych manierach, wywodzący się ze szkoły Giscarda-Malraux, zasypał Philpotta pytaniami, lecz drzwi sali otworzyły się raptownie i do pokoju wtoczył się komisarz policji August Poupon. Poupon był jednym wielkim, kipiącym energią kłębkiem nerwów, ale w sytuacjach podbramkowych był niezastąpiony. Za nim wszedł Roger Ravensberg, prowadząc ze sobą dwóch amerykańskich generałów – Holmwooda i Hornbeckera – oraz ich adiutantów, na końcu zaś szła grupa francuskich przemysłowców i wyższych oficerów wojska.

Generałowie Hornbecker i Jaubert licytowali się, który z nich może w krótszym czasie wywołać bardziej wstrząsający kataklizm.

–W tej chwili mam w powietrzu eskadrę bombowców mirage oświadczył Jaubert. – Mogę je rzucić do akcji w każdej chwili.

–Lap-lasery strącają je w kilka sekund! – prychnął Hornbecker lekceważąco. – My natomiast możemy załatwić lasery pewnymi pociskami raketowymi, którymi dysponujemy...

–A które wysadzą wieżę Eiffla, panią Wheeler i połowę Paryża – wtrącił Philpott uszczypliwie. – Nie, panowie, kierowanie operacją powierzono panu Ducret i mnie. Jeżeli uznamy to za konieczne, zwrócimy się do was o pomoc... ale na naszych

warunkach. Póki to nie nastąpi, będę wam głęboko wdzięczny, jeżeli powstrzymacie się od uwag, chyba że będziecie mieli jakieś naprawdę rozsądne propozycje.

Było to brutalne, ale skuteczne; jak wskazywały ostatnie badania, tylko tak można było sobie radzić z generałami.

Ducret zakasłał i przerwał krępującą ciszę. Jaubert i Hornbecker, pojednani w obliczu wspólnego wroga, łypali na Philpotta z nienawiścią.

–Proponuję, żebyśmy najpierw dowiedzieli się jak najwięcej o człowieku, który dopuścił się tej ohydnej zbrodni... o przestępcy, który występuje pod nazwiskiem Smith. Panie Philpott, sądzę, że może nam pan w tym pomóc?

Zapytany odchrząknął i zmarszczył brwi.

–Prawda, panie ministrze, że Smith to jeden z najbardziej niezwykłych przestępców na świecie – powiedział. – Jest bajecznie bogaty, ale trawi go niepoohamowane pragnienie... żąda popełniania najdziwniejszych zbrodni. Zabrzmiał to może jak z Freuda, ale moim zdaniem, to go podnieca. Ludzie ani polityka go nie interesują. Tylko zbrodnia go... pobudza. Dlatego też mniej więcej raz do roku organizuje on skomplikowaną, błyskotliwą i zwykle uwieńczoną powodzeniem operację przestępczą. Mogłoby się wydawać, że jest nietykalny. W każdym razie on sam tak uważa, a to jest tym groźniejsze.

–Czy wiadomo o jakichś przestępstwach, które z całą pewnością są jego dziełem? – spytał Ducret.

Philpott odwrócił się do Soni.

–Na to odpowie panom pani Kolchinsky. Ona zna wszystkie fakty.

Sonia punkt po punkcie zaczęła cytować katalog występków Smitha:

–To on ukradł sześćdziesiąt kilogramów radioaktywnego izotopu uranu U-235 z Zakładów Paliw Jądrowych w Blythe, w stanie Wyoming, w sześćdziesiątym trzecim roku. Pamiętacie panowie? Trzymał w szachu całe San Diego, wymuszając okup w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Panika w mieście spowodowała śmierć dwudziestu osób. Dwa: w siedemdziesiątym szóstym roku sprzedał transport skradzionej supernowoczesnej broni palnej terrorystom. Rezultat: sto pięćdziesiąt ofiar w Manchesterze, dwieście w Tokio, dalej samolot pasażerski nad Haifą, masakra w Darmstadt... To nie była robota Smitha, za to ręczę... ale on odegrał rolę katalizatora. – Sonia rozejrzała się po otaczających ją twarzach. – Mam wyliczać dalej? Napad na bank Channel Islands... Pamiętacie? Praktycznie zawładnął wtedy Jersey, komandosi opanowali całą wyspę... – Chciała wyliczać dalej, lecz Ducret przerwał:

–Nie, pani Kolchinsky, to nam wystarczy. Ale dlaczego ja, my wszyscy, nie słyszeliśmy do tej pory o takim przestępcy? O człowieku, który mieszka sobie spokojnie w zamku nad Loarą i najwyraźniej tu, w moim kraju, wydaje kolosalne sumy.

–On za każdym razem zmienia wygląd – wyjaśnił Philpott. – Nie znoszę tego zwrotu, ale to mistrz kamuflażu. Potrafi zmienić aparycję tak gruntownie, że nawet najbliżsi współpracownicy nie potrafią go rozpoznać. Władca Bóg jeden wie iloma językami. Przed pięciu laty pojawił się w Tokio jako Niemiec, dwa lata temu w Johannesburgu występował jako Hiszpan. Ale jego najważniejszą cechą, której, jak mi się wydaje, panowie nie docenicie, jest fakt, że bez względu na to, w jakim przebraniu występuje, jeżeli już wysuwa żądania, to można przyjąć za pewnik, że uczyni wszystko, żeby zostały spełnione.

–Chce pan powiedzieć, że nie zostawi nam możliwości manewru – wtrącił Ravensberg.

–Otóż to – potwierdził Philpott. – Najmniejszych. My jednak sami postaraliśmy się stworzyć sobie pewne możliwości. Panowie – Philpott westchnął ciężko – nie mam czasu na wyciąganie od was obietnic, że nie rozpowiecie tego, co za chwilę usłyszycie, więc ufam, że tak się nie stanie. Moja organizacja, to jest UNACO, ma dwóch swoich agentów w ekipie Smitha na wieży.

Euforia, z jaką przyjęto tę nowinę, nieco wygasła, gdy Philpott dorzucił:

–Chwilowo nie możemy jednak opierać na tym całej strategii, ponieważ nie mamy kontaktu z naszymi ludźmi. Jednym słowem, żeby się już dłużej nad tym nie rozwodzić, wciąż wiemy cholernie mało o tym, co tam się dzieje – wskazał ręką na okno, przez które widać było wieżę Eiffla.

Mike Graham obrzucił baczny spojrzeniem grupkę, która zebrała się wokół niego w kuchni. Sabrina, dzięki specyficznym umiejętnościom, powinna być przywódcą. Trzej komandosi stanowili tylko balast, ale powinni słuchać rozkazów... Na stole przed nimi leżał plan wieży, przyciśnięty czterema wielkimi ładunkami wybuchowymi.

Graham dźgnął palcem w plan.

–Tu, tu, tu i tu... oto krytyczne punkty – powiedział. – Uważam, że właśnie tu wieża jest najsłabsza. To, że tak się wyrażę, punkty podparcia. Zniszczyć je i brzdęk! – Rozłożył ręce. – Koniec wieży Eiffla.

–Po całym ładunku w każdym z tych punktów? – zapytała Sabrina.

Mike skinął głową.

–Uhm – przytaknął. – Ładunki dwudziestopięciofuntowe. – Ze stalowej skrzyni wyjął detonator. – A do każdego z nich po czymś takim. To detonator odpalany przez radio. Dopóki nie odblokuje go sygnał radiowy, jest zupełnie bezpieczny. Ale po nadaniu sygnału, nie można go już wyłączyć. Czasu na ucieczkę zostaje tylko tyle, na ile nastawiono opóźniacz wybuchu.

Okazało się, że dwaj komandos nie byli przydatni nawet w charakterze balastu – mieli lęk wysokości. Tote pogardliwie szturchnął jednego, usuwając go z drogi, i brutalnie wyciągnął drugiego, który siedział na balustradzie, z pętli liny ubezpieczającej. Sam zajął miejsce roztrzęsionego komandosa na poręczy, skoczył w dół i przymocował do żelaznych belek dwa ładunki wybuchowe. Sabrina, przy pomocy trzeciego komandosa, założyła pozostałe dwa. Tak jak Tote, ona również zlekceważyła liny.

Jak zawsze, pracowała szybko, z jakby wrodzoną łatwością, balansując pewnie na pochyłych belkach, przyklejając rulony giętkiego brudnoróżowego plastiku do dźwigarów i montując detonatory.

Spojrzała w górę, na zdenerwowanego komandosa, i błysnęła zębami w uśmiechu. Kto wie, może on się boi, pomyślała, ale to przynajmniej fachowiec. Komandos chciał jej pomóc wdrapać się z powrotem na górę, ale Sabrina machnęła tylko ręką, zniecierpliwiona.

–Martw się o siebie – poradziła mu. – Tobie grozi większe niebezpieczeństwo.

Mężczyzna wzruszył ramionami i nonszalancko ruszył wzdłuż poziomej belki, prowadzącej do bezpiecznego schronienia spiralnych schodów. Skoczył w przód, by przytrzymać się poręczy, ale nie trafił. Jego krzyk przeszył powietrze, kiedy ześliznął się i zawisł głową w dół, usiłując zahaczyć stopy ponad belką.

Żelazne kanty werżnęły mu się w ciało pod kolanami. Odruchowo wyprostował nogi i z dzikim, gardłowym wrzaskiem poleciał w dół, odbijając się po drodze od ukośnego dźwigara. Sabrina poczuła gwałtowny podmuch, kiedy przelatował obok niej.

Objęła pionowy wspornik i błyskawicznie wyciągnęła dłoń, by złapać młóćące powietrze ręce. Trafiła na przedramię i rozdzierając mu ciało paznokciami, zacisnęła żelazny chwyt na jego nadgarstku. Potężne szarpnięcie, kiedy przejęła na siebie cały ciężar spadającego komandosa, niemal wyrwało jej ramię. Obezwładniona bólem, stęknęła i zacisnęła zęby, próbując pohamować rzęzenie, wydzierające się z jej falujących piersi.

–Trzymaj się! Nie puszczaj go! – krzyknął Tote z przeciwległego rogu wieży.

„A co ja niby robię, do ciężkiej cholery?!” – pomyślała z wściekłością.

–Stać na belce! – krzyknęła do wiszącego na jej ręce komandosa, który bezładnie wierzgał nogami w powietrzu. Szybko traciła siły i wiedziała, że to kwestia sekund, nim będzie zmuszona puścić go lub spaść razem z nim. – Dłużej cię nie utrzymam, na miłość boską! – wrzasnęła. Wspornik, który obejmowała, rozdzierał jej mięśnie, jej ciałem wstrząsały fale przeszywającego bólu. Ręka Sabriny ślizgała się po gładkim metalu, dziewczyna kurczyła palce stóp, próbując zmniejszyć ból, który stawał się nie do zniesienia. Czowała, że zaczyna się osuwać. Z jej zaciśniętych ust wydarł się rozpaczliwy, przepojony strachem szloch.

Nagle było po wszystkim. Kiedy Tote wychylił się z niższej belki i schwycił komandosa w miążdżącym uścisku, napięcie ustało tak raptownie, że Sabrina omal nie wypuściła pionowego wspornika. Połapała się w ostatniej chwili i odchyliła, obejmując belkę i odsuwając nogi i ramiona od metalowych kantów, które wrzynały jej się w ciało.

Podciągnęła się na taras i opadła na podłogę, powstrzymując łzy ulgi i nareszcie oddychając równo i głęboko. Tote bezceremonialnie rzucił komandosa na podłogę obok niej. Odwróciła się do leżącego mężczyzny.

–Nic ci nie jest? – szepnęła. Potrząsnął głową, oszołomiony.

–Nie, nic. Dziękuję. – Nagle stęknął i zwymiotował, gdy Tote z całej siły kopnął go w bok.

–Nic ci nie jest, mówisz? – warknął Fin. – Masz fart, skurwysynu. Ja to bym cię puścił. Słyszysz? – Znowu kopnął leżącego, który chrząknął i splunął krwią. – Gorzej, żeś ją mógł zabić – ciągnął bezlitośnie. Bez ciebie się obejdziemy, ale ona jest warta więcej niż dziesięciu... niż stu takich jak ty. Słyszysz, co mówię? Jak mi się jeszcze kiedy nawiniesz pod rękę, to osobiście skopię cię z tej wieży.

Tymczasem na ziemi uwijano się jak w ukropie. Ciężarówki restauracji Larousse ustawiono w koło, niczym wozy osadników odpierających atak Indian. Wewnątrz tego pierścienia Claude i C.W. nadzorowali ludzi, którzy odwijali wielkie zwoje kabli z jednego samochodu i przenosili je do podziemnego pomieszczenia.

Ekipa podłączyła kable do głównej linii elektroenergetycznej zasilającej wieżę. Inni ludzie Smitha przynieśli kilka małych pudeł, które ustawiono pod ścianą, obok dwóch kanistrów piwa.

Także i tym razem przy podłączaniu kabli nie obyło się bez nerwów. Kiedy już było po wszystkim, C.W. odsunął się i otarł pot z czoła. Rozejrzał się za czymś do picia.

Jego wzrok padł na dwa kanistry piwa. C.W. szybko przykucnął, przytknął usta do kranu jednego z kanistrów i odkręcił kurek.

Z kranu wyleciał tylko syk sprężonego powietrza.

–Hej, Claude, coś za dużo bąbelków w tym twoim piwie! – poskarżył się Murzyn.

Claude okręcił się na pięcie.

–Nie ruszaj tego! – warknął. – Chcesz pić, to poczekaj, aż wrócimy na górę.

C.W. wstał i wzruszył ramionami. Mógł się obejść bez picia, za to wiadomość, że przynajmniej jeden z kanistrów Smitha zawiera nie piwo, lecz sprężony tlen, mogła się przydać.

Po raz nie wiadomo który, Murzyn zaczął łamać sobie głowę nad sposobem przesłania posiadanych informacji Philpottowi. Tu, w piwnicy, był przecież tak blisko wolności. Wystarczyłoby zerwać się i wybiec. Tyle tylko, pomyślał ponuro, że zanim zrobiłby dziesięć kroków, Claude odstrzeliłby mu łeb...

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych atmosfera wróciła do normy. Philpott i Ducret położyli kres częstemu gadaniu i wraz z naukowcami i wojskowymi szukali najlepszego sposobu unieszkodliwienia laserów.

W pewnym momencie wydawało się, że znaleźli wyjście. Jeden z francuskich naukowców pracujących dla wojska, niezdarne dryblas bez krzty poczucia humoru, zaproponował zaskakująco oczywiste rozwiązanie:

–Ta broń wysyła skoncentrowaną wiązkę promieni świetlnych – wyjaśnił żywo. – Wystarczy więc tylko odbić taki – jak wy to mówicie – śmiertelny promień i skierować go z powrotem na laser.

Philpott zerwał się na równe nogi.

–Lustra, jak babcię kocham, lustra! – wybuchnął. – To jest to! Wielkie lustra! Złapać promień i odbić go z powrotem. Dlaczego wcześniej nikt na to nie wpadł?

Pogonił naukowców do roboty. Pół godziny później wrócili z ponurą wiadomością, że jeżeli kąt odbicia nie będzie absolutnie dokładny, to odbity promień, zamiast trafić w laser, może ściąć kawałek wieży.

–Nie możecie ustalić raz na zawsze, jaki to kąt? – zapytał Philpott z rozpaczą w głosie.

–Niby jak? – jęknął wysoki naukowiec. – Starczy, że choć trochę zmienią kąt nachylenia lasera, a wpadniemy w jeszcze większe tarapaty.

Philpott niechętnie przyznał się do porażki. Nachmurzył się, kiedy Ravensberg

oświadczył nieco drżącym głosem, że na Kapitolu i w Pałacu Elizejskim domagają się szybkiego działania.

–Powiedz im, że przystąpimy do akcji, jak będę gotowy, nie wcześniej – parsknął. – Zawiadam Waszyngton, że uratuję panią Wheeler, nawet gdybym musiał zapłacić Smithowi te trzydzieści milionów. Paryż zawiadam, że uratuję ich cholerne pieniądze, nawet gdybym musiał wystawić na niebezpieczeństwo życie pani Wheeler. Ale przede wszystkim wbij im do głowy, że ja tu dowodzę. Rozgłaszaj wszem i wobec, że jak mi wejść na odcisk, robi się ze mnie kawał drania.

Ducret zerknął na niego ze współczuciem.

–Zdajesz sobie sprawę, o co tu chodzi?

–Aż za dobrze – odparł Philpott. – Ale chętnie posłucham.

Ducret wpatrywał się w swoje wypielęgowane dłonie.

–Z punktu widzenia Francuzów to jest tak – rzekł po chwili. – Nasz prezydent jest zachwycony faktem, że – jak powiedziałaś – to ty dowodzisz, bo jesteś Amerykaninem i jeśli popełnisz błąd, będzie to błąd Amerykanów. Jeżeli z wieży Eiffla spadnie choćby jedna belka, to rachunek wystawią tobie i twojej ojczyźnie. Jeżeli choć jeden dolar trafi z naszego skarbu państwa w ręce Smitha, to będzie to twoja wina, nie nasza.

Philpott przytaknął posępnie.

–Z mojej strony wygląda to dokładnie tak samo – przyznał. – Jeżeli coś się stanie matce prezydenta, to nie mam złudzeń, że pomimo mojej wieloletniej przyjaźni z Warrenem Wheelerem, mój wydział zostanie zlikwidowany z dnia na dzień. Będę mógł mówić o szczęściu, jeżeli uda mi się dostać posadę nauczyciela stolarki.

–Więc co zrobisz?

–Chodzi ci o moją politykę? Będę wykorzystywał jedną stronę przeciwko drugiej, póki nie osiągnę tego, o co mi chodzi. Kiedy pracuje się w ONZ, Ducret, balansowanie na linie wchodzi w krew. Dla mnie to już sposób bycia. Ale zwykle dostaję to, czego chcę.

–To znaczy?

–Smitha – rzekł Philpott. Chcę tylko jednego... dostać Smitha. Usunąć go, Ducret. I zrobić to, jak mi Bóg miły.

–Ryzykując w tym celu przyszłość swojego wydziału, całą swoją karierę?

–Tak. A może nawet życie.

Ducret westchnął.

–Pozostaje tylko mieć nadzieję, że decyzje, które podejmiesz w najbliższych godzinach, okażą się słuszne.

Philpott uśmiechnął się.

–Albo że wytłumaczę Giscardowi i Wheelerowi, że były słuszne – mruknął.

Tak więc Philpott zaczął swoje matactwa. Na gorącej linii między dwoma prezydentami – Warrenem G. Wheelerem i Valerym Giscardem d’Estaing – telefony dosłownie się urywały, aż wreszcie obaj mężowie stanu zaczęli rozważać możliwość zapłacenia Smithowi, choć żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że do takiej decyzji popchnęły ich knowania Philpotta.

Do sali konferencyjnej wezwano Marcela Le Grain, ministra finansów.

–Na wstępie chciałbym bez ogródek przedstawić swoje stanowisko – oświadczył Le Grain. – Jeżeli zapłacicie temu bandycie, to z miejsca podaję się do dymisji i zabieram ze sobą klucz do skarbcza. Nie możecie, panowie, nie wolno wam zachęcać sił anarchii do burzenia podstaw naszego materialnego dobrobytu. Moim zdaniem, tego Smitha należy zetrzeć w proch jak robaka. – Zilustrował to, żłobiąc obcasem w dywanie. Ducret skrzywił się.

–Wspaniale, Marcel – powiedział. – Zwłaszcza że jak wszyscy pamiętamy, w tym roku czekają nas wybory.

Philpott zachichotał. Le Grain szykował już ciętą ripostę, lecz adiutant Ducreta taktownie dotknął ramienia szefa i wskazał na ekran telewizora.

–Nasza najnowsza gwiazda chyba znowu pojawi się na firmamencie – powiedział.

Wszyscy zgromadzili się przed telewizorem. Smith łaskawie odczekał, aż skończy się reklama, i dopiero wtedy wszedł na wizję. Wyglądał ponuro.

–Jest teraz pierwsza po południu – oświadczył. – Jeżeli trzydzieści milionów dolarów, których żądałem, nie znajdzie się w moich rękach w ciągu dwunastu godzin, ja i moi towarzysze opuścimy wieżę... pod osłoną laserów. Chwilę później cztery równoczesne eksplozje zamienią wieżę Eiffla w kupę złomu. Jestem pewny – ciągnął – że nikt z was tego nie chce. Jestem równie przekonany, że prezydentowi Wheelerowi nie uśmiecha się myśl, że jego matka będzie na wieży w chwili wybuchu... a żałuję bardzo, lecz starsza pani nie będzie nam, niestety, towarzyszyć.

Smith przerwał na chwilę, dając telewidzom czas na przetrawienie wiadomości, a następnie postanowił zagrać na uczuciach.

–Dlaczego zresztą nie oddać głosu starszej pani? – powiedział.

Kamera powoli przesunęła się w lewo. Adela Wheeler siedziała obok Smitha

–Spodziewa się pan, że się za panem wstawię, panie Smith? – zapytała zgryźliwie. – Albo że będę błagać o życie?

–Nie obchodzi mnie, co pani robi, pani Wheeler – odparł Smith i zszedł z pola widzenia.

Adela Wheeler zwróciła się twarzą do kamery. Amerykanów przy telewizorach rozpierala duma. Philpott miał wrażenie, że oto ożyła Statua Wolności.

–To głupi, zachłanny człowiek – powiedziała pani Wheeler z sarkazmem. – Jeśli ktokolwiek ma ochotę wypłacić okup za wieżę Eiffla, to już jego sprawa. Proszę jednak nie brać pod uwagę mojej obecności tutaj. Tak jak wieża Eiffla, długo już żyje na tym świecie. Być może obie stanowimy przeżytek. Ale żebym miała razem z nią pójść pod młotek na licytacji tylko po to, by usatysfakcjonować obłąkanego megalomana, to coś zupełnie nie do pomyślenia... to obrzydliwe. Nie dajcie mu ani grosza. Zniszczcie go. Tacy jak on nie powinni oddychać tym samym powietrzem, co my. A jeżeli już macie ochotę wydać na coś swoje ciężko zapracowane franki, to wpłaćcie je na konto Międzynarodowego Funduszu Pomocy Dzieciom. Fundusz ich potrzebuje, Smith – nie!

Ravensberg zerwał się na równe nogi.

–To lubię! – krzyknął w euforii. – Przyłóż mu, Adela, raz a dobrze!

–No, no – mruknął Ducret. – Smithowi to się chyba nie spodoba.

Kamera pośpiesznie przesunęła się z pani Wheeler na Smitha, który z trudem hamował wściekłość.

–Bez względu na to, co mówi ta dzielna, lecz głupia kobieta... macie dwanaście godzin. To wszystko!

Rozdział 9

Smith kręcił się nerwowo po restauracji, sfrustrowany i zniecierpliwiony. Nastąpił ten nieuchronny etap każdej operacji, którego nie znosił... wyczekiwanie, podczas gdy głupcy po drugiej stronie debatuja nad tym, jak go pokonać i zaoszczędzić swoje drogocenne pieniądze.

Smith prychnął drwiąco. Gdybyż wiedzieli, jak mało interesowały go pieniądze! Jedyne, czego chciał, to ujrzeć ich dumę i władzę leżącą w gruzach u jego stóp. Chciał, żeby płaszczyli się przed nim, uznawali jego wyższość. Pragnął czuć ten niezrównany dreszczyk emocji i zwycięstwa. Pokonać Smitha? Cóż za bzdurny pomysł! Nikt nigdy go nie pokonał. I nie pokona. Był rzeczywiście nietykalny – on, największy geniusz w historii kryminalistyki.

Uśmiechnął się szyderczo, wyobrażając sobie kohorty polityków, generałów i policjantów, planujących kolejne wersje ataku na wieżę i wycofujących się za każdym razem na wspomnienie wszechpotężnych laserów. W Urzędzie Miasta pewnie oświadczą uroczyście, że znaleźli rozwiązanie – odciąć dopływ energii, co unieszkodliwi lasery.

Tyle że usłyszą nieustający, szyderczy warkot jego samochodów-prądnic i uświadomią sobie, że on nie potrzebuje ich energii – ma własną. Smith zachichotał. Być może ktoś wysunie nawet śmieszny pomysł odbicia promieni laserów za pomocą luster. Proszę bardzo, pomyślał, będzie to najwspanialszy pokaz ogni sztucznych, jaki kiedykolwiek oglądano.

Nalał sobie kieliszek koniaku, wypił jednym haustem i skinął ręką na Claude'a.

–Chyba już czas na dalsze, hm... środki zapobiegawcze? Co ty na to, Claude?

Francuz spojrzał na główny trzon ekipy oraz na zwykłych komandosów. Rozproszeni po całej restauracji, drzemali, grali w karty lub gadali o niczym.

–Broń? – spytał.

Smith pokiwał głową.

–Tylko taktownie, Claude, taktownie.

Francuz ogłosił dyplomatyczny komunikat: cały personel w pełnym uzbrojeniu ma zebrać się na stanowisku dowodzenia. Smith czekał tam już na przyjęcie swoich wojsk.

–Nie lubię rozlewu krwi, a przede wszystkim czuję wstręt do niepotrzebnych

wypadków – rozpoczął pompatycznie. – Dopóki jesteście uzbrojeni, lecz nie w pełni czujni, może dojść do wypadków, które zakończą się rozlewem krwi. Proponuję więc zlikwidować to ryzyko, rekwirując waszą broń.

W grupie rozległ się zaniepokojony pomruk. Zwłaszcza olbrzymiemu Tote pomysł Smitha niezbyt przypadł do gustu. Po Grahamie i C.W. widać było, że są podejrzliwi jak wszyscy diabli i że wietrzą jakiś kolosalny podstęp. Wszyscy jednak wykonali rozkaz, pod baczным okiem Smitha i lufami pistoletów Claude'a i Leah.

–Czy ma to być również przejaw braku zaufania? – spytała Sabrina, ustawiając się w kolejce za podium dla orkiestry i rzucając swój karabin AK 47 i pistolet maszynowy MA 28 Meisnera.

–Skądże znowu, moja droga – zapewnił ją Smith. – Cóż za nonsens. Jak mówiłem, to tylko zabezpieczenie przed możliwością popełnienia błędu.

–A czy pan, Claude i Leah też zamierzacie uniknąć możliwości popełnienia błędu, panie Smith? – zapytał Graham uszczypliwie.

Smith spojrzał na niego ostro.

–Ktoś musi być uzbrojony, Mike – zareplikował. – Naturalnie, będę to ja i moi najbliżsi współpracownicy.

Graham i C.W. zamierzali właśnie złożyć zbiorowy protest, lecz przerwał im dzwonek telefonu. Pei podniósł słuchawkę.

To pan Ducret, minister spraw wewnętrznych – powiedział, machając do Smitha gorączkowo. Smith uśmiechnął się z samozadowoleniem.

–Tak, jak przewidywałem – rzekł. – Nieco wcześniej niż sądziłem, ale widocznie poszli po rozum do głowy.

Podszedł do telefonu.

Ducret jasno dał do zrozumienia, że nie zamierza się targować o wysokość okupu.

–Znakomicie! – mruknął Smith. – Ja też się nie targuję. A więc, co mogę dla pana zrobić, panie ministrze?

Ducret odchrząknął.

–Minister finansów poinformował mnie, że zgromadzenie i przeliczenie tak oszałamiającej sumy jest niemożliwe w czasie, który dał nam pan do dyspozycji. Prosi pana o przedłużenie terminu do jutra, do dziesiątej rano.

Uśmiech zniknął z twarzy Smitha.

–Wykluczone. Opuzczamy wieżę i odpalamy ładunki wybuchowe dokładnie o pierwszej w nocy, chyba że dostanę wcześniej trzydzieści milionów dolarów w nieznaczonych banknotach. Niech się pan ze mną skontaktuje po zgromadzeniu pieniędzy, ale nie wcześniej, to powiem panu, w jaki sposób pańscy ludzie będą mogli bezpiecznie przynieść mi je na wieżę. Nawiasem mówiąc, nie pociągnie to za sobą konieczności chwilowego wyłączenia moich laserów.

W sali konferencyjnej w ministerstwie głośniki przekazywały przebieg rozmowy. Ducret uniósł brwi i spojrzał na Philpotta i Poupona, którzy byli teraz głównymi doradcami. Philpott zawzięcie gryzmołił coś na kartce. Podał notatkę Pouponowi, od którego trafiła do Ducreta.

–Obawiam się, że to po prostu niemożliwe, panie Smith – ciągnął minister. – Jest pan wysoce inteligentny i z całą pewnością zdaje pan sobie sprawę, że takie zadanie przerasta nasze możliwości. Zostałem jednak upoważniony do zaproponowania panu, iż połowę uzgodnionej sumy, to jest piętnaście milionów dolarów, przekazemy jeszcze dziś, do godziny dziesiątej wieczorem. Z tego, co wiemy, jest to cała gotówka w walucie amerykańskiej, jaką mamy w kraju. Resztę ściągniemy ze Szwajcarii i z Luksemburga... ale to musi potrwać.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza. Wreszcie Smith uznał racje ministra.

–Dobrze, Ducret – powiedział. – Piętnaście milionów dolarów do dziesiątej wieczorem. Ale na zgromadzenie pozostałej części nie dam wam następnych dwunastu godzin. Musicie mi ją dostarczyć do rąk najpóźniej o czwartej nad ranem. To moje ostatnie ustępstwo. Zgoda?

–Chwileczkę, panie Smith – rzekł Ducret. – Rozłączę się na chwilę, muszę się naradzić z kolegami. – Spojrzał na Philpotta. – No i? Dlaczego tak mu zależy na czasie? Co mam mu odpowiedzieć?

Philpott na głos rozważał różne warianty – że Smith chce dostać pieniądze przed świtem, bo jego prądnice wyczerpią się nad ranem, i tak dalej... Nagle uderzyła go pewna myśl.

–Oczywiście, nie poruszyliśmy tu jednej kwestii, chociaż omawiałem ją z komisarzem Pouponem.

–Jakiej?

–W jaki sposób, na miłość boską, Smith zamierza opuścić bezpiecznie wieżę po odebraniu okupu, kiedy lasery przypuszczalnie będą wyłączone?

Ducret zastanowił się nad tym.

–Jeżeli pan nie ma żadnego pomysłu, to ja tym bardziej – wyznał. – Sądzę więc, że nie pozostaje nam nic innego, jak się zgodzić. – Połączył się z wieżą.

–Czekam, panie Ducret, choć moja cierpliwość ma swoje granice – rzekł Smith cierpko. – Czy dostanę, czego żądam?

–Tak, panie Smith – potwierdził minister. – Dostanie pan. – Odłożył słuchawkę.

Sabrina wyszła na taras, odetchnąć świeżym, powietrzem. Z naprzeciwka podszedł do niej Graham. Stanęli obok siebie, opierając łokcie na balustradzie.

–Jak na złodziejkę, jesteś niezwykle elegancka, Sabrino – odezwał się Graham spokojnie, zapalając papierosa.

Serce podeszło jej do gardła. Czyżby on wciąż się z nią drażnił? Czyżby nadchodził przełomowy moment? Teraz, kiedy Smith zdąży się jej jeszcze pozbyć, nim będzie miała okazję skontaktować się z Philpottem?

Zdobyła się na wymuszony uśmiech. Miała nadzieję, że wypadł dostatecznie marzycielsko.

–Och, dziękuję, Mike – rzuciła lekko. – Oczywiście, nie jest to moje jedyne hobby.

Graham wyszczerzył zęby.

–Wierzę. – Leniwie zaciągnął się papierosem. Oboje spoglądali na panoramę miasta.
– Dziwna sprawa – powiedział przeciągając słowa. – Mam, hm... – zawiesił głos.

–Słucham, Mike?

–Wiesz, mam takie dziwne wrażenie. Chodzi za mną, odkąd się poznaliśmy, i nie mogę się go pozbyć.

–Jakie wrażenie, Mike? – Ostrożnie, myślała, tylko ostrożnie. Trzeba to rozegrać z wyczuciem.

Graham spojrział na nią z uśmiechem.

–Wydaje mi się, że już się kiedyś spotkaliśmy – wycedził. – Gdzieś, kiedyś... To tyle. Nic poważnego, co?

–Tak, tak – przytaknęła nieco za szybko, starając się mówić naturalnie. – Całkiem możliwe, że kiedyś mnie widziałeś... choć szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żebyśmy się spotkali. Ale swego czasu pracowałam jako modelka, wiesz...

dziewczyna z okładek i tak dalej. Moje zdjęcia kursowały tu i tam. Ale to było okropnie nudne.

Graham milczał. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym z płuc.

–Tak, to możliwe – przyznał w końcu. – Choć moim zdaniem trochę to dla ciebie niebezpieczne, pokazywać twarz na okładkach „Vogue”.

Gorliwie pokiwała głową.

–Właśnie. Dlatego z tym skończyłam.

–Racja. Przyznaję, że raczej nie mogliśmy się spotkać. – Spojrzał na nią bystrym, taksującym spojrzeniem. – Z całą pewnością nie zapomniałbym takiej ślicznotki jak ty, gdybyś mi choćby rzuciła w przelocie: „Cześć!”

Sabrina zarumieniła się.

–Dziękuję uprzejmie – powiedziała ze sztucznym uśmiechem. Graham spojrzał jej w oczy. Po chwili odwrócił wzrok i wyprostował się, skupiony.

–Hej! – szepnął, wskazując na parking za linią otaczającą wieżę. – Zdaje się, że wyładowała piechota morska.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Na parkingu ustawiały się wojskowe ciężarówki, z których wysypywali się uzbrojeni żołnierze piechoty.

–Myślisz, że robi się gorąco?

Mike potrząsnął głową.

–Nie sądzę – odparł. – Zobaczymy, czy nasze granice są strzeżone jak należy.

Wyrzucił papierosa daleko przed siebie. Niedopałek przeleciał jakieś dziesięć metrów i zaczął opadać spiralnie w dół, gdy z góry mignął oślepiający biały błysk. Papieros zamienił się w popiół.

Claude bezszelestnie zaszedł ich od tyłu; podsłuchiwanie było jego nałogiem. Dotknął ramienia Grahama. Mike odwrócił się błyskawicznie.

–Uważaj z paleniem – poradził mu Francuz. – Może ci nie wyjść na zdrowie.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, spowijając wieżę w różową mgiełkę, działalność wojskowych na terenie parku wyraźnie się ożywiła. Wcześniej wzniesiono niskie ogrodzenie, otaczające niemal całą wieżę. Wyznaczało ono okrąg o promieniu dokładnie tysiąca metrów, licząc od środka wieży. Chwilowo nic więcej nie

przychodziło generałom do głowy.

Pomiędzy ogrodzeniem a szeregiem żołnierzy i wojskowych ciężarówek ustanowiono mniej więcej trzydziestometrowej szerokości pas ziemi niczyjej. Jedynym pojazdem na tym terenie była policyjna furgonetka.

Wyposażono ją tak, by spełniała funkcję centrum komunikacyjnego, z którego Philpott i komisarz Poupon mogli łączyć się z dowolnym miejscem – na przykład z wieżą czy z prezydentem USA. Zmiana stanowiska dowodzenia była pomysłem Philpotta, który – mając już powyżej uszu beczynności – postanowił wyjść na otwarty teren i jakimś sposobem dać Sabrinie i C.W. do zrozumienia, że musi się z nimi pilnie skontaktować.

–To Smith podsunął mi ten pomysł – wyjaśnił Pouponowi. – A ściślej mówiąc, jego wzmianka o tym, że nasi ludzie będą mogli bezpiecznie dostarczyć pieniądze na wieżę. Zakładałem, oczywiście, że wszyscy na wieży są jakoś zabezpieczeni, inaczej bowiem lasery spaliłyby każdego, kto zbliżyłby się do poręczy. Smith to potwierdził. Zakładam więc, że przede wszystkim C.W. postara się uciec albo przynajmniej skontaktować z nami. Jeżeli tylko jest zabezpieczony przed laserami, to zejdzie z tej wieży w góra dwie minuty i na pewno nie skończy tak jak one – wskazał na usmażone ciała ptaków, które wleciały w obszar kontrolowany przez lasery.

–Ale przecież zastrzelą go z wieży – zaprotestował Poupon.

Philpott uśmiechnął się.

–Nie, chyba że wyłączą lasery – powiedział. – One mogą równie łatwo strącać kule, jak ptaki. A Smith nie odważy się wyłączyć laserów. Wie, że wpadlibyśmy tam jak strzała.

Francuz pokiwał głową.

–Naturalnie. No, zawsze to jakaś szansa, nawet jeśli mizerna. Ale, jak mówisz, lepsze to niż siedzenie na tyłku w ministerstwie, co?

Philpott zachichotał.

–Ale nie spodziewaj się niczego przed zmrokiem. C.W. woli działać pod osłoną ciemności, choć jemu nie jest to tak potrzebne jak Sabrinie.

–A to dlaczego? – spytał Poupon, zaintrygowany.

Philpott znów zachichotał.

–On jest czarny jak as pikowy – wyjaśnił. – Na dobrą sprawę – ale, na miłość boską,

nie powtarzaj mu tego – C.W. Whitlock to rzeczywiście as.

Wyższy oficer policji zastukał z szacunkiem w drzwi furgonetki i wprowadził nadinspektora z Wydziału Inżynierii Urzędu Miasta Paryża. Wkrótce wszyscy siedzieli zatopieni w szczegółowych planach wieży Eiffla.

Słońce nareszcie zaszło; zdawało się, że odchodzi z oporem. Kiedy ostatnie złociste palce światła musnęły wieżę, ciemny cień przesunął się za schodami, łączącymi wysoko nad ziemią dwie części pajęczyny rusztowania. Dźwięk jakiegoś przedmiotu upadającego na metalową konstrukcję odbił się lekkim echem. C.W. położył się na poziomym dźwigarze i zamarł w bezruchu.

W furgonetce Sonia, Philpott i Poupon korzystali z resztek światła, by obserwować wieżę przez lornetki.

–Widzicie coś? – warknął Philpott.

–Nie – odrzekła Sonia. – To kilometry rusztowania. Zupełnie jak... sam zresztą wiesz.

–Wiem. – Philpott westchnął ciężko.

–Za chwilę będzie już ciemno – pocieszył go komisarz.

–Stokrotne dzięki – odparł cierpko Philpott, pochłonięty obserwacją wieży. – No, C.W., złociutki, spraw się – mruczał pod nosem.

Murzyn uznał, że niebezpieczeństwo minęło. Zaczął się wspinać po rusztowaniu, aż przywarł do dźwigara na wprost furgonetki. Od dawna już widział Philpotta i Sonię i nie musieli ponaglać go do nawiązania kontaktu, ale problem polegał na tym, by pod jakimś pretekstem wydostać się z restauracji i uwolnić ód wiecznie czujnego Claude'a. C.W. oświadczył w końcu, że musi wyjść „za potrzebą”, po czym wymknął się z toalety przez okno. To już było proste – wymagało jedynie opuszczenia się na czubkach palców z żelaznej wieży.

Teraz odpiął od kurtki metalową płytkę i wyciągnął ją przed siebie. Przez coraz gęściejsze chmury przeświecał jeszcze ostatni promień słońca. C.W. poruszył płytką, modląc się, żeby odbiła światło.

Sonia zauważyła szybki błysk.

–Jest! – krzyknęła. – Tuż pod drugim tarasem. Błysk światła! C.W. daje nam sygnał. Widzę go nawet... jako tako.

Philpott i Poupon przesunęli lornetki.

–Gdzie? – zapytał szef UNACO.

–Na wprost tych małych schodów, tuż przy wsporniku – odparła Sonia.

–Mam go! – rzucił Philpott. – Jezu Chryste, on nadaje wiadomość. Sonia, notes!

Palce C.W. poruszały się ze zdumiewającą sprawnością, lecz Philpott odczytywał wiadomość równie płynnie.

–Pisz – polecił Soni. – Niewiarygodne... środki... bezpieczeństwa... gównu, przegapiłem coś. Czekał... pani... Wheeler...na... razie... cała... wszyscy... rozbrojeni... oprócz... Smitha... i... przybocznych.

Nim zapadła ciemność, C.W. zdążył nadać wiadomość. Sonia odczytała ją bez tchu:

–Smith nie zdradził planu ucieczki, ale szkolenie obejmowało wszystko, od nurkowania z akwalungiem do chodzenia po linie. Mają też sześciopersonowy helikopter w Château Clérignault, nad Loarą – przerwała.

–Co dalej? – ponaglił ją Philpott.

–Nic – odrzekła. – To wszystko. Skończył w tym miejscu.

Philpott potarł brodę.

–Coś za szybko – mruknął. – Czyżby mu się coś stało?

Na ustach C.W. zamknęła się czyjaś ręka, wciągając Murzyna w cień za wspornikiem.

–Ani słowa! – wyszeptał Graham.

C.W. spojrzał w górę. Claude schodził po schodach z latarką w ręku. Zatrzymał się niecały metr od Grahama i C.W. i spojrzał na furgonetkę. Nie odrywając od niej oczu zagwizdał, po czym wzruszył ramionami i wrócił po schodach na drugi taras, skąd zjechał windą do restauracji. Przez cały czas gnębiła go nieobecność C.W., a teraz przyszło mu do głowy, że od dobrych dziesięciu minut nie widział także Grahama. Ani Sabriny.

Mike oderwał dłoń od ust C.W. i syknął:

–Twój anioł stróż uratował ci skórę.

W tej samej chwili złośliwy cios wylądował na jego szyi. Mike jęknął i zachwiał się. Nad jego głową Sabrina szykowała się do kolejnego ciosu.

C.W. powstrzymał jej opadającą rękę.

–Nie! Przed chwilą uratował mi życie.

–To jesteście kwita, bo ty właśnie uratowałeś jemu – stwierdziła Sabrina.

Graham ponuro masował kark.

–Jesteś teraz dużo twardsza niż wtedy, kiedy cię spotkałem pierwszy raz – zauważył. – Na tym kursie walki, który przeszłaś po moim wyjeździe, musiałaś się sporo nauczyć.

–Więc jednak mnie poznałeś! – Sabrinę zatkało ze zdziwienia.

Mike wyszczerzył zęby.

–Kto raz cię zobaczy, kotku... Czy mógłbym zapomnieć takie kształty?

Sabrina sposepniała.

–A teraz na czyj rachunek pracujesz, Mike? – zapytał C.W.

–Na swój – odparł Graham. – Ale praktycznie pracowałem na wasze konto.

–To po co udawałeś takiego wstrętnego, ponurego... – wybuchnęła Sabrina.

–Po to, żebyście mnie nie zabrali ze sobą, jak was nakryją i wykończą – odparował Mike.

Zapytał, czy Philpott odpowiedział na wiadomość od C.W. Agent UNACO wyjaśnił, że nie starczyło czasu.

–Szkoda – rzekł Graham. – W takim razie musimy radzić sobie sami.

–Masz jakiś plan? – spytała Sabrina.

–Mniej więcej. Musimy improwizować... grać *ad libitum*, rozumiecie? Powiem wam, jakie są moje plany, a potem niech lepiej każde z nas osobno wraca do restauracji, zanim Claude dostanie bzika.

Jeśli nie liczyć podejrzliwego spojrzenia Claude'a – który, na szczęście, nie podzielił się swoimi obawami ze Smithem – ich powrót na pierwszy taras nie wzbudził niczyjej ciekawości. Wrócili osobno – Graham, by dokończyć partyjkę z Tote i Pei, Sabrina zaś do dwóch ślicznych Japonek z Frakcji Czerwonej Armii, które były na bieżąco zorientowane w ostatnich trendach europejskiej mody. C.W. zagłębił się w fotelu i udawał, że śpi. Pół godziny później Smith, który odbył tymczasem krótką naradę z

Claude'em i Leah, wyszedł z sali. Po dalszych dziesięciu minutach C.W. powstał i oświadczył, że idzie poszukać czegoś, co bardziej przypomina łóżko. Nikt się nim nie zainteresował.

C.W. wjechał windą na drugi taras. Minął dwuosobowy patrol – strażnicy byli wprawdzie bez broni, ale mieli rozkaz trzymać oczy otwarte i meldować regularnie. C.W. obliczył, że wróca w to samo miejsce za jakieś trzy minuty.

Strażnicy wrócili punktualnie. Kiedy człowiek nie ma do roboty nic poza chodzeniem w kółko, to stawia sobie za punkt honoru, żeby robić to jak należy. Zaledwie odeszli, zwój liny, którą C.W. przemycił na wieżę w lodówce, poszybował w dół, opadając na pierwszy taras. Lina zwisała wzdłuż zagłębienia w pionowej belce i – jeśli nie liczyć wybruszenia węzła na poręczy – była niewidoczna dla ludzi na wieży, chyba że ktoś wychyliłby się za balustradę. C.W. zacisnął węzeł i zaczął opuszczać się po linie.

Pierwszą, a zarazem najważniejszą częścią planu Mike'a Grahama było uwolnienie pani Wheeler. Gdyby się to powiodło, to jedynym zmartwieniem byłoby już tylko siedem tysięcy ton żelastwa. C.W., wisząc na cienkiej linie, centymetr po centymetrze zbliżał się do salonu dla gości honorowych.

Dotarł do okna salonu. Jak się spodziewał, ujrzał tam panią Wheeler. Siedziała w fotelu z posępną twarzą, spoglądając w głąb pokoju. W chwili, gdy C.W. zamierzał zastukać w szybę, by przyciągnąć jej uwagę, pani Wheeler otworzyła usta i odezwała się. Wyglądało to tak, jakby rozmawiała sama ze sobą.

Jak na zamówienie, pojawił się Smith. Kierował się w stronę okna, ale patrzył na panią Wheeler. C.W. zamarł, lecz już po chwili przesunął się ostrożnie po rusztowaniu, starając się zejść z widoku. Nagle pani Wheeler spojrzała na okno; jej wzrok padł na C.W. Nie dając po sobie nic poznać, odwróciła głowę i spojrzała Smithowi prosto w oczy, przykuwając jego wzrok.

–Chciałbym tylko panią przekonać – mówił Smith – że pani szczerza odezwa do władz przyśpieszyłaby bieg spraw i pozwoliła uniknąć nader prawdopodobnego rozlewu krwi, jak również zagwarantowałyby pani wolność. Nie wymagam, żeby pani kogoś zdradzała, a już na pewno nie siebie samą... po prostu chciałbym, żeby jeszcze raz wystąpiła pani przed kamerami lub porozmawiała przez telefon.

Pani Wheeler wyprostowała się z godnością.

–Wszelka myśl o tym, że miałabym błagać o własne życie jest mi z gruntu wstrętne, panie Smith – oświadczyła. – Mam wnuki, wychowałam syna, który został prezydentem Stanów Zjednoczonych, i nie zniżę się do tego, by iść na rękę takiemu barbarzyńcy jak pan. Jeżeli chce pan dostać pieniądze, musi pan sobie radzić beze mnie. To moje ostatnie słowo.

–W razie konieczności potrafię być wyjątkowo natarczywy – rzekł Smith.

Adela Wheeler roześmiała się, szczerze ubawiona.

–Miażdżenie palców? – zakpiła. – Łamanie kołem, zrywanie paznokci? A może tortura zwana „strappado”? Doprawdy, panie Smith, na taką dziecinadę jestem i za stara, i za bardzo uparta. Niech pan więc zmyka i straszy kogoś w pańskim wieku.

C.W. oparł się na dźwigarze, by ulżyć naprężonym mięśniom, i puścił linę. Nie wziął jednak pod uwagę, że wiatr przybrał na sile – właściwie wzmacniał się już od zachodu słońca, lecz C.W. nie zauważył tego, zaabsorbowany innymi sprawami. Gwałtowny podmuch porwał linę, która uderzyła w metalową ścianę salonu.

Smith odwrócił głowę niczym atakujący wąż.

–Panie Smith! – Adela Wheeler huknęła na niego władcym tonem. – Kazałam panu wyjść! Nawet więźniowie mają chyba prawo do chwili spokoju. Żegnam! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Smith najwyraźniej uznał, że hałas na zewnątrz jest nieistotny. Spojrzał wyzywająco w oczy pani Wheeler i skłonił się drwiąco.

–Madame – powiedział z kurtuazją – rozumiem teraz, jak doszło do tego, że jest pani matką prezydenta... i w jaki sposób prezydent Wheeler stał się takim człowiekiem, jakim jest. Do rychłego zobaczenia. – Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Przez całe długie dwie minuty pani Wheeler siedziała nieruchomo, mając nadzieję, że człowiek za oknem postąpi tak samo.

Jej wrodzona podejrzliwość została nagrodzona. Smith bezszelestnie wrócił pod salon i zerknął przez szklane drzwi – najpierw na panią Wheeler, potem na okno. Adela czuła, na sobie jego przeszywające spojrzenie, ale niczym nie dała tego po sobie poznać. Oparła się wygodnie, splotła ręce na kolanach i zamknęła oczy. Smith tymczasem ani na moment nie spuszczał wzroku z okna. Stał tam jeszcze przez półtorej minuty, po czym oddalił się, usatysfakcjonowany.

C.W., który ponownie chciał dać znak pani Wheeler, ujrzał w lustrze nad jej fotelem odbicie twarzy Smitha. Zacisnął dłonie na linie i przywarł do rusztowania, aż poczuł, że niemal wtapia się w szkielet wieży. Było to bolesne, za to skuteczne.

Adela Wheeler westchnęła głęboko, żwawo podeszła do okna i otworzyła je.

–W porządku – zawołała. – Ten straszny człowiek już sobie poszedł.

C.W. podciągnął się na parapet, przywiązał linę do rusztowania i wszedł do salonu.

Spiralne żelazne schody, przedzielone kilkoma podestami, łączyły pierwszy i drugi taras wieży. Wszędobyłski Claude, nie mogąc zlokalizować rzekomo śpiącego Murzyna, ponownie wjechał windą na drugi taras, by sprawdzić, co się tam dzieje. Przez ramię miał przewieszony karabin.

Obszedł teren, porozmawiał z komandosami z patrolu i całkiem niepotrzebnie – przykazał im trzymać oczy otwarte. Kiedy komandosi ruszyli na dalszy obchód, podszedł do balustrady i wyjrzał. Oprócz świateł na pierwszym tarasie i lamp, na terenie obozowiska żołnierzy w ogrodach pałacowych, wszędzie panowała ciemność. Wyglądało na to, że gapie nareszcie się rozeszli. Strefę zagrożenia, rozciągającą się w promieniu tysiąca metrów od wieży, wyznaczały teraz latarnie oraz skombinowana naprędce siatka podłączona pod prąd, której pilnowały oddziały policji.

Claude uśmiechnął się. Miał zdecydowanie dobre samopoczucie, przynajmniej do chwili, gdy usłyszał wyraźny dźwięk liny C.W., uderzającej na wietrze w żelazne rusztowanie. Zdjął z ramienia karabin, odciągnął bezpiecznik i ostrożnie ruszył w dół po schodach.

Mike Graham, stojąc na schodach w połowie drogi między pierwszym a drugim tarasem, nie tyle usłyszał, co poczuł, że ktoś nadchodzi. Błyskawicznie przemknął się na rusztowanie i ukrył za wspornikiem po zewnętrznej stronie wieży, żałując, że nie ma przy sobie pistoletu, noża, jakiegokolwiek broni. Kiedy Claude go minął, szybko wrócił na schody.

Claude schodził po omacku, przeklinając się w duchu za to, że nie zabrał latarki. Nagle ujrzał linę. Widział ją całkiem wyraźnie, zwisającą swobodnie i kołysaną podmuchami wiatru, zawodzącego pośród ażurowej konstrukcji wieży. Claude stanął na poziomej belce i spojrzał w dół. Zdawało mu się, że dostrzega coś na końcu liny. Uniósł karabin i wycelował, naciskając powoli na spust.

Graham rzucił się ze schodów, z impetem spadając na plecy Francuza. Claude krzyknął i wypuścił broń z ręki.

Karabin odbił się od belki i poleciał w dół. Nad nimi Lap-laser drgnął, rozjarzył się i wysłał za karabinem oślepiającą wiązkę światła. W pół sekundy stalowy karabin zamienił się w popiół.

Claude poderwał się wściekle i zwał z napastnikiem, który go storpedował. Trafił swój na swego. Szczepieni ze sobą, walczyli w milczeniu na wyjąłym wietrze.

Mike założył Francuzowi chwyt na szyję. Nagle Claude całkowicie rozluźnił mięśnie. Mike odruchowo zwolnił na moment uścisk. Claude wyrwał się i skoczył na niższy podest – ostatni przed pierwszym tarasem.

Odwrócił się do Grahama. Stanął w klasycznej postawie savate – francuskiej

odmianie karate – i skinął ręką na Mike’a.

–Venez, venez – syknął. – Chodź, kurduplu, już ja ci dam popalić!

Mike wskoczył na podest, lecz zatrzymał się. Widział, jak Claude demonstrował kiedyś swój kunszt w technikach nożnych francuskiego savate. W tym, oraz w chińskich sztukach walki, Claude nie miał sobie równych w całej Francji.

Gdyby choć jedno zabójcze kopnięcie Francuza dosięgło celu, Grahama czekałby krótki lot z wieży... i pewna śmierć.

Rozdział 10

W szerokim rozkroku, na palcach, Claude zbliżał się do Grahama. Mike skulił się i ustawił bokiem do niego, by – według klasycznych zasad judo – stanowić jak najmniejszy cel. Claude nacierał całkowicie wyprostowany, z rękami odsuniętymi od tułowia pod kątem trzydziestu stopni i wyprostowanymi palcami. Ciałem i duchem przygotowywał się do kopnięcia z wyskoku – najbardziej typowej techniki stylu savate.

Za całe oświetlenie służył im mroczny odblask światła z pierwszego tarasu, księżyc oraz fosforyzująca mgiełka, jaka unosi się nad każdym wielkim miastem. Pierwsze kopnięcie wystrzeliło znikąd. Było tak szybkie, że Mike nawet nie zdążył wyczuć, że nadchodzi, choć wiedziony przecuciem rzucił się w bok. Cios trafił go w górną część prawego ramienia; Graham miał wrażenie, że rąbnął go młot pneumatyczny.

Syknął z bólu i z powrotem wskoczył na podest. Gwałtowne podmuchy wiatru zdawały się szydzić z niego, zmuszając go do odgarniania z oczu rozwianych włosów, jak gdyby opędzał się od nacierających ze wszystkich stron demonów. Ale demon był tylko jeden, na wprost niego, i baletowymi ruchami przygotowywał się do ostatecznego, śmiertelnego ataku, który raz na zawsze zakończy walkę.

Mike pomasaował prawe ramię, wiedząc, że za pierwszym razem miał szczęście – Claude celował w jego brzuch, on zaś przykucnął bezwiednie ułamek sekundy wcześniej.

Teraz Claude wymierzył cios w kolano – najbliższą część ciała Mike'a, który znów przybrał pozycję obronną. Francuz złożył swe stalowe ciało w znak zapytania, podskoczył na trzydzieści centymetrów, odchylił się do tyłu tak, że zawisł w powietrzu niemal poziomo, i wyrzucił do przodu nogę.

Tym razem Graham był przygotowany. Odgadł, gdzie nastąpi atak, umknął w bok i rzucił się do przodu, wymierzając złośliwy cios ręką w wyciągniętą nogę Francuza.

Ale nogi Claude'a już tam nie było. Francuz wykonał salto i drugą nogą wyprowadził do tyłu śmiertelny cios. Kopnięcie doszło celu – trafiło Grahama w goleń. Nie miało już jednak tej siły, co poprzedni atak, i jedynym jego efektem była krwawa pręga na nodze Amerykanina.

Claude ponownie zwinął swe ciało i, rozpościerając ramiona niczym gimnastyk, idealnie wylądował na podeście w półprzysiadzie, ze złączonymi stopami. Graham, powodowany poczuciem bezsilności i zwykłą wściekłością, rzucił się na niego, celując nogą w na pozór odsłonięty tułów Claude'a. Francuz roześmiał się, wykonał salto do tyłu i opadł na podest, gotów do zadania ciosu.

Mike powtórzył atak, przekonany, że większa waga ciała i rozpęd nadadzą mu impet, którego Claude nie wytrzyma... ale Francuz tylko czekał na taką okazję.

Z triumfalnym okrzykiem oderwał się od metalowej podłogi, wyprowadzając kopnięcie, którego miało być coup-de-grâce, ostatecznym posunięciem w tej nierównej walce.

Świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa poraziła mózg Grahama, natychmiast paraliżując jego nierozważny atak. Claude zadawał już cios, mający zapewnić mu druzgocące zwycięstwo – kant stopy ze straszliwą siłą miał trafić w serce Mike'a, zabijając go na miejscu i zrzucając jego zwłoki przez pajęczynę metalowych belek na betonowy chodnik pod wieżą.

Wyprowadził kopnięcie precyzyjnie, wkładając w nie nawet więcej siły, niż potrzebował na zadanie śmiertelnego ciosu... ale minął się z celem o pięć centymetrów. Po prostu Grahama nie było tam, gdzie powinien być po swoim gwałtownym skoku.

Claude upadł na plecy. Jego ręce przejęły na siebie główny impet wstrząsającego upadku. Gwiazdy stanęły mu w oczach, a jego pierwszym wrażeniem po otrząśnięciu się z szoku był Grahama, który spadł na niego jak rozszalały niedźwiedź. W działaniu Mike'a nie było nic z wyrachowania czy finezji – był to skok na oślepa, który zapewnił mu to, o czym najbardziej marzył: bezpośredni kontakt z Francuzem, poza zasięgiem jego straszliwych nóg.

Mike wbił kolana w brzuch Claude'a, pozbawiając Francuza tchu. Poderwał go na nogi i oburącz wyrzwał pięściami w twarz. Claude zatoczył się, oparł plecami o poziomą belkę, przytrzymał się jej i wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy Mike odsunął się z przerażeniem, dając pole do popisu jego nogom.

Ale Claude nie miał już tego idealnego poczucia równowagi, tak niezbędnego dla jego stylu walki. Kant belki wbijał mu się w krzyże, niemal przecinał go na pół. Głowa i górna część tułowia Francuza wystawały za fasadę wieży, kiedy celował prawą nogą w Mike'a.

Grahama przyjął cios w brzuch niemal z pogardą, a broń Claude'a nagle przestała się liczyć. Mike przemknął pod drugą nogą Francuza i splótł się z nim w uścisku, siłą rozpędu przyciskając jego boleśnie przegięte ciało do żelaznej belki.

Z premedytacją wyciągnął rękę i spokojnie zerwał mu z piersi metalową płytkę ochronną.

Claude spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego. Zamarł, sparaliżowany w bezruchu, gdy światło księżyca padło na Lap-laser, zamontowany piętnaście metrów nad nim. Detektory lasera wykryły na swoim terenie obcy, nie chroniony obiekt, i

wiązka oślepiająco białego światła przeszła serce Francuza.

W restauracji Smith i Pei stali przy pulpicie sterowniczym komputera. Pei oznajmił, że Lap-laser oddał strzał. Na własne oczy widział serię świecących punkcików, przelatujących przez ekran pulpitu. Był to niezbity dowód, że któryś Lap-laser wystrzelił.

Smith uważnie wpatrywał się w ekran. Może był to ptak... a może coś znacznie groźniejszego. Nagle na ekranie znowu pojawiły się pulsujące światelka – świadectwo śmierci Claude'a Légère.

–Jest! – krzyknął Pei. – Wystrzelił dwa razy.

–Podaj mi pozycję – rozkazał Smith. – Byle dokładną.

Kipiąc gniewem, zszedł z podium i zwołał swoich najbliższych współpracowników. Nigdzie nie widział Claude'a. Pośpiesznie ruszył do wyjścia, chcąc rozejrzeć się na zewnątrz, i niemal zderzył się w drzwiach z Leah, która właśnie wracała do restauracji.

–Gdzie Claude? – rzucił ostro.

Leah odparła, że myślała, iż jest z nim w restauracji.

–Gdyby tu był, to bym o niego nie pytał! – ryknął Smith. – Jak nie masz lepszych pomysłów, to wezwij go przez krótkofalówkę.

Leah szybko podeszła do nadajnika i wysłała sygnał, który Claude powinien odebrać na swojej krótkofalówce. Odpowiedzi nie było. Ponownie nadała sygnał. Smith podszedł do niej i odsunął ją bezceremonialnie. Sam pokręcił gałkami aparatury.

–Dlaczego on nie odpowiada? – warknął przez zaciśnięte zęby.

–Może...

–Może co?!

–Może... może coś mu się stało – szepnęła Leah.

Sabrina przemykała się po rusztowaniu wieży jak mucha. Wokół pasa miała przewiązany zwój liny. Kiedy zeskokczyła lekko na podest, gdzie miała się spotkać z Grahamem, ujrzała go, jak ciągnie ciało Claude'a.

–Co się stało? – wysapała. – Nic ci nie jest?

Mike podniósł wzrok i zagwizdał z ulgą.

–Chryste Panie, miło oprzeć na tobie oko w takiej chwili – powiedział. – Wdałem się w awanturę z Claude'em i musiałem się uciec do, hm, drastycznych środków, żeby mnie nie skopał na śmierć.

Sabrina spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Mike otworzył dłoń i pokazał jej metalową płytkę. Szybko wciągnęła powietrze i oświetliła latarką twarz Claude'a, a potem całe jego ciało.

–O Boże! – jęknęła.

–Nie masz się co litować nad nim – szepnął Mike. – Próbował mnie zabić. Lepiej pomóż mi się go pozbyć.

–Gdzie jest C.W.? – spytała.

–Myślę, że nadal siedzi w salonie z panią Wheeler – odparł. – A bo co?

Sabrina odwinęła linę z kształtnych bioder

–Poślijmy mu prezent – powiedziała.

Mike uśmiechnął się i z powrotem przypiął metalową płytkę do ubrania Claude'a. Przewiązali zwłoki liną, ułożyli je na poziomej belce i opuścili powoli wzdłuż fasady wieży.

Mike wyjrzał na promień światła, padający z okna salonu.

–Jeszcze kawałek – rzekł. Popuścili linę, aż w końcu Graham powiedział: – Dość. Tyle starczy.

Na widok wiszących za oknem zwłok Adela Wheeler zakryła usta ręką.

–Dobry Boże! – krzyknęła. – A to co?

C.W. szybko zerknął na okno.

–Oho, chyba ktoś miał kłopoty – powiedział. Przeszedł przez pokój i przyjrzał się zwłokom z bliska. – Ale to nic w porównaniu z kłopotami, jakie miał nasz biedny stary Claude – mruknął. Skinął ręką na panią Wheeler. – Pilnuj drzwi, złotko. Mamy nieproszonego gościa. – Otworzył okno i wciągnął zwłoki do salonu.

W tej samej chwili z głośników doleciały słowa Smitha:

–Mówi Smith. Cały personel natychmiast ma się stawić w restauracji.

Sabrina puściła koniec liny i razem z Grahamem schowała się w cieniu wsporników, kiedy dwaj komandosi z patrolu na drugim tarasie, rezygnując z windy, ze stukotem zbiegli po schodach na dół. Po chwili ona i Mike ruszyli w ich ślady.

Dołączyli do szeregu komandosów w restauracji. Smith szybko policzył coś w pamięci.

–Zgadza się – warknął. – Czy w ciągu ostatnich piętnastu minut ktoś z was widział Claude’a Légère?

Odpowiedziały mu puste spojrzenia i potrząśnięcia głowy.

–A C.W.?

Znów przeczące odpowiedzi. Smith przyjrzał się bacznie wszystkim zebranych. Nieco dłużej zatrzymał wzrok na Sabrinie i Grahamie.

–Na wieży nie ma takiego miejsca, z którego nie mogliby usłyszeć mojego wezwania – powiedział powoli. – Wy wszyscy usłyszeliście mnie doskonale. A więc albo nie ma ich na wieży – co jest zupełnie nieprawdopodobne – albo coś im się stało. Macie ich odszukać. Natychmiast.

Smith rozdzielił między komandosów zadania. Ostatnie polecenie skierował do Grahama: ma pójść razem z nim do salonu dla gości honorowych, sprawdzić, co słychać u pani Wheeler. Leah posłusznie podreptała za Grahamem, Sabrina zaś, której zlecono przeszukanie terenu sąsiadującego i salonem, ruszyła za nimi w pewnej odległości. Obeszli taras i dotarli do salonu. Tote trzymał wartę przed drzwiami.

–Dlaczego nie przyszedłeś na moje wezwanie? – warknął Smith.

–Miałem zejść z posterunku? – zapytał Tote z wystudiowaną bezczelnością. Smith nastroszył się, lecz postanowił puścić płazem zarówno bezczelność, jak i brak formułki „panie Smith”. W głębi duszy musiał przyznać, że z upływem czasu jego ludzie zwracają się do niego coraz swobodniej, co może grozić utratą kontroli. Inna sprawa, że Tote postąpił słusznie, zostając na warcie.

–Wszystko w porządku? – zapytał.

–Odkąd tu stoję, nikt się nie zbliżał – burknął Fin, Smith kazał mu otworzyć drzwi.

Fotel Adeli Wheeler stał zwrócony w stronę okna, tak że widzieli tylko jej splecione na kolanach ręce, kształtne kostki i stopy w zgrabnych wysokich bucikach. Nie widzieli natomiast jej włosów i twarzy, wciśniętych w miękką poduszkę na oparciu fotela. Wydawało się, że pani Wheeler śpi, co – nie wiadomo dlaczego –

rozwścieczyło Smitha.

–Pilnuj drzwi, Graham – rozkazał. – Leah, obudź ją. Jej widok działa mi na nerwy.

Mike stanął w otwartych drzwiach z rękami założonymi do tyłu. Nagle zeszywniał i otworzył szeroko oczy, kiedy drzwi samorzutnie przesunęły się tak, że klamka znalazła się w jego dłoni. Naparł na nie lekko, ale napotkał solidny opór.

Leah nie widziała jeszcze twarzy pani Wheeler.

–Nie śpi pani? – zapytała, a nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzyła głośniejszym głosem: – Pani Wheeler, pytam, czy pani nie śpi?

Nachyliła się i potrząsnęła aksamitną poduszką, która wysunęła się i sturlała po ramieniu skulonej postaci. Pozbawiona podparcia głowa Claude'a opadła na bok. Jego martwe, pełne bólu oczy spoglądały na dziewczynę.

Leah zaczęła krzyczeć histerycznie. Widok zwłok odzianych groteskowo w strój wizytowy, pończochy i eleganckie buciki starszej pani kompletnie ją załamał. Nawet Tote syknął nad jej ramieniem i sypnął przekleństwami.

Smith podbiegł do nich. Na jego czole świeciły kropelki potu. Obrzucił wzrokiem zwłoki i spojrzął na okno. Leah krzyknęła ponownie. Smith zamachnął się i na odlew uderzył ją w twarz.

–Teraz! – szepnął Graham i odsunął się od drzwi.

–Dzięki, stary – odszepnął C.W. Wyśliznął się z pokoju w towarzystwie pani Wheeler, ubranej w buty i garnitur Claude'a z przypiętą na piersi metalową płytką ochronną.

–Zamknij się, idiotko! – ryknął Smith. Leah zaczęła popłakiwać. Smith i Tote podeszli do okna. Fin wskazał na coś ręką.

Ze wspornika zwisała cienka lina. Smith otworzył okno na oścież i wystawił głowę na zewnątrz. Nie zauważył niczego podejrzanego – żadnego ruchu, żadnego zdradzieckiego błysku światła. Wytężył słuch... nie usłyszał żadnych kroków na metalowym rusztowaniu.

Odwrócił się do Grahama. Twarz miał zlaną potem, piana wystąpiła mu na usta. Przeniósł dziki wzrok z Grahama na Leah i Tote, a później na Claude'a. Przecież to niemożliwe, absolutnie niemożliwe, żeby jego plany mogły wziąć w łeb.

–Kimkolwiek jesteś, słyszysz mnie? – mruknął pod nosem. – To niemożliwe!

Graham spojrział na niego i uniósł brwi. Smith stracił panowanie.

–Jazda! – ryknął piskliwie. – Szukać ich! Przeszukać wszystko, wszystkich!

Odwrócił się do Tote i chwycił go za koszulę pod szyją.

–Mówisz, że podczas twojej warty nikt tu nie wchodził ani nie wychodził?

Tote skinął głową w milczeniu.

–To jak ona się stąd wydostała? – zapytał Smith lodowatym tonem.

Fin wskazał na okno.

–Niemożliwe – zaprotestowała Leah. – W jej wieku? Na miłość boską, przecież to nie alpinistka.

–Ona nie, ale C.W. tak – rzekł Tote. – On wszędzie potrafi się wspiąć... i zejść dosłownie ze wszystkiego.

Smith zaklął w języku, którego – jak sądził – nikt z nich nie rozpozna. Podeszedł do kanapy i rzucił z niej poduszki.

–Tu musi coś być! – krzyknął. – Musi! – Podbiegł do szafki, otworzył drzwiczki i wyrzucił z niej ręczniki, obrusy i serwetki. Pozostała trójka stała w miejscu jak przykuta. Wreszcie Leah podeszła do Smitha i położyła mu dłoń na ramieniu.

–*Liebchen*, uspokój się – powiedziała. – Przestałeś być sobą. Opanuj się i zacznij myśleć. Wszyscy na tobie polegamy... tylko na tobie.

Pochlebstwo odniosło leczniczy skutek. Smith odetchnął głęboko; wściekłość powoli zniknęła z jego oczu. Oblizął wargi i wziął się w garść, uspokajając oddech i prostując ramiona.

–Masz rację, Leah – przyznał. – Nie czas na histerie. Trzeba podejść do tego metodycznie. Oni są jeszcze na wieży. Znajdziemy ich. Graham, Tote... jeżeli ujrzycie Whitlocka, macie go zastrzelić na miejscu. Nie chcę wiedzieć, dla kogo on pracuje. Chcę tylko zobaczyć jego zwłoki. Ale żadnej pomyłki... pani Wheeler prawdopodobnie nosi ubranie Claude'a i w ciemnościach możecie ją wziąć za czarnego. Uważajcie. Do roboty! Ściągnijcie ludzi do pomocy. Wszyscy mają ich szukać!

Graham i Tote szybko wyszli z salonu – Graham, by odszukać C.W., Tote zaś ruszył po Pei, który pełnił dyżur przy telefonie. Po drugiej stronie tarasu jakaś ciemna postać w mundurze polowym wynurzyła się z cienia. Smith zatrzymał się w drzwiach

salonu i wycelował pistolet maszynowy.

–Kto idzie? – zapytał. – Podejź, albo strzelam! Wiesz, że tutaj lasery nie dosięgną kul.

Sabrina weszła w krąg światła, trzymając w ręku jakiś metalowy przedmiot.

–Nie wiem, co tu się dzieje, ale znalazłam to tam, przy poręczy – skinieniem głowy wskazała za siebie. Podała Smithowi wąskie metalowe pudełko. Była to krótkofalówka Claude'a.

Graham nie uszedł nawet trzech metrów, kiedy z cienia rzucanego przez otwarte drzwi pokoju sąsiadującego z salonem doleciał go szept C.W.:

–Co dalej?

Mike okręcił się na pięcie. Zobaczył, że Smith i Leah pochłonięci są oględzinami krótkofalówki, jak gdyby mogła przemówić i wyjawić im tajemnicę śmierci Francuza.

–Chodźcie – powiedział cicho. – Byle szybko.

C.W. i Adela Wheeler poszli za nim, skutecznie ukryci za jego plecami przed wzrokiem grupki przy balustradzie. Wrócili do salonu. C.W. zgasił światło, Mike zaś zamknął za nimi drzwi na klucz. Pożałował tego natychmiast – drzwi powinny być zamknięte od wewnątrz, a C.W. powinien mieć klucz przy sobie.

Wrócił pod salon, lecz Smith odszedł nagle od balustrady i stanął obok niego.

–Zamknąłeś? – zapytał Mike'a. Graham skinął głową. – To dobrze – stwierdził Smith, wyciągając klucz z zamka i chowając go do kieszeni. – Wiemy z całą pewnością, że pani Wheeler tam nie ma. Ale poza tym pokojem będziemy przeszukiwać każdy centymetr kwadratowy wieży, dopóki jej nie znajdziemy, choćbyście musieli wrywać nity gołymi rękami.

Mike ze ściśniętym gardłem zerknął szybko na drzwi salonu.

–Na co czekasz? – warknął Smith. – Do roboty!

Graham odwrócił się i zdesperowany wrócił do restauracji. Niewiele mógł zdziałać; pozostawała mu tylko nadzieja, że później wydostanie jakoś klucz z rąk Smitha.

Tymczasem jednak C.W. i Adela Wheeler byli w pułapce.

Matka prezydenta i czarny agent UNACO przykucnęli za kanapą, która niedawno była obiektem ataku Smitha, kryjąc się przed wzrokiem ludzi, zerkających w przelocie przez szklane drzwi.

–Ma pan jakiś pomysł, panie Whitlock? – zapytała łagodnie pani Wheeler.

–Mam – odrzekł C.W. – Dopóki nikt nas nie niepokoi, skontaktuję się z moim szefem.

Sklecił osłonę, zakrywając żarówkę z trzech stron i włączył kontakt. Z żarówki sączył się jedynie cienki promyk światła... za to skierowany w stronę okna. C.W. wiedział, że Philpott czeka na taki znak.

Sonia Kolchinsky leżała na brzuchu na dachu furgonetki. Oparła ciężar ciała na łokciach, szukając wygodniejszej pozycji, i uniosła lornetkę do oczu. Nagle krzyknęła.

–Co jest? – odkrzyknął Philpott z samochodu.

–Na wieży miga jakieś światło – odparła. – To chyba wiadomość... tak jest, to C.W.

Philpott i Poupon wyskoczyli z samochodu i spojrzeli na nią z niepokojem.

–Co nadaje? – zapytał Philpott.

–Chwileczkę, właśnie powtarza – odrzekła Sonia. – Mamy... nowego... sprzymierzeńca... Graya? Nie... Grahama... To Mike Graham! – krzyknęła z ożywieniem. – A jednak jest po naszej stronie.

Philpott wydał głębokie westchnienie ulgi.

–Czyli że Sabrina jest cała i zdrowa. – Uśmiechnął się szeroko do Poupona. – Mamy tam niezły zespół. Możemy jeszcze wygrać, Poupon, stary byku. Jeszcze możemy wygrać.

–To nie koniec – przerwała mu Sonia. – Spróbujemy... wydostać... panią... Wheeler – przetłumaczyła powoli. – Czy... możecie... zorganizować... zaraz... dywersję... znak zapytania. Proponuję... wypłacić... pierwszą... część... okupu. Możliwe... znak zapytania.

Philpott gorączkowo odwrócił się do komisarza.

–Czy to możliwe? Musi być możliwe! Kto wie, czy to nie jedyna szansa uratowania pani Wheeler. A jeżeli ktokolwiek może ją wydostać z tej cholernej wieży, to właśnie C.W. Załatw to, Poupon. Odmowy nie bierz nawet pod uwagę.

Komisarz sięgnął po telefon.

–Nic się nie martw, przyjacielu – zapewnił Philpotta. – Oni tańczą tak, jak Poupon im zagra. Halo, halo! Sala konferencyjna? Dajcie mi ministra finansów. Macie na to

dziesięć sekund.

Smith krążył po restauracji, w jednej dłoni ściskając krótkofalówkę, a w drugiej szpicrutę, którą ktoś zabrał z zamku. Zdawało się, że wymachiwanie nią przynosi mu ulgę. Od czasu do czasu uderzał silnie w blat lub w oparcie krzesła. Graham tkwił przy telefonie, odbierając sprawozdania, a Sabrina i Leah Fischer obsługiwały krótkofalówki, zapisując coś pośpiesznie w notesach.

–Jest jakiś ślad? – zapytał Smith zrzędlawie. Mike zaprzeczył ruchem głowy. Leah oderwała palec od przycisku krótkofalówki i zareagowała tak samo jak Graham.

–Jak to się stało, że C.W. prześliznął się przez naszą kontrolę? – zastanawiał się Smith gorączkowo. – To złodziej, złodziej o międzynarodowej reputacji... przestępca doskonały. Dla kogo on może pracować? Kto mógłby mu zapłacić więcej niż ja? Chyba że...

–Chyba że co? – spytała Leah.

–Chyba że to nie C.W. Whitlock, a jakiś inny czarny.

–Nie – zaprzeczyła Leah zdecydowanie. – Odciski palców, głos, zdjęcia... sprawdziliśmy wszystko. Nie wiem, dlaczego on robi to, co robi, ale to Whitlock. Daję głowę.

Smith uśmiechnął się złowieszczo.

–Kto wie, Leah, może będziesz musiała dać za to głowę. Whitlock poszedł na takie ryzyko, kiedy Graham rzucił mu wyzwanie z tą płytką ochronną. Czy dla ciebie także mamy wymyślić jakiś test, moja droga?

Dziewczyna poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. To ona, a nie Smith, zatwierdziła kandydatury pięciu głównych członków ekipy. Komputer nie miał wątpliwości, że są tymi, za których się podają. Tyle tylko, że komputer nie mógł czytać w ich myślach. A jeżeli niektórzy z nich – czy wszyscy – są agentami jakiegoś wywiadu, a nie tylko przestępcami? Była to przerażająca perspektywa i Leah szybko odrzuciła tę myśl.

–Wie pan, że zawsze może pan na mnie polegać – szepnęła ochryplym głosem. – Przecież nigdy pana nie zawiodłam, prawda?

Smith potrząsnął głową.

–Prawda, ale tym, którzy mi służą, wolno popełnić tylko jeden błąd – powiedział. – A ty może go właśnie popełniłaś. Okaze się... to się jeszcze okaże.

Zszedł z podium na podłogę i obojętnie zaczął krążyć między Leah i Sabriną,

Sabriną i Grahamem, Grahamem i Leah... W końcu zatrzymał się przed Sabriną.

–Zdaje się, Sabrina, że byłaś – jak by to powiedzieć – w przyjacielskich stosunkach z C.W.? Może trochę za bardzo „przyjacielskich”, nie sądzisz, moja droga? – Dotknął jej twarzy końcem szpicruty, głaszcząc ją rzemienną pętlą po policzku, ustach, drugim policzku i przesuwając rączkę bata po jej nosie, do podbródka.

Było to denerwujące przeżycie. Sabrina stała zahipnotyzowana jak królik obezwładniony błyszczącymi, paciorkowatymi oczami węża.

–Proszę mnie tak nie dotykać – wyszeptała bez tchu. – Ja pana nie zdradziłam. Daję słowo.

Smith odsunął szpicrutę. Dziewczyna rozchyliła wargi w niepewnym westchnieniu ulgi.

–Panie Smith – wtrącił się Graham. Smith odwrócił się do niego. – Ja też myślałem o Sabrinie i C.W. – ciągnął Mike. – Po tym, jak pan powiedział, że bliskie kontakty są niewskazane. Od tej pory śledziłem każdy jej krok jak cień. Jest czysta. Może to i szkoda, ale jest czysta.

Smith odszedł od Sabriny i znów zaczął krążyć po sali.

–A może... może – mruczał pod nosem.

Nagle okręcił się na pięcie i trzasnął szpicrutą w blat stołu. Leah podskoczyła jak oparzona; Sabrina wzdrygnęła się mimowolnie. Nawet Graham zamrugał ze zdziwieniem.

–Szukajcie ich! – ryknął Smith. – Musimy ich znaleźć!

Poupon odwrócił się triumfalnie do Philpotta.

–*Alors*, to było proste, *mon ami* – wskazał na telefon. – Pierwszą część okupu wypłacą za pięć minut. Właśnie dzwonią do Smitha.

Philpott wychylił głowę z furgonetki.

–Słyszałaś, Sonia? – zapytał.

–Tak – potwierdziła.

–Przełącz to C.W. – polecił Philpott. – I powiedz mu, że witamy Grahama w naszej organizacji.

–Jasne – odrzekła Sonia. Zaczęła wystukiwać kluczem nadawczym, na co reflektor

zareagował krótkimi błyskami światła.

Poupon rozsiadł się na krześle i zapalił cuchnącą fajkę. W sali konferencyjnej zabroniono mu palić, ale Philpott był bardziej tolerancyjny.

–Odnoszę wrażenie – rzekł komisarz, pykając z fajki, rozrzucając zapaliki niczym rozpalone drzazgi – odnoszę wrażenie, że wchodzimy w końcowy etap operacji, a nadal nie mamy bladego pojęcia, w jaki sposób Smith chce opuścić wieżę tak, żebyśmy go nie wytropili.

Philpott w zamyśleniu pokiwał głową. Podszedł do stolika w rogu furgonetki, gdzie nadinspektor z Wydziału Inżynierii Urzędu Miasta wciąż ślęczał nad mapami.

–Czy jest pan absolutnie pewny – zapytał Philpott po raz chyba tysięczny – że z wieży nie ma żadnych podziemnych połączeń... jakichś przejść do tuneli metra, kanałów, czegoś takiego?

–Mówiłem już panu, że żadnych przejść nie ma, a w każdym razie nie ma ich na tych mapach – odparł inżynier, cudem zachowując cierpliwość. – Podstawy czterech nóg wieży są odizolowane. Widzi pan... tu, tu, tu i tu. Owszem, jest tam pod ziemią pomieszczenie z urządzeniami instalacji elektrycznej. Wiemy, że tam trafili, bo widzieliśmy, jak wnosili tam własne kable. Ale poza tym nie ma tam żadnych tuneli, otwartych kanałów, połączeń z metrem, katakumb, zapadlin erozyjnych czy zaginionych grobowców faraonów... pod wieżą biegnie tylko to, co powinno: trakcja elektryczna, sieć wodociągowa, instalacja hydrauliczna. Naturalnie, wszystkie są czynne.

–Może są tam jakieś kanały konserwacyjne? – nalegał Philpott z nadzieją.

Nadinspektor potrząsnął lekko siwiejącą głową.

–Nie, proszę pana. Nie ma.

Philpott westchnął z rozpaczą.

–Wiemy, że mają helikopter, ale, rzecz jasna, nie mogą z niego skorzystać – podsunął Poupon. – Nasze samoloty zestrzeliłyby go natychmiast.

–Faktycznie – przyznał Philpott. – Gdyby wyłączyli laser, to każdy obiekt zbliżający się do wieży w jednej chwili rozerwalibyśmy na strzępy. – Zagryzł wargę i zwrócił się do Soni: – Mam wrażenie, że przez cały czas zapominam o czymś uderzająco oczywistym. Przeczytaj mi jeszcze raz to, co nadał C.W., dobrze? Ten fragment o tym, co przerabiali na treningach. Jestem pewien, że coś przeoczyłem.

Sonia zaczęła czytać, lecz Philpott strzelił nagle palcami.

–Poupon! – krzyknął. Chyba masz rację! Helikopter! Jeżeli mają zamiar z niego skorzystać, to pilot musi wiedzieć dokładnie, w którym miejscu ma się zjawić po Smitha. – Philpott był coraz bardziej podekscytowany. – Czas już chyba najwyższy, żebyśmy dobrali się do gniazdka Smitha w dolinie Loary. Poślij tam policję... aha, i wojsko. Nie muszą obracać zamku w gruzy... zresztą, to by było bezprawie. Ale znajdź mi tego pilota, Poupon, i weź go w obroty. Do północy musi śpiewać jak ptak.

Komisarz pochylił głowę.

–Załatwione, *monsieur*.

W restauracji Pei znów dyżurował przy telefonie. Gdy rozległ się dzwonek, podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu.

–Chwileczkę – powiedział w końcu. – Skontaktuję się z panem Smithem.

Odłożył słuchawkę i wybiegł z restauracji. Zobaczył Smitha, zmierzającego w stronę restauracji w towarzystwie kilku ludzi. Wracali z poszukiwań z pustymi rękami.

–Pierwsza część okupu jest już w drodze – poinformował Pei gorączkowo. – Piętnaście milionów dolarów. Dzwonili... czekają przy telefonie, żebyśmy potwierdzili gotowość odbioru.

–Aaa! – mruknął Smith rozpromieniony. – Max zwrócił się do dowódcy komandosów – skieruj reflektor na główne wejście. Pilnuj każdego, kto tylko zbliży się do linii. Uważaj, czy nie spróbują jakichś sztuczek. Potem wyślij dwóch ludzi po odbiór pieniędzy. Panowie, ci dranie wreszcie się złamali. Przy pewnej dozie szczęścia będziemy mogli zapomnieć o pani Wheeler.

Od strony rzeki, z miejsca, w którym Pont d'Iéna przecina Quai Branly, nadjechała wojskowa ciężarówka pancerna z zapalonymi reflektorami. Wjechała na obszar ziemi niczyjej i stanęła na skraju Quai Branly przed usuniętym fragmentem barykady. Z tyłu samochodu wyskoczyło ośmiu spadochroniarzy i dołączyło do młodego oficera, który jechał w szoferce, obok kierowcy.

Tam, gdzie przed chwilą stała barykada, jeden z żołnierzy namalował fosforyzującą farbą linię prostą. Oficer rzucił rozkaz, na co spadochroniarze wrócili do ciężarówek i wytaszczyli cztery aluminiowe walizy. Porucznik kazał im ustawić je w rzędzie niecały metr od świecącej granicy.

Potężne reflektory, oświetlające z wieży całą tę scenę, wydobyły z mroku dwie ciemne, zamaskowane postacie, które wyszły z sanktuarium wieży i przeszły pod łukiem żelaznych nóg, zmierzając w stronę ciężarówki. Spadochroniarze, napięci i czujni, stali z bronią gotową do strzału, trzymając palce na spustach pistoletów maszynowych. Byli to twardzi, zahartowani żołnierze, elita armii francuskiej;

bezwzględni i nieustraszeni, którzy wielokrotnie walczyli z najlepszymi na świecie – i zazwyczaj wygrywali.

Dwaj wysłannicy zatrzymali się raptownie. Światła ciężarówki odbijały się na ich metalowych płytkach ochronnych. Jeden z mężczyzn powiedział coś cicho do krótkofalówki. Na wieży Smith poprawił ostrość lornetki i warknął krótki rozkaz do mikrofonu.

Jeden wysłannik został na miejscu, a drugi podszedł do namalowanej na ziemi granicy i wskazał na walizy.

–Pan Smith kazał je ustawić dokładnie na linii – powiedział.

–A ja mam rozkaz zostawić je tam, gdzie są – odparł młody oficer. – Jeżeli chcecie je zabrać, to musicie przyjść po nie.

Komandos zamrugnął pod maską, oceniając odległość od linii do waliz. Wiedział, że ośmiu spadochroniarzy tylko czeka na pretekst do strzału. Każdy, kto przekroczyłby linię, mógł się pożegnać z życiem. Komandos wrócił do swojego kolegi i ponownie skontaktował się ze Smithem. Po chwili obaj wysłannicy podeszli do granicy.

–Postawcie je na linii – rzekł pierwszy komandos stanowczo. – Pan Smith oświadczył, że jeżeli nie wykonacie rozkazu, to nie on będzie ponosił konsekwencje.

Porucznik potrząsnął głową.

–Ja nie przyjmuję rozkazów od pana Smitha. Mnie rozkazuje generał Jaubert i tylko jego rozkazów słucham.

–Wręcz przeciwnie – odezwał się czyjś głos zza ciężarówki. – Zrobicie tak, jak każe pan Smith.

Philpott wyszedł zza samochodu i stanął w świetle reflektorów przed porucznikiem.

–Postawcie walizki na linii – rozkazał.

–Nie znam pana, *monsieur* – zaproponował oficer.

–Nazywam się Malcolm Philpott i otrzymałem nadzwyczajne pełnomocnictwa od prezydenta Giscarda d'Estaing. – Machnął dokumentami przed nosem oficera. – To ja dowodzę tą operacją, poruczniku – ciągnął zimno. – Mówiłem już dzisiaj generałowi Jaubertowi, że jeżeli będę chciał oddać inicjatywę w jego ręce, to mu o tym powiem. Nie wykonał mojego rozkazu, za co będzie pociągnięty do odpowiedzialności. A teraz – w jego głosie zabrzmiała ostrzejsza nuta – postawcie walizki na linii.

Oficer poruszył się niespokojnie.

–Proszę zaczekać, muszę to sprawdzić. – Podeszedł do ciężarówki i wyciągnął z szoferki krótkofalówkę. Wrócił po dwóch minutach. – Będzie tak, jak pan rozkazał – oświadczył. Skinął ręką na dwóch potężnie zbudowanych spadochroniarzy, którzy przenieśli walizy ku fosforyzującej linii i ustawili je dokładnie na świecącej farbie.

–Wy dwaj, zabierajcie to, po coście przyszli – warknął Philpott. Komandosi wyszczerzyli zęby, chwycili po dwie walizy i wrócili na wieżę.

Zameldowali się w restauracji, gdzie czekała już grupa wydelegowana do wstępnego przeliczenia piętnastu milionów dolarów. Smith w milczeniu wysłuchał sprawozdania komandosów. Kiedy skończyli, powiedział:

–Opiszcie mi Philpotta. W każdym szczególe. Następnie zwrócił się do Leah i kazał jej skontaktować się z zamkiem i sprawdzić na komputerze personalia Malcolma Philpotta. Niecałe pięć minut później komputer podał szczegóły dotyczące człowieka i organizacji, o których Smith w zasadzie nic nie wiedział.

–UNACO? – gderał Smith z niedowierzaniem. – Nie CIA, nie Interpol, nie FBI? Nie armia USA ani NATO? Jakiegoś Malcolma Philpotta stać na to, żeby płacić Whitlockowi więcej niż ja? Mam przeciwko sobie bezzębnego profesora, paru cywilów i kilku zbzikowanych naukowców? I ja mam się martwić?

Roześmiał się nieprzyjemnym, chrapliwym głosem. Chwycił Leah za ramiona i przysunął ją do siebie.

–Nareszcie mogę odpocząć – szepnął. – Za długo już obywałem się bez twojego ciała. Musimy to uczcić.

Uśmiechnęła się do niego.

–Napijmy się przedtem – zaproponowała.

–Kapitalny pomysł – zapalił się. Kazał przynieść szampana i w towarzystwie Sabriny i Mike'a wypili toast wzniesiony przez Smitha: – Za Organizację do spraw Zwalczania przestępczości przy ONZ oraz Malcolma Gregory Philpotta.

Graham zerknął na Sabrinę i puścił do niej oko.

C.W. kucnął na parapecie w salonie dla gości honorowych. Jedyne światło sączyło się przez szparę w osłonie żarówki. Murzyn sięgnął za okno, chwycił linę i wciągnął jej wolny koniec do pokoju.

Zawiązał sobie wokół pasa węzeł stosowany przez alpinistów i wyrzucił nadmiar liny

za okno.

–Jesteśmy w pułapce, a to mi działa na nerwy – zwrócił się do Adeli Wheeler. – Chcę stąd uciec.

–Ja też – odparła dzielnie.

–Świetnie. – C.W. skinął głową. – Jak pani znosi duże wysokości?

–Przerażają mnie – wyznała.

C.W. znów skinął głową.

–To by się zgadzało – mruknął. – Niech pani zamknie oczy.

W restauracji liczenie pieniędzy przebiegało nader sprawnie. Dwaj spośród komandosów Smitha byli w tym przeszkoleni i ich wilgotne palce z nieprawdopodobną szybkością przebierały w starannie ułożonych paczkach dziesiątek, setek i tysięcy dolarów. Smith zostawił pracę umysłową swoim ludziom, a sam leżał spleciony z Leah na materacu w pokoju sąsiadującym z salonem dla gości honorowych.

Sabrina i Graham stali na końcu grupy przeliczającej pieniądze, pochyleni nad stolikiem pośrodku kawiarni. Sabrina nie mogła się skupić na liczeniu – nie bawiło jej oglądanie cudzych pieniędzy, chyba że je właśnie ukradła.

Kątem oka dostrzegła, że coś przesuwają się za oknem. Spojrzała w tamtą stronę i syknęła ostrzegawczo do Grahama.

Przez siatkę rusztowania wyraźnie dostrzegli C.W., opuszczającego się na linie. Murzyn trzymał na barana panią Wheeler. Ubrana w zakrwawiony mundur polowy, z zamkniętymi oczami, z całej siły ścisnęła czarnego agenta za szyję.

Oboje zniknęli z widoku, a naprężona lina z powrotem schowała się za dźwigar.

C.W. stopniowo popuszczał linę. Pot spływał mu z twarzy; oczy przesłaniały mu grube, siwe włosy Adeli, powiewające na wietrze. Murzyn przestał się opuszczać. Stał na poziomej belce rusztowania i przesunął się tak, by pani Wheeler mogła stanąć obok niego. Objął ją w pasie, rękawem ocierając pot z czoła. Adela dyszała ciężko.

–Daleko jeszcze? – wysapała, próbując spojrzeć na ziemię.

C.W. chwycił ją pod brodę.

–Ani się waż! – rzucił wściekle. – Pamiętaj, że mną nic ci nie grozi. Jestem

najlepszy.

W milczeniu pokiwała głową. Po chwili Murzyn wziął ją na plecy.

–Już niedaleko, kochana – pocieszył ją. – Jeszcze kawałek.

Znów zaczął się opuszczać, przekładając ręce na linie i bosymi stopami muskając żelazne rusztowanie. W pewnej chwili zdawało mu się, że słyszy nad sobą jakiś dźwięk. Przywarł do dźwigara i spojrzał w górę. Mike Graham i Sabrina, kucając przy balustradzie na pierwszym tarasie, ponaglali go machaniem rąk.

C.W. uśmiechnął się i zaczął zjeżdżać po linie. Nagle jakiś wystający nit zaczepił o guzik jego kurtki.

Rozległ się cichy dźwięk rozdieranego materiału. C.W. zamarł i rozejrzył się. Zjechał o dalsze kilka centymetrów. Odgłos rozdieranego materiału przybrał na sile. Tym razem C.W. poczuł szarpnięcie. Spróbował podciągnąć się w górę, lecz zahaczona kurtka nie chciała go puścić.

Nit przytrzymał teraz kurtkę C.W. w miejscu, gdzie Murzyn przypiął metalową płytkę ochronną. Na tarasie Sabrina jęknęła z przerażenia; Graham mamrotał pod nosem modlitwę.

–Trzymaj się mocno, Adela – powiedział C.W. – Zaczepiliśmy o coś.

Objęła jego szyję w miążdżącym uścisku, on zaś opuścił się na linie o dalsze kilkadziesiąt centymetrów.

Przy nieodwołalnych dźwiękach rozdieranego materiału, które poraziły mózg C.W. niczym dzwony pogrzebowe, metalowa płytkę oderwała się od kurtki Murzyna i spadła w ciemność, ginąc w labiryncie rusztowania.

C.W. był teraz zupełnie bezbronny wobec Lap-laserów, choć Adela Wheeler wciąż miała przypiętą płytkę ochronną Claude'a.

Rozdział 11

Komisarz Poupon odłożył słuchawkę telefonu i z wniebowziętym wyrazem zawadiackiej twarzy rozparł się na kruchym płóciennym krześle.

–A więc nareszcie przystępujemy do działania – mruknął do Philpotta.

Odpowiedzi nie było. Poupon zerknął na kolegę – Philpott siedział skulony w rogu furgonetki z opuszczoną na piersi głową. Komisarz popatrzył na niego poważnym wzrokiem, wstał i delikatnie potrząsnął śpiącego za ramię.

Philpott poderwał głowę, spojrzał na Poupona i przetarł oczy.

–Szkoda gadać, wybrałem sobie porę na drzemkę... – mruknął. Ziewnął, potrząsnął głową, by odzyskać jasność myśli, i spytał komisarza, czy jest coś nowego.

Poupon odparł, że i owszem.

–Zrzuciliśmy na zamek desant stu spadochroniarzy – oświadczył z dumą. – Wszystko nie trwało nawet pół godziny. Château Clérignault nadal stoi, jak zawsze wspaniały, ale teraz jest w naszych rękach.

Philpott wstał chwiejnie.

–Fantastycznie – pochwalił z uśmiechem. – A pilot helikoptera? Macie go?

Komisarz skinął głową.

–I co? – ponaglił Amerykanin.

–Miał rozkaz zabrania Smitha z pewnego punktu... na Sekwanie – odparł Poupon ostrożnie.

–Na Sekwanie? – wybuchnął Philpott. – Gdzie, na miłość boską?

–W dole rzeki – wyjaśnił komisarz. – Miedzy Statuą Wolności a katedrą Notre Dame D’Auteuil... jakieś półtora kilometra od wieży.

Philpott z rozdrażnieniem uderzył się pięścią w grzbiet dłoni.

–Jak on chce się tam dostać? – zastanawiał się. – Od wieży do rzeki jest ładne parę metrów... otwarty teren, wychodzący poza zasięg laserów. Nawet gdyby zostawił lasery włączone, nie mógłby tam korzystać z ich osłony. To jest bez sensu, Poupon. Czyste wariactwo... nie ma tuneli, przejść, kanałów. Co on zamierza? Przekopać się pod ziemią jak kret?

Francuz wzruszył ramionami.

–*Je ne sais pas...* pożyjemy, zobaczymy. Na razie mamy pilniejsze sprawy na głowie, *n'est-çe pas?* Na przykład panią Wheeler. Nie mówiąc o twoim agencie... jeżeli jeszcze żyje.

Philpott skrzywił się.

–Fakt – przyznał. – Od dobrych trzydziestu minut C.W. nie daje znaku życia. Co tam się wyrabia, psiakrew? – Rąbnął pięścią w ścianę furgonetki i z wściekłością pomasaował kostki.

Lina skończyła się, kiedy C.W. miał do ziemi jeszcze dobre kilkanaście metrów. Murzyn przesunął nieco kobietę na swoim grzbiecie, zmienił jej uchwyt na swojej szyi tak, by móc wreszcie oddychać, i mruknął:

–No, kochana, teraz to już naprawdę się trzymaj. Przed nami najgorszy kawałek. Może będziemy musieli trochę pofruwać. Ale pamiętaj... jesteś bezpieczna. Wyobraź sobie, że po prostu jedziesz szarpiącą windą.

Adela Wheeler odpowiedziała coś ledwie dosłyszalnym, piskliwym szeptem, a C.W. poleciał ich dusze wyjątkowej sile swoich rąk i nóg.

Nad nimi wężące detektory lasera wykryły dziwny ruchomy obiekt, schodzący po rusztowaniu wieży niczym garbata tarantula.

C.W. otarł twarz z potu zalewającego mu oczy, pociągnął nosem i zaczął przesuwac się po poziomym dźwigarze, aż doszedł do ukośnej belki. Zacisnął na niej palce stóp, wygiął ciało w łuk i objąwszy ją, ześliznął się do następnego poziomego dźwigara. Po chwili powtórzył to jeszcze raz.

Drugi Lap-laser poszedł w ślady pierwszego; on także drgnął i zaczął śledzić schodzący z wieży obiekt.

C.W. szybko tracił siły. Ramiona niemal wyskakiwały mu ze stawów, zdawało mu się, że nawet Smith na swoim legowisku słyszy łoskot jego bijącego serca. Wiedział, że musi odpocząć... ale nie mógł się oderwać od pani Wheeler. Oznaczałoby to dla obojga pewną śmierć.

On, pozbawiony ochrony przed laserami, momentalnie zostałby zestrzelony, Adela Wheeler zaś w żadnym wypadku nie dałaby rady zejść sama. Musiałaby tkwić na rusztowaniu, dopóki zmęczenie nie pokonałoby jej ciała. Wtedy z ulgą przyjęłaby ten ostatni skok w niebyt.

C.W. zacisnął zęby i zaklął siarczyście, powtarzając w kółko to samo pięcioliterowe

słowo. Adela Wheeler jęknęła z bólu.

–Widzę, że przyszła panu na coś chętko, panie Whitlock – zażartowała. – Ale jeśli myśli pan o mnie, to mam nadzieję, że poczeka pan na bardziej dogodny moment.

To już było ponad jego siły. Zaśmiał się rubasznie. Przesunął panią Wheeler twarzą do siebie i trzymając ją silnie, pocałował głośno w usta.

–Wie pani co, niezła z pani cizia. W dodatku wdowa... i to bogata! Mógłbym trafić gorzej.

Adela uśmiechnęła się i cmoknęła go w policzek.

–Niegrzeczny chłopiec – mruknęła. – Byłabym dumna, C.W., dumna i zaszczycona, gdybyś ty także był moim synem. Jesteś w moim typie, więc uważaj, bo zapomnę o tych czterdziestu latach różnicy między nami i nauczę cię tego i owego.

Murzyn błysnął białkami oczu i uczynił wymowny gest.

Adela zachichotała.

–No, starczy tego – powiedział C.W. – Wsiadaj i trzymaj się. Teraz to już będzie jak na majówce.

Na pierwszym tarasie Mike uśmiechnął się z ulgą. Wcześniej już odesłał Sabrinę do restauracji, a teraz sam zamierzał tam wrócić. Odwracając się od balustrady, wpadł na Smitha i Leah, jeszcze zarumienionych po niedawnych wyczynach.

–Wybrałeś się odetchnąć świeżym powietrzem, Mike? – zapytał Smith.

–Pieniądze mnie nudzą, panie Smith – odrzekł Graham. – Natomiast lubię je wydawać.

–Skoro tak, to nie będziesz narzekał po, hm... zakończeniu tego wspaniałego skoku – obiecał Smith. Mike'owi zdawało się, że słyszy dolatujące z dołu jęki C.W., więc zakaszlał czym prędzej, by zagłuszyć cichy odgłos.

–Może wrócimy do pozostałych? – zaproponował. Smith odstąpił na bok, przepuszczając przodem Leah i Grahama, a sam został jeszcze przez kilka sekund na tarasie, z przekręconą na bok głową wsłuchując się w wycie wiatru, odgłosy miasta i noc. Po chwili i on wrócił do jasno oświetlonej kawiarni.

Mimo krótkiego odpoczynku i wymiany zdań z panią Wheeler, które naładowały jego baterie, C.W. wiedział, że nie stać go już na długie, powolne zejście.

Postawił wszystko na kartę swojej niezwykłej siły. Uczepił się poziomego dźwigara,

nachylił i spojrział w dół, szukając najbliższej poziomej belki. Znajdowała się dwa i pół metra pod nim.

–Zapnij pasy! – rzucił do Adeli, przekrzykując wiatr. Uścisk na jego szyi i piersi wzmógł się. C.W. zacisnął zęby, skoczył w dół i krzyknął, gdy jego ręce zacisnęły się na zimnej belce, a okrutne szarpnięcie przeszło bólem mięśnie ramion.

–Masz zamiar to jeszcze powtórzyć? – szepnęła Adela.

–Uhm – mruknął. – I to nie raz. – Przy ostatnim słowie znowu skoczył w dół, jak kamień spadając na następny poziomy dźwigar.

Do ziemi zostały jeszcze dwa... C.W. ześliznął się na pierwszy i triumfalnie zeskoczył z niego na asfalt. Przyjął na siebie większą część zderzenia, choć i matki prezydenta, uczeptionej kurczowo jego pleców, nie ominęły skutki upadku.

–Nie puszczaj mnie pod żadnym pozorem – przykazał. – Jesteśmy już na ziemi, ale może to tutaj zacznie się dopiero najtrudniejsza część.

–Naprawdę jesteśmy już na ziemi? – zapytała płaczkliwym głosem. – Naprawdę zesliśmy na dół... zniosłeś mnie na plecach?

–Jasne, proszę pani. – C.W. wyszczerzył zęby. – Zesliśmy, chociaż nikt nam w to nie uwierzy. – Miał ochotę śpiewać, ale pohamował się. Adela Wheeler obejmowała go kurczowo. Odwrócił się w jej ramionach, stając twarzą do niej.

–Nic ci nie zrobiłam? – zapytała troskliwie, widząc jego niewiarygodnie napiętą twarz.

–Nic, poza tym, że mnie udusiłaś. – Skrzywił się z bólu. No, ale teraz mamy problem.

Wyjaśnił jej, że zgubił swoją płytkę ochronną i że fakt, że lasery nie zestrzeliły ich, kiedy schodzili z wieży, nie oznacza wcale, że nie zareagują, kiedy wyjdą na otwarty teren.

–Mamy tylko jedną płytkę na nas dwoje – powiedział. – Tę, którą Mike zabrał Claude'owi. Ale nie wiem, czy taka jedna płytka może ochronić dwie osoby. Tak czy inaczej, zaryzykujemy. Jak już zesliśmy z wieży, to głupio byłoby tu sterczeć i dać się złapać w pułapkę jak szczury, jeżeli Smith postanowi wysłać kogoś na dół. Co ty na to?

Adela była całkiem spokojna.

–Jak powiedziałam w tej audycji telewizyjnej – a swoją drogą, było to najgorsze, co mogłam zrobić – jestem za stara, żeby się przejmować śmiercią. Jeżeli... jeżeli te

urządzenia tam na górze mają nas zabić, to trudno. Umrę z człowiekiem, którego podziwiam, a dla takiej głupiej kobiety jak ja to wiele znaczy. W dodatku w dobrej wierze... żeby zniszczyć Smitha. A więc... w drogę.

Ruszyli, obejmując się nawzajem. C.W. trzymał płytkę ponad ich głowami; jego czarne sztywne loki dotykały jej siwych, przerzedzonych włosów.

Kiedy wyszli na otwarty teren, Murzyn spojrział w górę. Mógłby przysiąc, że ujrzał drgnięcie lasera.

Pei, który z powrotem dyżurował przy komputerze, nagle krzyknął do Smitha:

–Lasery coś śledzą! Na ziemi! To musi być człowiek. Porusza się chwiejnie, ale oddala od wieży. Duży kształt!

Smith podbiegł do pulpitu sterowniczego komputera i spojrział na migający ekran.

–Reflektory! – krzyknął i wybiegł na taras.

Adela Wheeler i C.W. szli powoli, lecz zdecydowanie, uważając, by przez cały czas trzymać nogi w jednej linii. C.W. instynktownie wyczuł na sobie celowniki laserów i włosy zjeżyły mu się na głowie.

Nie oglądał się za siebie, ale miał rację: oba Lap-lasery skierowały na nich swe lufy; oba wysyłały do komputera pytanie – czy jedna płytka może chronić dwie osoby?

Nagle uciekającą parę zalało światło reflektorów z wieży.

–To czarny – usłyszeli warknięcie Smitha. – Ma panią Wheeler. Niech go jasna, ciężka cholera!

Za linią otaczającą wieżę również rozbłysły reflektory. Philpott odstawił szaleńczy taniec radości.

–Dasz radę, C.W., złociutki, dasz sobie radę. Jeszcze kilka kroków. Jeszcze troszeczkę.

C.W. uśmiechnął się.

–Może byś się tak zamknął, co? – krzyknął. – Nie musisz robić z siebie wariata, i tak jest śmiesznie!

Na wieży Smith szalał z wściekłości.

–Dlaczego lasery nie strzelają, psiakrew?! – ryknął.

–Oni mają płytkę ochronną, proszę pana – odrzekł Pei. – Whitlock trzyma ją nad głowami obojga. To pewnie płytka Claude’a.

Tote ryknął wściekle i wyrwał pistolet maszynowy najbliższemu komandosowi. Wycelował i, zanim Smith zdążył go powstrzymać, wystrzelił serię kul za oddalającą się niemrawo parą.

Pociski wleciały dokładnie pod lufy Lap-laserów, lasery zaś z radością wykryły nie chroniony cel. Ich lufy rozjarzyły się i wiązki promieni świetlnych zgasiły kule, tak jak polujące osy gaszą świetliki.

–Przez to wyjdziemy tylko na durniów! – rzucił Smith wściekle. – Straciliśmy ich. Zachowaj lepiej energię i amunicję. Zgaście reflektory i wracajcie wszyscy do środka. Mamy jeszcze mnóstwo roboty, a robi się późno.

Graham i Sabrina, stojąc przy balustradzie obok Leah, wymienili spojrzenia. Mike uściśnął dłoń dziewczyny. Sabrina spojrzała na niego poważnym wzrokiem; to, co ujrzała, wyraźnie jej się spodobało, zresztą nie po raz pierwszy.

–Pierwsza runda dla nas – szepnął Mike.

Matka prezydenta i „czarny człowiek-pająk” przyśpieszyli kroku i przekroczyli błyszczącą linię. Natychmiast otoczył ich podniecony tłum. Adela Wheeler, ściskając kurczowo C.W., rozplakała się patetycznie.

Po chwili puściła go i rzuciła się w wyciągnięte ramiona Philpotta, C.W. zaś znalazł się w objęciach Soni, która wychwalała go pod niebiosa.

–Malcolm, jestem ci głęboko wdzięczna za zorganizowanie mojej ucieczki, ale jeszcze bardziej wdzięczna jestem temu cudownemu chłopcu, który zniósł mnie z wieży, chociaż traktował mnie jak worek ziemniaków – powiedziała Adela.

Philpott zachichotał.

–Grunt, że jesteś bezpieczna... tylko to się liczy.

–Nie tylko – zaprzeczyła stanowczo. – W tej audycji telewizyjnej naprawdę mówiłam to, co myślę. Nie obchodziło mnie, co mogło mi się przydarzyć. Najważniejsza rzecz to powstrzymanie tego Smitha. On nie ma w sobie nic z człowieka, Malcolm. Zasługuje na śmierć.

–Powstrzymamy go, Adela – zapewnił ją Philpott. – Powiedz, na co miałabyś teraz ochotę.

–Na kąpiel – odrzekła po chwili namysłu. – A potem na kolację i coś mocniejszego...

to by było chyba wszystko. Ah najpierw muszę porozmawiać z Warrenem.

–Właśnie czeka przy telefonie – rzekł Philpott. – Jest w siódmym niebie. – Zaprowadził ją do furgonetki. Adela Wheeler podniosła słuchawkę i zacinając się lekko, zaczęła rozmawiać miękkim, łagodnym głosem z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Philpott zainstalował w rogu furgonetki wielki telewizor kolorowy. Nawet pomimo wyciszonego dźwięku banalność programu działała mu na nerwy. Nie mógł jednak wyłączyć odbiornika – czuł, że Smith po udaremnieniu jego planów, znowu spróbuje zademonstrować swą wyższość we właściwy sobie dramatyczny sposób.

Rozległo się pukanie do drzwi. Generał Jaubert wkroczył nie czekając na zaproszenie. Za jego plecami Ducret wzruszył ramionami na powitanie.

–Więc jak, panie Philpott, mogę przypuścić szturm na wieżę? – zapytał generał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Philpott podniósł wzrok znad planu rzeki.

–A, cóż za miłe spotkanie, generale – powiedział. – Cieszy mnie, że udało się panu pohamować... uhm... chwalebne zapędy pańskich sławetnych komandosów dziś wieczorem. Gdyby pozwolono im zrealizować wariacki zamysł wymordowania ludzi Smitha, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że pani Wheeler nie byłoby już wśród nas. A wracając do pańskiego pytania – ciągnął – nie, nie może pan przypuścić szturm. Nadal uważam, że jesteśmy w stanie pomyślnie zakończyć całą operację bez uszczerbku dla wieży Eiffla i ludzi, którzy się na niej znajdują. Proszę więc wycofać się do bazy. Wojna, jak powiedział kiedyś pewien mądry człowiek, to zbyt poważna sprawa, aby zostawiać ją generałom. My prowadzimy wojnę ze Smithem. Byłbym wdzięczny, gdyby nie wtrącał się pan do przekazywania reszty okupu, jeżeli do tego dojdzie.

–Zwłaszcza że to nie pańskie pieniądze – odciął się Jaubert.

Philpott przemyślał słowa generała.

–Słuszna uwaga – przyznał. – Tyle że jeżeli nie chcemy ich stracić, musimy trzymać się mojej taktyki... tego samego zdania jest zresztą prezydent Giscard D'Estaing.

–Jeszcze jeden polityk! – prychnął Jaubert. Philpott szykował się już do ciętej riposty, lecz Poupon uniósł rękę, nakazując milczenie, i podskoczył do telewizora. Kiedy włączył dźwięk, na ekranie ukazała się twarz Smitha, zajmując miejsce młodej piosenkarki z głębokim dekoltem i zrobionymi na „afro” zielonymi włosami, którą komisarz zachwycał się w skrytości ducha. Smith był jak zawsze swobodny i uprzejmy.

–Dobry wieczór, panie i panowie w całej Francji – zagaił. – Raz jeszcze przepraszam, że tak brutalnie przerwałem wam oglądanie programu, ale mam dla was nowe wiadomości. Chciałbym także skierować kilka słów pod adresem ministra spraw wewnętrznych, Ducreta... a także Organizacji do spraw Zwalczania Przeszłości przy ONZ, znanej jako UNACO, oraz jej szefa, Malcolma Philpotta.

Smith wiedział, że ta bomba wybuchnie w jednym tylko miejscu – i miał rację, Na stanowisku dowodzenia zapanowała wręcz naelektryzowana atmosfera. Philpott zachwiał się i spojrzał błagalnie na Poupona. Po chwili rozchmurzył się nieco i przesunął gorzki, zawzięty wzrok na Jauberta.

–Wszystko jasne – warknął przez zęby. – Musiałem się zdekonspirować przed pańskimi cholernymi komandosami. Ludzie Smitha najwyraźniej mu o mnie donieśli. Teraz już wie o nas cały świat.

–Nie przejmuj się, *mon ami* – pocieszył go łagodnie Poupon. – Ludzie nie pamiętają takich rzeczy. Pewnie już zapomnieli.

Jaubert choć raz zachował stosowne milczenie.

–Chciałbym podziękować ministrowi Ducret ciągnął Smith – ministrowi finansów Le Grain, i właściwie całemu rządowi francuskiemu za piętnaście milionów dolarów, które byli łaskawi mi sprezentować. Większość was przy telewizorach prawdopodobnie nie wie jeszcze, że moja zakładniczka, pani Adela Wheeler, postanowiła opuścić więź. Zawsze byłem zdania, że powinna odejść stąd cała i zdrowa, ale zapewniłbym jej bezpieczniejszą i mniej męczącą drogę na wolność. A przy okazji, panie Philpott, cieszę się, że pański agent, Whitlock, wrócił do pana. Innych pańskich ludzi to szczęście może ominąć.

Był to strzał na chybił-trafił, przejaw natchnienia mistrza. Philpott zerwał się na równe nogi, klnąc siarczyście.

Poupon wstał i położył mu dłoń na ramieniu.

–On prawdopodobnie blefuje, *monsieur* - rzekł przekonująco. – Widać, że nie jest pan pokerzystą.

Philpott odetchnął głęboko i skinął głową.

–Ma pan rację – przyznał. – Pewnie blefuje. I nie myli się pan co do mnie. Nie gram w pokera. To rzadka rozrywka wśród profesorów uniwersytetu.

–Więc niech się pan uspokoi – doradził komisarz. – On jeszcze nie skończył.

Smith uśmiechnął się pobłaźliwie.

–Nie bierz sobie tego za bardzo do serca, Philpott – ciągnął. – Nigdy dotąd nie skrzyżowałeś szpady z kimś mojego kalibru. Może po tej lekcji nabierzesz rozumu.

–Chryste Panie, jeżeli on nie blefuje, to poświęciłem dwoje wspaniałych ludzi – mruknął Philpott.

Ducret potrząsnął głową.

–Nie, Malcolm. Oni poświęcili się sami. Jak powiedziałaś, toczymy wojnę. Twoi ludzie to żołnierze. Sami znają ryzyko i sami je podejmują. Przykre to, ale żołnierze są skazani na stracenie. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Amerikanin zdobył się na wymuszony uśmiech.

–Chyba powinienem zmienić pracę – stwierdził.

–Nie sądzę – odrzekł Ducret. – Wierz mi, że nie.

Skupili uwagę na ekranie telewizora.

–Ten, hm... obrót wypadków spowodował jednak zmianę moich planów – mówił Smith. – Jak powiedziałem, mam już połowę z trzydziestu milionów dolarów okupu. Nie jestem ani mściwy, ani – wbrew temu, co mówiła o mnie pani Wheeler, która tak niedawno się z nami rozstała – specjalnie zachłanny. Faktem jest, że władze francuskie stają się coraz bardziej przebiegłe. Jeszcze kilka godzin – uśmiechnął się protekcjonalnie – a Bóg jeden wie, jakiego figla mogłyby mi spletać. Jednym słowem, nie zamierzam tu siedzieć i czekać, aż się o tym przekonam. Za... – spojrzał na zegarek – mniej więcej za piętnaście minut ja i moi ludzie opuszczamy wieżę Eiffla. Zauważyłem, że telewizja ma tu swoje stacje nadawcze. Nie wątpię, że zdejmą zaplanowany program, przekazując zamiast tego relację z naszej ucieczki. Zapewniani was, że jest to warte zachodu, a ponadto z mojego punktu widzenia będzie to uwieńczone całkowitym powodzeniem. A więc po raz ostatni już życzę wam dobrej nocy i dziękuję za bezgranicznie łaskawą współpracę. Będzie mi brak mojego pięknego zamku nad Loarą... który przekazuję narodowi francuskiemu. *Au revoir, més amis.*

Smith zniknął z ekranu.

–Piętnaście minut. Mało czasu – mruczał Philpott, podczas gdy Jaubert jęczał teatralnie. – Złap C.W. – poleciał Soni. – Trzeba to sobie dobrze przemyśleć.

Smith wstał z krzesła przed kamerą i zwrócił się do ekipy telewizyjnej:

–Na tym skończyła się wasza przydatność. Dziękuję za to, co zrobiliście.

Kamerzysta zbladł; operator dźwięku ukrył twarz w dłoniach. Smith uśmiechnął się nieszczerze i skinął ręką na Leah.

–Już czas – powiedział. – W wystąpieniu telewizyjnym przekazałem zaszyfrowaną wiadomość, że helikopter ma przylecieć przed czasem. A więc... muszę się zbierać.

–Uważaj na siebie – poprosiła.

–Czyżbym kiedykolwiek na siebie nie uważał? – skwitował żartobliwie.

Powoli pokiwała głową.

–Oczywiście. Mam zejść do ciebie na dół?

–Pójdiesz pierwsza – polecił. – To ja do ciebie dołączę. Zejdź schodami, są już oświetlone.

Z zamyślonym, niemal zatroskanym wyrazem twarzy obserwował jej postać, schodzącą po żelaznych schodach.

C.W. precyzyjnie przeszedł przez tłum żołnierzy i wszedł do furgonetki.

–U pani W. wszystko w porządku – oświadczył. – Odpoczywa. Niezła z niej sztuka, no nie?

–Jeśli jej wierzyć, to z ciebie też. – Philpott wyszczerzył zęby. – Ale teraz mamy na głowie ważniejsze rzeczy. – Wyjaśnił C.W., jak się sprawy mają po ostatnim wystąpieniu telewizyjnym Smitha.

Murzyn zagwizdał.

–Jezu, ledwie nam starczy czasu, żeby coś wykombinować.

–Więc myśl, C.W. – ponaglił go Philpott. – Wiemy, że mają go zabrać z rzeki helikopterem. Ale jak on, na miłość boską, chce się tam dostać? Myśl, człowieku, myśl!

–A co ja robię? – zaprotestował C.W. Skrzywił się, podrapał po wełnistej głowie i wypluł kawałek tytoniu.

–On przecież nie może tak po prostu zniknąć – nalegał Philpott. – W tym musi być jakiś haczyk. Coś, co wszyscy przegapiliśmy. Co to jest, C.W.? No?

Murzyn zaklął i oburącz pomasaował obolałą głowę.

–On... on cały czas bił nas o jedną długość – zaczął niepewnie. – Nie wiedzieliśmy,

o co naprawdę chodzi. – Z niepokojem spojrział na Philpotta, Sonię i Poupona. – Odkryłem tylko jedną rzecz, o której, jak mi się zdaje, nie powinienem się dowiedzieć. Ale nie wiem. To może nic nie znaczyć... może to być fałszywy trop, a zanim się z nim uporamy, Smith ulotni się w inny sposób.

–Co to jest? – zapytał Philpott stanowczo. – Mów, C.W.

–Nieważne, czy się mylisz, nie mamy nic innego.

–No... to było tak. – Rozwlekły głos agenta doprowadzał wszystkich do pasji. – Natrafiłem na coś dziwnego w piwnicy. Wiecie, tam, gdzie są przewody sieci elektrycznej. Podłączaliśmy do nich nasz kabel. Miałem pragnienie i chciałem się napić piwa. – Przerwał. Czekali.

–I? – wyrzucił z siebie Philpott.

–Zauważyłem dwa kanistry piwa... jakby cylindry z pokrywą. Przywieźliśmy je razem z jedzeniem. Stały w rogu piwnicy. Podszedłem do jednego, przystawiłem usta do kranu, odkręciłem kurek... ale nic nie wyleciało. Tylko powietrze.

–Powietrze?

C.W. skinął głową.

–Sprężone. Tlen.

Philpott otworzył usta i zaraz zamknął. Przygryzł paznokiec. Poupon siedział osłupiały. Nagle Philpott strzelił palcami, a na jego twarzy pojawił się nieklamany zachwyty.

–Sprężony tlen! – zagrzmiał. – To jest to! Na Boga, C.W., to jest to! Podskoczył do stołu, przegonił z krzesła dystyngowanego nadinspektora z Wydziału Inżynierii i zaczął przerzucać mapy, plany i wykresy. Wreszcie znalazł plan terenu u podstawy wieży.

–Tutaj! – dźgnął palcem w labirynt kabli i rur kanalizacyjnych. – Widzicie? Magistrała wodna. On chce się wydostać rurami wodociągu! Dlatego potrzebny mu jest sprężony tlen. Sieć wodociągowa ma włazy konserwacyjne, prawda? – warknął do inspektora sanitarnego.

–Tak – potwierdził urzędnik. Jeden z nich jest tutaj czubkiem ołówka wykropkował okrąg wokół fragmentu rury przebiegającej przez piwnicę pod wieżą Eiffla.

–Gdzie będzie mógł wyjść?

–Gdzie zechce, jeżeli ma dobry sprzęt – odparł nadinspektor, podając plany systemu wodociągów i kanalizacji.

–Na Sekwanie? – wtrącił Poupon.

Nadinspektor wymownie rozłożył ręce.

–Oczywiście. Kanały uchodzą wprost do rzeki... to znaczy główne kanały. Dużo łatwiej jest sprawdzać je przy pomocy nurków, niż rozkopywać kawał ulicy albo instalować włazy kontrolne.

Philpott podrapał się po głowie, a jego oczy znów rozbliły.

–Czy jest jakiś wylot koło przystani Bateaux Mouches na rzece? – zapytał szybko, choć obawiał się odpowiedzi. Nadinspektor raz jeszcze zerknął na plan.

–Rzeczywiście, jest – poinformował. Wszyscy wyprostowali się, spoglądając po sobie pytająco.

–Warto zaryzykować? – Philpott skierował pytanie do Poupona i C.W.

–Decyzja należy do pana – odrzekł komisarz. Przez pełną minutę Philpott naradzał się sam ze sobą.

–A więc warto – oświadczył. – Zrobimy tak...

Nim zdążył wyjawić im plan, który zaczął mu się krystalizować, w otaczającym wieżę tłumie, powiększającym się z każdą chwilą od rozpoczęcia transmisji telewizyjnej, wybuchła potężna wrzawa. Sonia podeszła do drzwi furgonetki i jęknęła.

C.W. stanął obok niej, ze zdumieniem spoglądając na wieżę. Zagwizdał z podziwem.

–Popatrzcie tylko. Ten wariat zaczął pokaz ogni sztucznych. Autentycznych ogni sztucznych.

Poupon zachichotał.

–Smith musi być Francuzem – zauważył. – Możliwe, że jest szalony, ale ma prawdziwie galijskie wyczucie dobrego smaku.

Pirotechnicy z ekipy Smitha zaaranżowali ten pokaz na najwyższym tarasie wieży. Były to jedne z najwspanialszych ogni sztucznych, jakie kiedykolwiek oglądano w Paryżu, niczym na obchodach rocznic zdobycia Bastylji, piątego listopada i czternastego lipca razem wziętych.

Z wieży wystrzeliwały olśniewające feerie kolorów, rozświetlające ciemne niebo

jaskrawymi rozbryzgami barw. Deszcz gwiazd opadał na oczarowany tłum, a potężne eksplozje wyrzucały strumienie złota i srebra, zieleni i błękitu, które z sykiem i trzaskiem wzbijały się w górę, rozdzielały, aż wreszcie zamierały w kaskadach żarzących się węgielków.

Nim jeszcze dobiegł finał, tłum gapiów zachrypnął od krzyku. Cienkie, mocne pręty, sterczące u stóp masztu telewizyjnego, podtrzymywały oświetlony deszczem barwnych słońc model wieży Eiffla, przy wtórze eksplozji srebrnych i złocistych ogni greckich, wzbijających się na wietrze, i akompaniamencie Marsylianki, rozbrzmiewającej z systemu nagłaśniającego wieży.

Poupon stał na baczność, aż Philpott trącił go w ramię i powiedział:

–To chyba tylko po to, żeby odwrócić uwagę od jeszcze bardziej spektakularnego kawału.

Z pierwszego tarasu Smith wyjrzał ponad falującym parkiem na morze zwróconych w górę twarzy.

–Adieu – wyszeptał. – Złożyliście stosowny hołd mojemu zwycięstwu. Zachowam was w pamięci, a wy zachowacie mnie.

Na polecenie Smitha komandosi wraz z pozostałymi zakładnikami wtoczyli się do windy. Smith wyjął z kieszeni klucz i podał go Pei.

Azjata wsunął klucz do dziurki w czerwonej skrzynce, zaopatrzonej w tabliczkę z napisem: NIEBEZPIECZEŃSTWO! Obok klucza znajdował się na pozór niewinny czarny guzik. Smith szybko skinął głową.

–Włączaj.

Pei wcisnął guzik.

–De... detonatory są już nastawione, panie Smith – wyjąkał. – Mamy dziesięć minut. Niestety, w żaden sposób nie może pan już cofnąć tej decyzji.

–Ja nie mam zwyczaju cofać decyzji – odparł Smith. Zerknął na szereg pękatych płóciennych worków, opartych o balustradę. Pei stanął przy poręczy. – Zanieść je do windy? – zapytał. Smith wyszczerzył zęby w chytrym, fałszywym uśmiechu.

–Nie, Pei. Teraz już sam zaopiekuję się pieniędzmi. Wracaj do windy razem z innymi.

Od windy dobiegł zaniepokojony pomruk. Smith podszedł do balustrady i oparł się o nią plecami. Wycelował pistolet maszynowy w swoich ludzi.

–Pei – skinął bronią na Azjatę – zrób, co ci kazałem.

Pei wcisnął się do windy obok Grahama i Sabriny.

–Zamknij kratę! – warknął Smith do uwolnionego przed chwilą windziarza.

Ciężka żelazna krata zatrzasnęła się ze szczękiem.

–Panowie i panno Carver – powiedział drwiąco Smith. – Odegraliście swoje role wspaniale. Od tej chwili jednak nie potrzebuję już waszych usług. Dziękuję wam gorąco za to, co dla mnie zrobiliście, i wierzcie mi, chciałbym, żebyście cieszyli się pomyślnym zakończeniem naszej akcji nie mniej niż ja.

–Ale to niemożliwe – podjął po chwili, a komandosów w windzie opanował obezwładniający strach. – Skoro muszę się zadowolić jedynie połową okupu, na który liczyłem, jesteście dla mnie, jak by to powiedzieć... zbędnym obciążeniem finansowym. Nie zapłacę wam. Po prostu nie stać mnie na taki luksus. Żegnam... i szybkiej drogi. – Zachichotał. – Na dół! – krzyknął do przerażonego windziarza. Mężczyzna błyskawicznie przycisnął guzik i winda zniknęła z widoku.

Smith pomanipulował przy krótkofalówce.

–Jesteś gotowa? – zapytał Leah. Z niewielkiej czerwonej skrzynki dobiegało jednostajne, bezlitosne tykanie zegara. Dziewczyna odpowiedziała twierdząco. – A więc do dzieła – poleciał Smith.

Leah uniosła rękę nad wystającą ze ściany dźwignię – wyłącznik głównej sieci elektrycznej zasilającej wieżę, który jednak nie miał wpływu na dodatkowe prądnice, dostarczające energii laserom. Opuściła dźwignię, a Smith, spoglądając w dół szybu windy, ujrzał z zadowoleniem, jak winda zatrzymuje się raptownie.

Wszystkie worki z okupem połączone były skórzanym rzemieniem. Smith wyjął z kieszeni metalową płytkę ochronną i przymocował ją do rzemienia. Następnie pochylił się, podniósł worki i wyrzucił je przez balustradę.

Dwa lasery na zachodniej fasadzie wieży poruszyły się równolegle ze wzrokiem Smitha, śledząc spadające na ziemię worki. Detektory zadrgały, lecz broń słuchała metalowej płytki.

Smith przesunął się wzdłuż balustrady do zwoju liny, przywiązanej mocno do poręczy. Lina sięgała jednego z czterech potężnych łuków między nogami wieży. Opuścił się po niej i zeskoczył na ziemię. Uśmiechnął się na myśl, o ile łatwiejsze było jego zejście niż zejście czarnego agenta. C.W. musiał schodzić po rusztowaniu wieży, i to z ciężarem, który byłby ponad siły większości ludzi.

Pod ochroną laserów i prądnic, warczących wyzywająco na zmasowane oddziały wojska, Smith skierował się do podziemnej komory z instalacją elektryczną, rozpoczynając ostatni etap swej ucieczki z wieży zakładników.

Po drodze, jakby od niechcienia, zabrał walające się worki z piętnastoma milionami dolarów.

W windzie panika rozprzestrzeniała się niczym ogień w lesie. Graham schwycił Pei za ramię.

–Ładunki wybuchowe – warknął przez zęby. – Nastawione?

Pei bez słowa pokiwał głową. Przesunął się do Tote i oparł głowę na ramieniu olbrzyma.

Mike ze strachem i wściekłością walił pięściami w szklaną ściankę windy.

–Skurwysyn! – krzyczał. – Ostatni skurwysyn! – Nagle jego wzrok padł na metalową ławę, która była jedynym miejscem do siedzenia w windzie. – Pomóż mi! – krzyknął do Pei. Azjata chwycił ławę z jednej strony i podniósł ją przy pomocy Grahama. Następnie użyli jej do wybicia okna windy.

Nastąpiła szaleńcza walka o dostęp do strzaskanego okna, lecz otwór był za mały.

–Jeszcze raz! – wrzasnął Mike. – Dalej!

Cofnęli się o kilka kroków i ponownie zaatakowali okna. Pod ciosami ławy rozleciała się następna szyba; i jeszcze jedna; i kolejna.

W panicznej ucieczce Sabrinę brutalnie przewrócono na ziemię. Mike pomógł jej wstać i rzucił szybko:

–Wiesz, co masz robić? – Skinął głową do góry.

–Tak... jeżeli starczy czasu – odparła.

–Musi starczyć! – warknął. – W każdym razie musimy spróbować. Sama o tym wiesz.

Zamrugnęła szybko

–Dobrze, Mike. A ty?

–Ja mam Smitha na głowie – odrzekł ponuro. – Powodzenia, kochanie – dorzucił po chwili, widząc, że dziewczyna przypatruje się wieży. – Uważaj na siebie.

Pokiwała głową.

–Ty też, Mike – szepnęła.

Graham pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział jej równie ślicznej... i przerażonej.

Spojrzał w dół i ujrzał linę, po której opuścił się Smith, powiewającą na wietrze tuż poza zasięgiem jego rąk. Przytrzymując się pionowej belki, wychylił się i wyciągnął rękę.

Jego palce musnęły konopne sploty, lecz lina oddaliła się jeszcze bardziej.

Mike westchnął z głębi serca.

–C.W. dlaczego cię tu nie ma, C.W.? – mruknął. Stanął pewnie na poziomej belce, przykucnął i przeklinając Malcolma Philpotta na czym świat stoi, skoczył przed siebie. Jego palce desperacko szukały liny.

Znalazły ją. Zdzierając skórę z rozpalonych dłoni, Graham zjechał po linie ze dwa metry, po czym zacisnął uchwyt i opuścił się do stóp wieży, na próżno szukając śladów Smitha...

Sabrina dostrzegła swój pierwszy cel – najbliższy ładunek wybuchowy – trzy metry nad sobą. Oceniała, że zostało jej najwyżej sześć minut na rozbrojenie nie jednej, lecz czterech bomb.

Zobaczyła powiewającą za szkieletem wieży linę Smitha, po której właśnie opuścił się Graham. Uznała, że może dotrzeć po niej do dwóch ładunków, co pozwoli jej zaoszczędzić drogocenny czas. Złapała linę dużo łatwiej niż Mike i zaczęła podciągać się do najdalszej bomby, na zachodniej fasadzie wieży.

Stanęła na poziomej belce, przytrzymując linę zaciśniętymi kolanami i przyglądając się plastikowej bombie, umieszczonej w zagłębieniu dźwigara skrzynkowego. W środku szczeliny dźwigara spoczywał śmiertcionośny detonator. Przygryzając dolną wargę, ostrożnie wysunęła rękę. Jej palce drżały.

Nagły podmuch porywistego wiatru, wyjącego między rusztowaniem, pchnął ją od tyłu, rzucając na dźwigar. Z twarzą o piętnaście centymetrów od bomby, wczepiła się palcami w plastikowy ładunek, nie dotykając podłączonego detonatora. Spoglądała na niego z przerażeniem szeroko otwartymi oczyma.

W czerwonej skrzynce wskazówka zegara przesuwiała się bezustannie: 5.15, 5.14, 5.13...

Graham sprawdził teren u stóp wieży, ale nie zauważył ani śladu Smitha.

–Gdzież on zniknął, do ciężkiej cholery? – mrucał pod nosem. Nagle usłyszał za sobą lekki szmer. Odwrócił się błyskawicznie. Mimo napięcia malującego się na jego twarzy, z całej jego postawy przebijała dzika furia i siła.

Zza samochodu-prądnicy wynurzył się C.W. Na piersi nosił płytkę ochronną Claude'a.

–Cześć! – rzucił leniwie.

Mike odprężył się.

–Nie wiesz czasem, gdzie się podział Smith? – zapytał.

–Jasne, że tak, szefie – odrzekł C.W., ale szybko poniechał kpiarskiego tonu. – Jest w piwnicy. Wykombinowaliśmy, że ucieka magistralą wodną.

–Magistrala wodna! Chryste Panie, to jasne. Tylko to ma ręce i nogi.

–Gdzie Sabrina? – przerwał mu C.W.

Graham wskazał na górę.

–Ma pełne ręce roboty – wyjaśnił. – Zostało jej coś około pięciu minut na rozbrojenie tych sakramenckich bomb, inaczej bum... i do nieba.

–Cholera – mruknął C.W. – No dobra, znikam. Chwycił linę i wdrapał się na pierwszy taras niemal tak szybko, jak Mike się opuścił.

Leah Fischer podniosła czerwony kanister i umieściła go Smithowi na plecach, obok wielkiego pakunku. Kanister miał teraz z boku przymocowane paski, a u góry odchodzące rurki. Leah odkręciła kurek.

Jak odkrył C.W., kanistry nie zawierały piwa, lecz tlen. Były to akwalungi dla Smitha i Leah.

Smith mrugnął do dziewczyny zza szyby maski na twarzy. Tak jak ona, trzymał w ustach rurkę do oddychania.

Wcześniej już odsunął pokrywę wjazdu do jednego z kanałów transportujących wodę pod ulicami Paryża. Teraz zajrzał w głąb otworu. Spieniona woda pod ciśnieniem pędziła w rurze o średnicy stu dwudziestu centymetrów.

Przywiązał nylonową linę do zardzewiałego bolca. Koniec liny zniknął w bystrym prądzie...

Sto metrów nad nimi, na smaganej podmuchami wiatru wieży Eiffla, smukłe palce

Sabrina Carver raz jeszcze wysunęły się niepewnie do detonatora, zatrzymując się centymetr przed nim.

Zegar nieubłaganie odmierzał czas. 4.22, 4.21, 4.20.

Rozdział 12

Smith skinął ręką na Leah, żeby zakręciła dopływ tlenu w jego aparacie. Zdjął z twarzy gumową maskę i wypuścił z ust rurkę do oddychania.

Dziewczyna spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach. Delikatnie zsunął jej maskę i wyjął rurkę spomiędzy mocnych białych zębów.

Leah ogarnęło nagle przeczucie, którego nie ośmieliła się wypowiedzieć na głos. Znała Smitha... lepiej nawet, niż to sobie wyobrażał.

Głos Smitha przypominał pieszczotę diabła, dotyk zza grobu; był jak oddech szatana.

–Zawsze byłem z ciebie bardzo zadowolony, Leah – mruknął. – Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej towarzyski. Byłaś lojalna, pomysłowa, odważna. Podzielasz moją szczytną koncepcję zbrodni jako siły zbawczej, która oczyszcza moralnie i podnosi na duchu. Niestety, Leah... moja wierna, namiętna Leah...

Na wysuszonych ustach dziewczyny pojawił się gorzki smak strachu. Smith dostrzegł zapowiedź przerażenia w jej oczach, tych niebieskozielonych oczach, które normalnie spoglądały na niego z bezgranicznym uwielbieniem. Dotknął jej twarzy, szczypiąc lekko zaokrąglony policzek; przejechał palcem po krzywiźnie jej brwi i uśmiechnął się ze zrozumieniem, widząc, że dziewczyna nie może wydobyć głosu, że słowa uwięzły jej w gardle jak nieproszeni goście.

–Widzisz, Leah... po prostu znudziłem się tobą. – Jego palce wędrowały po jej drugim policzku, za uchem, aż spoczęły na gładkiej szyi. – Potrzebuję odmiany, moja droga, poza tym planuję podróż, a ty byś mi tylko zawadzała. Opóźniałabyś mnie. Nie mogę do tego dopuścić. Z żalem muszę powiedzieć, że jesteś mi zbędna. Niepotrzebna.

Dziewczyna odzyskała głos i wybuchnęła potokiem słów, zapewniając go o swojej miłości, wierności, prosząc go i błagając. Wypielęgnowana dłoń Smitha wciąż spoczywała na jej szyi.

–Oczywiście, Leah, oczywiście. Rozumiem. Jak mówisz, na pewno się jeszcze kiedyś spotkamy. Kto wie? Ale tym razem, moja słodka, tym razem – przerwał i zachichotał na myśl, która mu przyszła do głowy – będzie to jedyna kąpiel, którą wezmę sam.

Roześmiał się, poszukał właściwego miejsca na jej szyi i zacisnął palce, ostrożnie chwytając dziewczynę, kiedy nieprzytomna osuwała się na betonową podłogę.

–Nie można dopuścić, żeby ci się stała krzywda, prawda? – mruknął. – Nie lubię krzywdzić tego, co piękne... a ty jesteś piękna, Leah. – Jej niewidzące oczy spoglądały na niego. – Wydaje mi się jednak – podjął, jak gdyby mogła go usłyszeć – że kiedyś powiedziałaś, że jestem nudny. Mam rację? Sądziłaś, że o tym zapomniałem? O nie, kochanie, Smith nigdy niczego nie zapomina.

Rozplótł dłonie, pozwalając, by głowa dziewczyny opadła na kamienną podłogę. Usta Leah rozchyliły się i tylko lekkie falowanie jej piersi wskazywało, że dziewczyna żyje.

Smith założył maskę i rurkę i włączył dopływ tlenu. Ze smutkiem potrząsnął głową i opuścił się do kanału. Jedną ręką przytrzymując pokrywę luku, odczepił linę od bolca i pociągnął.

Na powierzchnię wody wypłynęły trzy niebieskie gumowe worki. Związane ze sobą, te grube, pękate cylindry przypominały monstrualne parówki.

Smith puścił je z uśmiechem, trzymając drugi koniec liny. Trzy olbrzymie, wypchane dolarami parówki i bystry prąd wody uniosły go do Sekwany.

Roztrzęsione palce Sabriny dotknęły detonatora. Wstrzymując dech, kciukiem i palcem wskazującym dziewczyna ścisnęła drut.

Milimetr po milimetrze, detonator zaczął się wysuwać, obklejony lepкими grudkami plastiku. Po chwili cały uwolnił się od zdradliwego drutu, wydając obsceniczne mlaśnięcie.

Sabrina jęknęła.

–Heeej! – mruknęła przeciągle i puściła detonator, który jak kamień poleciał w dół. – Jeden z głowy – szepnęła. – Zostały trzy.

W czerwonej skrzynce wskazówka zegara wskazywała 3.52,3.51,3.50,3.49...

Graham z furią rzucił się na drzwi piwnicy, które wyskoczyły z zawiasów pod jego naporem. Wpadł do pomieszczenia skulony, gotów drogo sprzedać swe życie.

Zatrzymał się za progiem, obrzucając wzrokiem otwarty właz do kanału, nieprzytomną kobietę i bąbelki powietrza, oddalające się z prądem w kierunku rzeki.

Bez namysłu pochylił się, zdarł z nieprzytomnej Leah maskę, rurkę i cylinder z tlenem, założył je szybko i wskoczył w bystry nurt...

Sabrina opuściła się po linie i zatrzymała, uderzając stopami o rusztowanie wieży naprzeciwko drugiego ładunku.

Umysł nakazywał jej tylko jedno: rozbroić drugą, trzecią i wreszcie czwartą bombę.

Ale serce podpowiadało jej co innego: nie starczy czasu. Kiedy ta kolosalna wieża runie na ziemię i zamieni się w masę pogiętej stali, ona wciąż na niej będzie. Pociągnęła nosem i zbliżyła się do błotnistoszarej bryły plastiku.

Podczas gdy komandosi i ostatni zakładnicy uciekali z wieży – jedni, by wyjść na wolność, inni by trafić do aresztu – C.W. wdrapywał się po pajęczynie rusztowania. W świetle latarki zlokalizował Sabrinę, lecz widząc, że dziewczyna jedną ręką sięga w zagłębienie dźwigara, przezornie nie odzywał się. Nagle ujrzał, jak przytrzymując się rozkołysanej liny, dziewczyna ściska detonator i rękawem kurtki ociera pot z czoła.

–Sabrina, to ja. Który to?

Spojrzała w stronę źródła światła.

–Dzięki Bogu, że jesteś, C.W. Razem mamy jakąś szansę. Nie za dużą, ale zawsze. To drugi. – Wyrzuciła detonator za siebie. – Załatwiłam filar zachodni i południowy. Do wschodniego i północnego jeszcze nie doszłam. Weź się za który chcesz.

C.W. pobudził do życia swe wymęczone ciało i zaczął śmigać po rusztowaniu, jak gdyby od tego zależało jego życie.

Co zresztą było zgodne z prawdą.

Zegar tykał nieustannie: 2.48, 2.47, 2.46, 2.45...

Wieżę ze wszystkich stron oświetlały teraz lampy łukowe. W furgonetcie Ducret i Poupon z lornetkami przy oczach śledzili każdą szarpiącą nerwy sekundę walki o ich kuriozalną wieżę.

–Ile czasu zostało? – mruknął Ducret.

–Nie wiemy, kiedy nastawiono zapalniki – odrzekł Poupon, wypuszczając kłęby dymu z fajki prosto w twarz Ducreta – ale z piętnastu minut, o których mówił Smith, zostało nie więcej niż trzy. A więc... – wymownie wzruszył ramionami.

–Mam nadzieję, że Philpott wie, co robi – stwierdził Ducret. – Przypuszczam, że wśród schwytanych nie ma ani śladu Smitha?

Poupon potrząsnął szpakowatą głową.

–Ani śladu. Ale moim zdaniem Philpott wie, co robi, panie ministrze. Mam tylko nadzieję, że tych dwoje tam na górze też wie.

2.01,2.00, 1.59...

C.W. podciągnął się na spiralne schody i skoczył przed siebie, w stronę rozkołysanej liny. Tym razem gwałtowny podmuch wiatru był Murzynowi na rękę – lina sama wpadła w jego rękę.

Chwycił ją z wdzięcznością, odbił się i wyskoczył w powietrze, zataczając ostry łuk i niebezpiecznie szybko zbliżając się do wschodniego filara. Mijając skrzyżowanie belek, jedną ręką puścił linę i złapał poziomą belkę. Wczepił się w nią palcami, lecz wilgotny od wieczornej mgiełki metal wysliznął się z jego uścisku.

C.W. z impetem wyrznął w filar. Zaklął siarczyście, odpychając się od niego, by znów się do niego zbliżyć pod nie tak ostrym kątem. Jego ręką z płaskiem trafiła na belkę i objęła ją w uścisku.

Chwycił bezcenną linę i przytrzymał ją tak, jak to dwukrotnie zrobiła Sabrina, jednocześnie przyglądając się bombie. Wyciągnął ku niej rękę, lecz jego bosa stopa, oparta na niższej poziomej belce, ześliznęła się. Murzyn zamachnął się rozpaczliwie, by złapać belkę, i jęknął, gdy piętą uderzył boleśnie w rusztowanie.

–Spokojnie, tylko spokojnie – szepnął do siebie. – Rozegraj to tak, jakby chodziło o diamenty. Albo o tego wspaniałego chińskiego konia.

Zbierając wszystkie siły i umiejętności, opanował się i ostrożnie wyciągnął detonator.

Rozejrzał się desperacko i dostrzegł Sabrinę, która najszybciej jak mogła przesuwała się w stronę północnego filara.

Ukryty w czerwonej skrzynce zegar zabrzęczał, sygnalizując, że została już tylko minuta.

–Zostaw go mnie! – krzyknął C.W. i zaczął się wdrapywać po rusztowaniu niczym jakiś obłąkany akrobata. Podobnie jak wtedy, gdy niósł na plecach Adelę Wheeler, także i tym razem wybrał trudniejszy sposób. Przestał się wspinać, gdy uznał, że znalazł się na tym samym poziomie co ładunek wybuchowy, wciągnął się na poziomą belkę i nie zważając na niebezpieczeństwo, puścił się biegiem.

Zegar odmierzał pozostałe sekundy: 23, 22, 21...

Sabrina również zapomniała o strachu. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, nieświadomie biegła na spotkanie Murzyna z przeciwnej strony. Wpadli na siebie na skraju północnego filara.

Zegar wskazał dziewięć sekund... i dalej odmierzał czas.

–Gdzie... gdzie jest?! – wysapał C.W., macając w zagłębieniu dźwigara.

–O Boże! – krzyknęła Sabrina. Jesteśmy za nisko! Jest tam! – Wskazała w górę. Ładunek plastiku z podłączonym katalizatorem spoczywał nad ich głowami, poza zasięgiem ręki.

Cztery sekundy.

–Skacz! – wrzasnął C.W. Gorączkowo stanęła jedną nogą na jego splecionych dłoniach, a on wyrzucił ją w górę.

Nie było czasu na finezję. Na nic nie było czasu.

Dwie sekundy.

Wpiła palce w plastik, wyciągnęła detonator i wyrzuciła go przez ramię.

Jedna sekunda. Zero. Zapłon!

Detonator eksplodował w powietrzu, a jednocześnie na ziemi odpaliły trzy detonatory zdjęte z pozostałych filarów.

Obejmując nogami szyję C.W. Whitlocka i rękami ściskając zimną metalową belkę, Sabrina Carver rozplakała się. Ale wieża Eiffla była bezpieczna.

Szerokie ujście kanału, wychodzącego na nabrzeże Sekwany wypluło trzy pękate worki i człowieka w przemoczonym czarnym ubraniu.

Smith wynurzył się na powierzchnię, rozejrzał nie zdejmując maski i silnymi ruchami ramion podpłynął do gumowych worków z okupem. Zabrał je i popłynął w dół rzeki do przycumowanej *Bateau Mouche*.

Dwie minuty później z bystrego prądu kanału wystrzeliła następna ubrana na czarno postać z akwalungiem na plecach i koziołkując, wpadła w nurt rzeki. Graham przebierał rękami niczym niezdarny, próbujący pływać psiak. Wynurzył się i stanął w wodzie pionowo.

On także się rozejrzał. Dostrzegł swojego przeciwnika, płynącego szybko ku łodzi, i bezszelestnie ruszył w pogoń.

Smith dopłynął do *Bateau Mouche*, odszukał drabinkę i wszedł na pokład. Opasał się jednym końcem liny, nachylił, podholował worki do burty łodzi i wyciągnął je na górę.

Mike płynął teraz „żabką”. Od chwili, gdy przestał młócić wodę kraulem, zostawiał na gładkiej powierzchni Sekwany jedynie niewielkie zmarszczki.

Smith schował worki z okupem, przeszedł przez rufę *Bateau Mouche* i włączył silnik. Nagły ryk maszyny wypełnił panującą ciszę.

Przebiegł przez pokład i odwiązał cumę dziobową. Wracając, by zrobić to samo z drugą cumą, dostrzegł ciemną postać, podpływającą do rufy łodzi.

Nie miał przy sobie broni. Na pokładzie także żadnej nie widział. A mimo to nie był bezbronny. Smith mógł być nieuzbrojony, ale bezbronny nie był nigdy.

Nie chciał jednak wdawać się w awanturę z przybyszem. Odwiązał więc cumę rufową i poczuł, że *Bateau Mouche* zaczyna powoli dryfować z prądem. Stał za sterem. Na jego wargach błąkał się nikły uśmieszek.

Zacisnął dłonie na dźwigniach zmiany biegów i przestawił oba silniki na bieg wsteczny. Następnie otworzył przepustnice na pełny gaz.

Woda zagotowała się i speniła pod rozpędzoną łodzią Smith stanął w drzwiach sterówki, wpatrując się w pianę przed dziobem.

Nagle na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, gdy spod dziobu łodzi wypłynął akwalung z porwanymi, wiszącymi luźno paskami.

Odwrócił się i wszedł do sterówki. Zamknął przepustnice i przestawił silniki na pierwszy bieg.

Z przyjemnym pomrukiem *Bateau Mouche* popłynęła w dół rzeki, tym tylko różniąc się od innych łodzi na Sekwanie, że była prawie nieoświetlona.

Pogwizdując, Smith co pewien czas wyglądał przez okno nad sterem. Spojrzał w niebo, zamilkł, wyrzwał ponownie i znów zaczął pogwizdywać. Była to skoczna, marynarska melodia. „Angielska – pomyślał Smith. – To wielcy żeglarze, ci Anglicy.”

Wzdłuż burt *Bateau Mouche*, na wysokości linii wodnej, wisiały olbrzymie opony. Mike Graham przywarł resztkami sił do ostatniej w rzędzie, podciągnął się i przetoczył przez reling, opadając na pokład.

Leżał tam przez dłuższą chwilę, łapczywie chwytając powietrze i dochodząc do siebie. Następnie wstał, ruszył wzdłuż ławek w stronę dziobu i podkraść się do sterówki. Zajrzał przez szklane drzwi.

Stał oko w oko ze Smithem.

Smith zamknął przepustnice i wyłączył silniki. Schylił się bez pośpiechu, jak gdyby miał nadmiar czasu, i wyciągnął długi sztylet przymocowany do prawej nogi.

Graham cofnął się, widząc błysk metalu. Smith otworzył drzwi na oścież i w niesamowitej ciszy wyszedł na śliski pokład.

Przez chwilę krążyli ostrożnie wokół siebie. Smith baczny wzrokiem lustrował Grahama od stóp do głów. Bez zdziwienia przyjął do wiadomości, kogo ma przed sobą. Nie przejął się specjalnie tym, że wieża Eiffla nie wyleciała w powietrze. Miał przecież swój okup, a droga ucieczki była czysta. No, prawie. Smith był pewien, że jeżeli ktokolwiek z jego ekipy przeżyje i nie da się złapać, to właśnie Mike Graham.

Przekonał się ostatecznie, że Graham nie ma broni. Ruszył na niego z wprawą doświadczonego nożownika, w nisko opuszczonej ręce swobodnie trzymając zwrócony w górę sztylet.

Ale Mike Graham także był mistrzem w różnego rodzaju walkach. Znał dobrze nożowników, potrafił ocenić ich słabe i mocne strony. Wiedział, jak wykorzystać ich słabe punkty i jak sprawić, by siła napastnika obróciła się przeciwko niemu samemu.

Smith był wprawdzie w dobrej formie i dbał, żeby jego umiejętności nie zardzewiały, ale nadzwyczaj rzadko miał okazję korzystać z nich w praktyce. Walczył tak, jak uprawiał szermierkę: elegancko, poprawnie i – jak przystało na dżentelmena – zgodnie z przepisami.

Mike Graham nie był dżentelmenem. Dla niego przepisy nie istniały. Zbliżył się do Smitha, stwarzając wrażenie zbyt pewnego siebie. Smith, jakby ze strachu, cofnął się pół kroku, lecz nagle z impetem wystrzelił do przodu. Jego nóż, niczym naturalne przedłużenie sztywno wyciągniętej ręki, celował wprost w serce Grahama.

O to właśnie chodziło Mike'owi – by zmusić przeciwnika do ataku i wciągnąć go w pułapkę. Niczym matador usunął się w prawo i kantem stopy wymierzył cios w wysuniętą nogę Smitha.

Trafił idealnie – tuż poniżej kolana. Smith nie zdążył nawet zawyc z bólu, gdy drugi cios, tym razem piętą, trafił go w podbrzusze. Pięć centymetrów niżej, a stałby się panną Smith.

Wciąż kuczał skulony, gdy Graham zaatakował ponownie – opierając ciężar ciała na lewej nodze, uniósł prawą i kolanem wyrznął Smitha w gładko wygolony podbródek.

Smith poczuł, że stracił kilka zębów; miał wrażenie, że kręgosłup rozsypał mu się w drobiazgi. Kręciło mu się w głowie, nie mógł skupić wzroku. Czuł, że Graham szarpie jego nie stawiające oporu ramię, to, w którym trzyma nóż.

Mike lewą dłonią ścisnął nadgarstek Smitha, a prawą otoczył jego szyję w miażdżącym uścisku. Po raz drugi Smith skrzywił się i zawył. Nóż wysunął się z jego bezwładnych palców i ze stukotem spadł na pokład.

Graham pierwszy dopadł noża i odwrócił się do Smitha z nienawiścią i triumfem w oczach. Ale ten umknął. Dopadł sterówki, wdrapał się na beczkę, a z niej wskoczył na dach *Bateau Mouche*.

Mike poszedł w jego ślady. Dotarł na dach z drugiej strony i stanął naprzeciwko Smitha na płaskich, wyszorowanych deskach, nim ten zdążył się przygotować do obrony. Spoglądali na siebie, drżąc z zimna w przemoczonych ubraniach, dysząc z wysiłku i wściekłości. Smith czuł, że w takich warunkach Mike ma nad nim przewagę, a nie widział sposobu, żeby zmusić Grahama do czystej walki.

Wiedział, że wystarczy najmniejszy pretekst, a Graham użyje noża. Postanowił nawiązać z nim rozmowę, by znaleźć jakiś kompromis. Czynił tak już wielokrotnie – zdradziecka natura pozwalała mu przekształcić rozmowę w broń równie śmiertelną, co nóż czy miecz.

Na jego decyzji zaważył też dźwięk, który zabrzmiał mu w uszach jak muzyka – warkot zbliżającego się helikoptera. Był wprawdzie jeszcze dość cichy, lecz nieomylny; narastał z każdą sekundą.

–No, Graham, masz wreszcie swój dzień – odezwał się Smith. – Gratuluję.

Mike puścił to mimo uszu.

–Przypuszczam, że wyłączyłeś też moje lasery?

Graham potrząsnął głową.

–Nie.

Smith uniósł brwi.

–Whitlock? – zapytał.

–Nie – powtórzył Mike.

–Więc kto? Graham uśmiechnął się.

–Sabrina Carver. W każdym razie kazałem jej to zrobić.

Twarz Smitha spochmurniała.

–Więc ona też – mruknął. – Szkoda. Lubilem ją. Rozważałem nawet projekt

powierzenia jej, hm... stanowiska w mojej organizacji. Na szczęście oparłem się tej pokusie.

Graham pokiwał głową. Smith potarł obolałą szczękę. Warkot helikoptera słycać było coraz wyraźniej.

–Ona i C.W. pracują dla Philpotta?

–Owszem.

Smith zaproponował Grahamowi podział łupu. Mówił coraz głośniej.

–O to ci chodzi, Mike? – zapytał. – Pewnie tak, skoro masz teraz wszystkie karty w ręku.

Graham powoli, lecz stanowczo potrząsnął głową.

–Nie interesują cię takie pieniądze? – powiedział kwaśno Smith.

–Nie o to mi chodzi.

–A o co? O mnie?

Mike patrzył mu prosto w oczy. Helikopter zataczał już koła nad ich głowami, lecz Mike całą uwagę skierował na Smitha.

–Cztery lata temu! – krzyknął. – Pamiętasz? Sprzedałeś transport broni jakimś zwariowanym terrorystom. Nie zapomniałeś tego chyba, co?

Smith wyniośle pochylił głowę.

–Rzeczywiście, coś mi to przypomina.

–Agent CIA siedział ci na karku – ciągnął Mike. – Podłożyłeś bombę w jego samochodzie. Pamiętasz?

Smith wzruszył ramionami.

–Takie są reguły gry. Czasami trzeba podjąć akcję odwetową, nawet jeżeli uważa się ją za niesmaczną.

–Niesmaczną! – parsknął Graham. – Rzeczywiście. Bo widzisz, ty nie zabiłeś agenta CIA. Zabiłeś jego żonę. Była w ciąży, nosiła ich pierwsze dziecko.

Lekceważący uśmiech zniknął z twarzy Smitha. Zbrodniarz z trudem przełknął ślinę.

–To... to była twoja żona? – zapytał niepewnie.

Mike skinął głową. Z jego zwężonych oczu wyzierała nienawiść. Stał spięty w sobie, z obnażonymi zębami.

–I od tej pory ani na jeden dzień, ani na jedną noc nie straciłem cię z oczu, Smith – warknął.

Ruszył ku niemu, ściskając złowieszczo połyskujący nóż – narzędzie swej zemsty.

–Wybiła twoja godzina, panie Smith – syknął.

Nagle zalał ich snop światła z helikoptera, który spadł z ciemnego nieba jak kamień. Mike spojrział w górę. Jaskrawe światło oślepiło go kompletnie. Smith zasłonił dłonią oczy, skoczył ku krawędzi dachu i złapał ciężki żelazny bosak.

Mike odzyskał wzrok; odwrócił się błyskawicznie. Smith zamachnął się bosakiem, trafiając Grahama w skroń. Mike zatoczył się, opadł na jedno kolano, po czym runął na podłogę. Nóż wypadł mu z ręki, przetoczył się po mokrych deskach i zniknął w wodach Sekwany.

Pilot helikoptera wymachiwał do Smitha, ponaglając go nerwowo. Z boku śmigłowca opuszczono grubą linę z hakiem na końcu, która głośno opadła na dach sterówki. Smith chwycił ją i zeskoczył na pokład. Otworzył pokrywę luku niewielkiej ładowni i zaczepił hak o metalowy pierścień, łączący trzy worki z okupem.

Gorączkowo szarpnął za linę. W śmigłowcu uruchomiono kołowrót i trzy niebieskie parówki zniknęły w brzuchu helikoptera.

Mike Graham odzyskał przytomność. Z wysiłkiem zerwał się na nogi, w chwili, gdy lina z hakiem znów opadła na pokład.

Smith oburącz złapał za hak i szarpnął nim dwukrotnie. Odrywając się od pokładu, wydał donośny, triumfalny okrzyk.

Usłyszał desperacki wrzask Grahama. Mike z furią zeskoczył z dachu, lądując boleśnie na pokładzie, i bez namysłu wyskoczył w górę, próbując złapać uczeplonego liny Smitha.

Jedną ręką chwycił go za kostkę u nogi, paznokciami rozrywając mu ciało do samej kości. Sekundę później drugą ręką złapał czubek buta z juchtowej skóry.

Smith wolną nogą kopał dziko dłonie Grahama, grzmocąc raz za razem w jego gołe palce. Mike poczuł, że but wrywa mu ciało z dłoni. Ostatnim wrażeniem, jakie zarejestrowała jego świadomość, nim spadł w nurt rzeki, był trzask łamanego małego

palca.

–Jazda! Szybciej! – pokrzykiwał Smith, kiedy helikopter z warkotem silników oddalał się od łodzi, a on sam coraz bardziej zbliżał się do upragnionego azylu.

Graham po raz drugi odzyskał przytomność. Z niepohamowaną złością grzmocił pięściami w wodę, widząc, jak znieprawiony przeciwnik znika w śmigłowcu, którym odleci na wolność.

Smith zacisnął dłonie na płozach helikoptera i wciągnął się do środka maszyny. Pomogły mu w tym czyjeś ręce. Drzwi śmigłowca zatrzasnęły się za nim.

Wyczerpany mężczyzna przeszedł chwiejnie na drugą stronę helikoptera i opadł na worki z królewskim łupem za wieżę zakładników.

Oparł twarz na mokrej, zimnej gumie. Z oczu płynęły mu łzy radości i ulgi. Wbił zęby w niebieski worek, napawając się jego smakiem, słonawym zapachem.

Udało mu się! Wygrał! Zbrodnia doskonała, przeprowadzona rękami zbrodniarza doskonałego. Jego ciało przeszło niemal orgastyczny dreszcz.

Był niezwyciężony! On, Wielki Chan zbrodni, najbardziej zuchwały przestępca w historii!

Nikt nie jest go w stanie powstrzymać, nikt nie może się z nim mierzyć. Ani rządy, ani organizacje, ani wojska. Nie istnieje nic, absolutnie nic, czego by nie mógł dokonać.

Był niepokonanym, niepokonanym gigantem zbrodni!

–Witamy na pokładzie, panie Smith – odezwał się Malcolm Philpott z fotela obok pilota. **–** Czekaliśmy na pana.

Smith powoli odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos. Jego oczy spoczęły na mężczyźnie, który go powitał, i na przykucniętej obok niego kobiecie. Obrzucił wzrokiem wnętrze helikoptera. Trzej roześmiani od ucha do ucha komandosi kołysali się na piętach, celując z pistoletów maszynowych w jego serce i głowę.

Westchnął i wrócił spojrzeniem do mężczyzny siedzącego obok pilota. Na jego wargach pojawił się przelotny, zrezygnowany uśmiech.

–Touché, panie Philpott – powiedział. **– Touché.**

Epilog

W karłowatym zaułku udającym uliczkę między Avenue Émile Deschamel i Allé Adrienne Lecouvreur znajduje się restauracja nieskończenie bardziej wykwintna niż knajpa „Pod Gwizdzącą Kotką”. Następnego dnia po tym, jak Smith znalazł się we wrogim otoczeniu francuskiego aresztu (i tradycyjnie stanął przed obliczem sędziego śledczego), Malcolm Philpott wydał tam obiad na sześć osób – dla siebie, Soni Kolchinsky, C.W., Sabriny, Mike’a Grahama i komisarza Poupona.

Po drodze do restauracji Sonia dwukrotnie domagała się, żeby zrobili sobie grupowe zdjęcie – na tle środkowego pawilonu École Militaire (gdzie, jak przypomniał Poupon, sam Napoleon służył jako kadet) oraz przed pomnikiem siedzącego na koniu bohatera bitwy nad Marną, marszałka Joffre. Wszyscy byli w stosownym nastroju na lukullusową ucztę, podlaną winem po czterdzieści dolarów za butelkę.

Przez cały obiad Philpott celowo narzucał lekki ton konwersacji. Nie przepadał za podzwonnym, za to miał dużą wprawę w odwracaniu tematu rozmów od siebie, Soni i UNACO. Uważał, że im mniej ludzie wiedzą o jego organizacji – w tym także jego agenci – tym lepiej.

Ze szczerego serca, choć skrycie, radował się narastającą zażyłością między Grahamem a Sabriną. Mike wciąż miał zabandażowane dłonie i Sabrina, która dzieliła z nim porcję chateaubriand, ostrożnie kroїła mu mięso na kawałki, a nawet, ku jego zażenowaniu, podawała mu je do ust.

C.W., siedząc obok Sabriny, zabawiał się podsłuchiowaniem Grahama, który usilnie starał się namówić dziewczynę, by spędziła z nim krótkie wakacje na południu Francji. Mike był właścicielem willi na stoku wzgórza w pobliżu Carcassone, w Langwedocji, i długo i namiętnie wychwalał zalety swej posiadłości – piękno i spokój.

Już na wieży C.W. zauważył, że tych dwoje w naturalny sposób ciągnie do siebie. Znał trochę przeszłość Grahama, a bardzo dobrze Sabriny, i nie był na tyle cyniczny, by nie mieć nadziei, że im się ułoży.

–Zastanowię się nad tym, Mike – obiecała Sabrina. – W tej chwili mam mnóstwo spraw, które chciałabym załatwić, a z którymi już zalegam... ale naprawdę mam wielką ochotę przyjechać.

–Mam nadzieję, że żadna z tych spraw nie pachnie przestępstwem – dociął jej Philpott.

–Ależ skądże – odparła i zatrzepotała gęstymi rzęsami. – Jak pan w ogóle może sugerować coś podobnego?

–No właśnie, jak? – rzekł Philpott.

Graham zakaszał z wprawą, by zmienić temat.

–Naturalnie, nie musisz się tam niczym krępować – nalegał. – Będziesz mogła robić, co tylko chcesz i z kim chcesz.

–Naturalnie – zgodziła się.

–Kochana, jeśli w to wierzysz, to jesteś w stanie uwierzyć we wszystko, jak mawiał książę Wellington – parsknął C.W. Sabrina splonęła rumieńcem, a Graham z udanym oburzeniem łypnął na wykrzywionego w sardonicznym uśmiechu Murzyna.

C.W. mrugnął do niego.

–Żartowałem, Mike. Ale jak tak opisywałeś tę okolicę, wyszło mi na to, że w promieniu stu mil nie będzie tam nikogo prócz poczciwego, starego Mike’a Grahama. No nie?

Tym razem to Philpott zakaszał, może nie tak wprawnie jak Mike, lecz i tak dosyć fachowo.

–Chcę wznieść toast – oświadczył. – Za nasze zdrowie i za pomyślnie zakończoną operację. Być może nie byliśmy górą przez cały czas, ale w końcu wyszliśmy na swoje.

Kiedy wypili, Philpott powiedział:

–A teraz specjalny toast za ciebie, Mike. Bez ciebie nie dalibyśmy rady. Masz nasze najszczęśliwsze podziękowania.

–E tam – bąknął zarumieniony Graham, nim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, Philpott wtrącił żwawo:

–Jeżeli chciałbyś kiedyś wrócić do pracy w wywiadzie, Mike, to daj mi znać. Myślę, że UNACO powinno ci odpowiadać, jako, nazwijmy to, mniej ortodoksyjna niż CIA.

–Racja – dorzucił C.W. – Mniej ortodoksyjna to właściwe określenie. Co ty na to. Mike?

Graham zawahał się. Sabrina oparła rękę na jego dłoni.

–Dobrze nam się razem pracowało, prawda? – powiedziała.

Graham popatrzył po kolei na wszystkich ludzi z UNACO, dłużej zatrzymując wzrok na Sabrinie.

–No cóż, jak to mi kiedyś powiedziała pewna dama, kiedy zaproponowałem jej wakacje na południu Francji... zastanowię się nad tym – odparł powoli.

Philpott rozpromienił się.

–Zawsze będziesz mile widziany, Mike – oświadczył. Następnie wykręcił się od kawy i likieru. – Muszę coś załatwić – wytłumaczył Soni. – Wyjaśnić jedną sprawę. Wiesz, zostało kilka niejasnych punktów. To tak dla pamięci... i do twoich akt. Zobaczymy się w Ritzu. Tylko nie zapomnij, że wieczorem czeka nas orgia w Moulin Rouge.

–Myślicie, że mieliby coś przeciwko temu, gdyby czekał tam też jakiś mały Murzynek? – zapytał niewinnie C.W.

Lorenz van Beck musiał jakoś zabić dwie godziny. Ale jako spokojny obywatel, postanowił spędzić je pożytecznie.

Tym razem wybrał Muzeum Sztuki Nowoczesnej w alei Wilsona oraz Jeu de Paume w ogrodach Tuileries, koło Place de la Concorde, a to ze względu na znajdujące się w nich wspaniałe dzieła francuskiej sztuki współczesnej. Po namyśle dorzucił do tego Centre Culturel Georges Pompidou, słusznie zakładając, że w budynku o tak ekstrawaganckiej architekturze nie zapewniono należytych środków bezpieczeństwa.

Na nazwisko Maurice'a T. Randalla – w każdym razie pod tym nazwiskiem figurował w swoim brytyjskim paszporcie – wynajął peugeota i pojechał do Rambouillet, trasą tak skomplikowaną, że w końcu sam stracił orientację, nie mówiąc już o ewentualnym „cieniu”.

Gdy zegar wybił szóstą, van Beck podszedł do kościoła i zajrzał do środka. Wieczne słońce sączyło swe światło przez gwiazdy i postacie pasterzy na bogato zdobionym witrażu w oknie po zachodniej stronie. Było wystarczająco jasno, by van Beck mógł się przekonać, że jest sam, jeśli nie liczyć tysego i powłóczącego nogami kościelnego, który z godną podziwu ospałością bezsensownie przenosił święte naczynia z jednego końca ołtarza na drugi. Van Beck uznał, że starzec pracuje w godzinach nadliczbowych.

Niemiec ciężkim krokiem ruszył w stronę konfesjonałów. Nosił zgrabne półbuty, nader stosowne do dopasowanego garnituru z Savile Row oraz koszuli i krawata z Jermyn Street. Był z siebie nadzwyczaj zadowolony.

Tym bardziej że na osłodę udanego dnia zwiedził w Rambouillet pochodzący z czternastego wieku pałac Médici, nim udał się na to kościelne spotkanie. Formalnie zamek zarezerwowany jest dla prezydenta Republiki, ale van Beck nie widział powodu, dla którego miałoby to eliminować go z grona gości. Ktoś utalentowany, pomyślał, na przykład Sabrina Carver, mógłby tam wspaniale spędzić czas. Z prezydentem... albo pod jego nieobecność.

Niemiec odsunął sztywną czerwoną zasłonę i usiadł na krześle dla spowiadających się. Postać za metalową kratką schyliła głowę i poruszyła wargami w niemej modlitwie.

–Słucham cię, synu.

–Pobłogosław mnie, ojcze, bo ciężko zgrzeszyłem – wymamrotał van Beck.

–Jeszcze jak – zgodził się Philpott. – Po pierwsze, skłamałeś mi.

–Ja nigdy nie kłamię – odrzekł Niemiec beznamiętnie. – A zwłaszcza klientom.

–A więc nie powiedziałaś mi całej prawdy – upierał się szef UNACO.

–A, to już całkiem inna sprawa, panie Philpott – przyznał van Beck. – Które taktyczne przemilczenie ma pan na myśli?

–A to dobre! A więc powiem ci: kiedy sprawdziłem Michaela Grahama, z przerażeniem stwierdziłem, że poleciłeś Smithowi nie tylko Sabrinę i C.W., ale także jego. Zgadza się?

Van Beck potwierdził. Philpott zastanowił się nad tym.

–Nie powiedziałaś mi także o tym, że to Graham ukradł lasery i przekazał je Smithowi... prawda?

Van Beck przyznał, że i to odpowiada prawdzie.

–Ani że Smith trzyma lasery w swoim zamku nad Loarą – ciągnął Philpott.

–Musiałem zostawić coś, co sam będzie pan mógł odkryć – powiedział Niemiec ze skargą w głosie. – Ani przez chwilę nie wątpiłem, że mając nadzwyczajne pełnomocnictwa, które pozwolą panu wprowadzić w przestrzeń powietrzną Francji samolot wywiadowczy dalekiego zasięgu Lockheed SR 71, szybko pozna pan lokalizację kryjówki Smitha. Co też w końcu pan zrobił.

–Fakt – przyznał Philpott, skonsternowany jego dokładną znajomością samolotu szpiegowskiego typu „Blackbird”.

–O ile mi wiadomo – ciągnął Niemiec – ten wszechstronny samolot może latać na wysokości prawie trzydziestu tysięcy metrów i w ciągu godziny przeprowadzić zwiad na obszarze sześćdziesięciu tysięcy mil kwadratowych. Oprócz skomplikowanego radaru i aparatury fotograficznej, wyposażony jest w działające na podczerwień czujniki, mogące wykryć ciepło wydzielane przez człowieka, nawet przykrytego. Mam rację?

–Tak – odparł gniewnie Philpott.

–Jednym słowem – kontynuował van Beck – można by z niego wykonać zdjęcie Sabriny Carver w łóżku, co notabene byłoby osiągnięciem godnym uwagi. *Nein?*

–Ja – odrzekł Philpott zwięźle. – Dość tych dygresji. Żądam odpowiedzi, i to natychmiast.

Łysy kościelny przeszedł obok konfesjonałów, fałszywie intonując chorał gregoriański. Van Beck westchnął ciężko.

–Zgoda, panie Philpott. Jestem to panu winien. I tak zresztą miałem panu o tym powiedzieć.

Philpott westchnął bez przekonania.

–Pierwsze, o czym powinien pan pamiętać – zaczął Niemiec – to że interes to interes. Pracuję dla kogo mi się podoba i kiedy mam na to ochotę. Jeżeli pracuję jednocześnie dla pana i dla Smitha, to byłbym ostatnim durniem, gdybym każdemu z was mówił wszystko, czego się dowiedziałem od drugiego. A ja nie jestem durniem, panie Philpott.

Powód, dla którego nie powiedziałem panu o Grahamie, jest natury czysto osobistej – ciągnął van Beck. – Muszę mieć pańskie słowo, że to, o czym powiem, nie wyjdzie poza nas.

Philpott dał mu słowo. Van Beck wydał wargi i zakaszłał cicho.

–Czy Graham powiedział panu, że ścigał Smitha, gdyż ten zabił jego żonę?

–Tak. Okropna historia. Rozumiem, że musiał w tym celu odejść z CIA, choć po cichu pracował dla nich nieoficjalnie.

Niemiec skinął głową i znów westchnął.

–Nie powiedział panu, jak się nazywała jego żona? Philpott potrząsnął głową.

–Ale przyznaje pan, że Graham miał wszelkie powody, żeby ścigać Smitha?

–Oczywiście. Każdy mężczyzna by tak postąpił na jego miejscu. Był pewnie oszalały z rozpaczy.

–Istotnie – potwierdził van Beck.

Philpott rzucił mu szybkie spojrzenie przez kratkę konfesjonału.

–Skąd wiesz? – zapytał ostro.

–Na imię miała Sieglinde – rzekł Niemiec. – Nazywał ją „Ziggy”. Zginęła mając dwadzieścia pięć lat. Zanim wyszła za Michaela Grahama, nazywała się Anneliese Sieglinde van Beck. Była moją jedyną córką, panie Philpott, a dziecko, które nosiła w łonie, gdy Smith wysadził ją w powietrze, byłoby moim wnukiem.

Amerikanin milczał, zaskoczony. Van Beck ukrył twarz w dłoniach. Philpott usłyszał jego cichy szloch.

–Przepraszam, Lorenz – powiedział łagodnie. – Nie wiedziałem.

–Oczywiście, że nie. Bo i skąd? Widzi pan, panie Philpott, musiałem mieć pewność, że Michael Graham, który jest wspaniałym młodym człowiekiem, będzie jedynym specjalistą od broni podstawionym do ekipy Smitha. A kiedy już tak się stało, nie mogłem ryzykować, że zostanie zdemaskowany. CIA zatuszowała sprawę śmierci jego żony, tak by wyglądała na śmierć naturalną. Nie mają tego nawet w jego aktach. Sfabrykowali załamanie nerwowe i zwolnili go w jednym tylko celu – żeby dostał Smitha. Ja nie pracuję dla CIA, panie Philpott, ale gdybym musiał zemścić się na kimś takim jak Smith, z ochotą zrobiłbym to jeszcze raz.

–Teraz rozumiem – rzekł Philpott. – Oczywiście, postąpił pan słusznie.

–Nie tylko w tym wypadku – powiedział Niemiec. – Niech mi pan powie, skąd pan dostał informację, że Smith planuje kolejny wielki skok?

–O ile wiem, z Interpolu.

–A kto ich poinformował... pod warunkiem, że zachowają to w tajemnicy i przekażą panu wiadomość?

Philpott uśmiechnął się.

–Najwyraźniej ty.

Van Beck skinął głową.

–Uważałem, że CIA albo Interpol spaprają robotę – szepnął. – A wiedziałem, że UNACO da sobie radę.

–Cóż, dzięki – rzekł Philpott sucho. – No, to mamy już jasny obraz. Mam nadzieję, że nasza współpraca w przyszłości okaże się równie owocna.

Van Beck chrząknął i wstał z krzesła.

–Więc mogę już iść?

Philpott skinął głową, lecz nagle uniósł rękę.

–Jeszcze jedno. To ważna sprawa. Co się stało – zapytał ostrożnie – z zyskiem z tej perfekcyjnie przeprowadzonej kradzieży na Amsterdamskiej Giełdzie Diamentowej, za którą odpowiadasz w nie mniejszym stopniu niż Sabrina?

Niemiec uśmiechnął się chytrze.

–Diamenty trafiły w moje ręce, a ja je przekazałem dalej. Panna Carver otrzymała zapłatę, ja zaś uważam swój procent za stosowne wynagrodzenie za informacje przyczyniające się do odzyskania czterech supertajnych i niebezpiecznych laserów. Prawda? Wciąż panu powtarzam, panie Philpott, że interes to interes.

Szef UNACO roześmiał się.

–Wygrałeś, Lorenz. *Auf wiedersehen.*

–Do zobaczenia następnym razem.

Philpott usłyszał trzask zamykających się za Niemcem drzwi. Wstał, wyszedł z konfesjonau i ruszył do wyjścia, zatrzymując się po drodze, by pobłogosławić kościelnego. Zdjął kapłańskie szaty i powiesił je na kołku w zakrystii, skąd niedawno je sobie pożyczył.

Przeszedł przez kruchtę i wyszedł na kojące światło dzienne. Powietrze było rześkie. Odetchnął głęboko i przeciągnął się.

Tak, pomyślał, do zobaczenia następnym razem. Mając w swojej ekipie Sonię, Sabrinę i C.W. – a pewnie także i Mike’a Grahama – z niecierpliwością oczekiwał kolejnej akcji.

Ale kto będzie tym razem? Uznał, że ten pokrzepiający problem najlepiej będzie rozważyć w zaciszu hotelu Ritz.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/